tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 36 (1391)
31.08-6.09.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Stanisław Sławomir Nicieja
Kustosz kresowej pamięci cz. 2

Szarlatani doradzają Nawrockiemu

Europejskie książki ofiarą AI

Dlaczego szpitale nie radzą sobie z sepsą?

Marszałek bankrut

ODRADZA SIĘ KULT RYDZA-ŚMIGŁEGO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
36 >
9 771509 311607

epressa.pl 112783a6272

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY **SZTOKHOLM**

MADRIT INTERNATIONAL LGBTIAQ+ FILM FESTIVAL **QUEERCINEMAD** NAJLEPSZA REŻYSERIA

NAJLEPSZA AKTORKA FESTIVAL DE CANNES

NAGRODY **LUMIERE** NAJBARDZIEJ OBIECUJĄCA AKTORKA

CEZARY NAJBARDZIEJ OBIECUJĄCA AKTORKA

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY **SEVILLA**

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY **LOCARNO**

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY **TROMSØ** NAJLEPSZA REŻYSERIA

Queer PALM CANNES 2025

młodsza siostra

reżyseria **Hafsia Herzi**

Jeden z najpiękniejszych filmów roku!
LE PARISIEN

Wybitna Nadia Melliti
SCREEN DAILY

Niezwykle czuły
INDIEWIRE

Niezapomniana uczta fimowa
TELERAMA

w kinach od 4 września

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl:11278a6272

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Politycy prawicy na żołdzie przestępców

Czekam na nowe hasło prezydenta Nawrockiego. Bliższe faktom i sposobowi, w jaki sprawuje swój urząd. Bo jego hasło wyborcze: „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy” tak się ma do praktyki jak Ziobro do prawa.

Gdyby Nawrocki był choć przez chwilę szczery, to mógłby krzyknąć: „Po pierwsze kryptowaluty, po drugie i trzecie weto w ich obronie”. Oczywiście nie tylko tego nie powie, ale jeszcze cała Kancelaria Prezydenta została zaprzęgnięta do odwracania kota ogonem. Metoda stosowana przez PiS, Kaczyńskiego i Morawieckiego jest podobna do strategii obrony złodzieja złapanego na przestępstwie, który krzyczy: „To nie moja ręka!”.

W każdym kraju, w którym obowiązują standardy państwa prawa, polityk umoczony w tak wielką aferę jak Zondacrypto byłby już po dymisji. I przed sądem. To, co się dzieje wokół Zondacrypto, skala uwikłań polityków prawicy w tę aferę, pokazuje, jak daleko nam do takiego modelu państwa. A nawet coraz dalej. Bo zarzuty dotykają najważniejsze osoby w kraju. W tym prezydenta. Argumentów do oskarżeń dostarczył osobiście, trzykrotnie wetując ustawę o kryptowalutach. Zachęcam do powtórnego odsłuchania tego, co mówił i jak argumentował swoje weta w wystąpieniach do tej części narodu, która jeszcze mu wierzy. To gotowy akt oskarżenia. A gdyby komuś było mało, to proszę wrócić do występów w Sejmie Zbigniewa Boguckiego, szefa Kancelarii Prezydenta. Toż to pokaz hipokryzji i cynizmu. Byle tylko ludziom z rynku kryptowalut nic się nie stało.

Swój cel Nawrocki i Bogucki wówczas osiągnęli. Ale dziś muszą odpowiedzieć na jedno proste pytanie: co (i kto) tak bardzo ich zmotywowało do heroicznej obrony instytucji i ludzi, o których już wtedy było wiadomo, że stoją za ogromną bańką spekulacyjną, której ofiarami będą zwykli ludzie.

W naszej historii były już podobne przestępstwa. Wyrafinowani oszuści na wiele sposobów łowili ofiary. Bogacili się kosztem tych ludzi. Afera Zondacrypto tym się jednak różni od poprzednich, że po raz pierwszy na tak ogromną skalę sprzęgły się dwa odrębne, wydawałoby się, światy. Politycy i przestępcy.

Nie pamiętam podobnej sytuacji, by tak mocno splotły się interesy polityków i przestępców. Polityków z PiS i Konfederacji.

Nie byłoby afery na tak wielką skalę, gdyby nie parasol ochronny trzymany nad tym środowiskiem przez prezydenta i popierający go obóz polityczny. Skąd ta symbioza? Może Nawrocki zapatrzył się na rodzinę Trumpa, która mocno zainwestowała w kryptowaluty i zarabia na tym krocie? Czy największy na świecie wielbiciel Trumpa nie poszedł w tej sprawie drogą swojego idola?

BĄKOWSKI

eprasa.pl 11278a6272

W NUMERZE

HISTORIA

8 **Odradza się kult Rydza-Śmigłego**
Mit kontra rzeczywistość

12 **Silni, zwarci, niegotowi**
Rydz-Śmigły nie sprostał wymogom wojny

30 **Fałszywa historia, narodowa megalomania**
Analfabetyzm historyczny Polaków

KRAJ

14 **Kustosz kresowej pamięci**
– rozmowa z prof. Stanisławem Sławomirem Nicieją

18 **Szarlatani prezydenta RP**
„Autorytety medyczne" Nawrockiego

25 **Śmierć na szpitalnym łóżku**
Ukrywane przypadki sepsy

TECHNOLOGIE

22 **Książki na przemiał**
Ciemne strony trenowania AI

OPINIE

28 **Roman Broszkiewicz**
Powstanie: między pamięcią a oceną

33 **Andrzej Wilk**
Amerykańskie uniwersytety – kuźnie światowych elit

ZAGRANICA

36 **Szczepionka na radykalizm**
Oby Hiszpania nie skręciła w prawo

40 **Pocztówka z… czyli wakacyjna miniszarada**

43 **Jak znikają europejskie rzeki**
Kłopoty krajów naddunajskich

OBSERWACJE

46 **Pani od zupy**
Canberra upamiętniła Polkę

48 **Handlarze cudów**
Zarabianie na wierzących

60 **Sewilla uczy się żyć z upałem**
„Patelnia Hiszpanii" wzorem dla innych?

KULTURA

52 **Niebieska linia przyszłości**
Fenomen Edwarda Krasińskiego

54 **Turystyka śladem książek**
Rzeki Literatury w Lubuskiem

56 **Qulturalia**

66 **#Odkrycia. Emilia Jechna**

SPORT

52 **Hajduk z łupem w Częstochowie**
Za mało nas będzie w Europie

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Politycy prawicy na żołdzie przestępców

7 **Jerzy Bralczyk**
SI

29 **Andrzej Romanowski**
Niemcami podszyci

39 **Roman Kurkiewicz**
Po co CIA leci do Moskwy

47 **Tomasz Jastrun**
Strachy na Lachy

57 **Wojciech Kuczok**
Pojutrza nie będzie

36
ZAGRANICA

SZCZEPIONKA NA RADYKALIZM
Oby Hiszpania nie skręciła w prawo

48
OBSERWACJE

HANDLARZE CUDÓW
Zarabianie na wierzących

52
SPORT

HAJDUK Z ŁUPEM W CZĘSTOCHOWIE
Za mało nas będzie w Europie

Projekt okładki: Krzysztof Kettner

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

eprasa.pl 11278a6272

Co piąty polski student jest na poziomie 10-latka

Jak poprawić tę sytuację? Na godzinie wychowawczej powinno się wyjaśniać sens uczenia się na pamięć, podkreślając, że pamięć jest skarbnicą logicznego rozumowania, praktycznego w każdej sytuacji życiowej, i że dogłębna znajomość matematyki, fizyki, chemii i biologii sprzyja rozwiązywaniu problemów życiowych. W procesie dydaktycznym powinno się nakłaniać uczniów do pełnego wypowiadania się na wszystkie tematy ustnie i pisemnie, a ograniczyć sprawdzanie wiedzy za pomocą testów. Powinno się zachęcać uczniów do czytania książek naukowych i popularnonaukowych, bo to rozwija aparaturę pojęciową. A w prasie i telewizji powinno się pokazywać pozytywne wzorce osobowe, a nie patologię. Powinno się też ograniczyć popularyzację rozrywki, seksu i wyzysku. Uczeń, student, a później pracownik powinien się cieszyć wszechstronnym rozwojem. W publicystyce obok krytyki powinny być konstruktywne postulaty.

Szokujący artykuł „The Economist"
Co piąty polski student jest na poziomie 10-latka

Zbigniew Krzyżanowski

Ziemie Odzyskane – sukcesy i niepowodzenia

Ziemie Odzyskane
sukcesy i niepowodzenia

Świat korporacji, kapitał zagraniczny, który ponoć „nie ma narodowości", rozmontował polski przemysł. Pozbył się realnej i potencjalnej konkurencji. Postawił własne fabryki, które teraz będzie zamykał, bo taniej przenieść produkcję już nie do Chin, tylko do Indii. Kilku kretynów okołoplatformianych będzie udowadniało, że przemysł odziedziczony po komunie był taki i owaki i super się stało, że teraz nie mamy nic. Jesteśmy gospodarką zależną, de facto półkolonią.

Jacek Świetlicki

•

Polski wtedy w Unii nie było, a bezrobocie w nowych warunkach było efektem niewydolności gospodarki PRL. Ta w nowej rzeczywistości nie mogła być efektywna, bo upadł rynek wschodni, a na inny nie mieliśmy do zaoferowania nic poza surowcami. Już doradcy Gierka pod koniec lat 70. oceniali ukryte bezrobocie na ok. 3 mln ludzi, a więc dokładnie na tyle, ile potem wyniosło realne bezrobocie.

Stanisław Plutecki

•

Wszyscy jakby zapomnieli o patologiach w PRL. 1. Nie było bezrobocia, dostawało się przydział i wio. A potem zakłady pracy miały po 300% wymaganej obsady. 2. W związku z powyższym istniało powiedzenie „Czy się stoi, czy się leży...". 3. Jak się okazało, że trzeba pracować w warunkach rynkowych, to jedna trzecia załogi, która nie robiła nic, była zbędna. 4. Absurdalna wręcz wydajność pracy – opowiadają, że już o godz. 6.01 pękały flaszki. 5. Dorabianie do wypłaty poprzez kradzieże. 6. Nepotyzm, protekcjonizm, korupcja! Niekompetentne osoby na stanowiskach decyzyjnych tylko dlatego, że ktoś tam miał jakiegoś wujka, dziadka, ojca czy innego pociotka.

Marcin Hartwich

Dlaczego przeciętni Polacy odwracają się od Ukrainy i Ukraińców

Dlaczego przeciętni Polacy odwracają się od Ukrainy i Ukraińców

Nie uważam, że jest nam wmawiane, że Rosja niedługo nas zaatakuje, skoro to już się dzieje. Ataki na magazyny, wojna hybrydowa w postaci dezinformacji w internecie, jak i masowe ataki migrantów na polską granicę z Białorusią. Autor artykułu ma nikłe pojęcie o obronności i nowoczesnej wojnie.

Tomasz Beszterda

ZDJĘCIE TYGODNIA

Prezes PKOl Radosław Piesiewicz został doprowadzony do prokuratury na przesłuchanie w związku ze śledztwem w sprawie Zondacrypto. Katowice, 27 sierpnia 2026 r.

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 11278a6272

Wicepremier, minister cyfryzacji **Krzysztof Gawkowski** złożył do Komisji Europejskiej wniosek o **nałożenie na platformę Meta kary w wysokości 1 mld zł.** Wezwał Metę do natychmiastowego wprowadzenia skutecznych narzędzi eliminujących scam, fałszywe reklamy i promowanie nielegalnych aplikacji.

•

Koszty wet Nawrockiego, które ponoszą Polacy, są już wielomiliardowe. Tylko sześć wet zmniejsza budżet o **8 mld zł.**

•

Zmarł gen. Mirosław Różański. Jako dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych bronił armii przed Macierewiczem. Uczestnik misji w Iraku i w Afganistanie, senator RP. Wzór żołnierza. Patriota. Człowiek mądry, uczciwy i wymagający – najwięcej od siebie.

•

Zatrzymany przez CBA prezes PKOl Radosław Piesiewicz został doprowadzony do Prokuratury Krajowej w Katowicach. Postawiono mu zarzuty m.in. płatnej protekcji.

•

Kard. Grzegorz Ryś został powołany przez papieża Leona XIV do 15-osobowej Rady ds. Gospodarczych nadzorującej finanse Watykanu. Siedmioro członków to cywile z rynku finansowego, prawa i wielkiego biznesu.

•

Szpital Miejski w Miastku ogłosił upadłość z powodu zadłużenia. Pracę straci 180 osób. Zarobki lekarzy sięgały tam 100-150 tys. miesięcznie, a pielęgniarek do 27 tys. zł.

•

315 mln zł (netto) zarobiła Grupa Żabka w pierwszym półroczu br.

PRZEBŁYSKI

Niedouczony doktor N.

To nie plotka. Lud widzi, że Nawrocki jest marnym historykiem. Na ten wizerunek pracuje tak wytrwale, że autorzy memów powinni mu ufundować paczkę snusów. Jest leniwy. Nie lubi czytać. Nie chciało mu się nawet porządnie przygotować na święto 15 Sierpnia. W przemówieniu bredził, że „na sztandarach Wojska Polskiego od wieków wypisane jest: „Bóg, Honor, Ojczyzna". Skoro Nawrocki ma najdroższą w historii kancelarię, to może by mu ktoś napisał ściągę. Bo to, co mówił, wygląda na teksty Andruszkiewicza. Tego, który ma prokuratorskie zarzuty fałszerstw. Zajęty wetami Nawrocki nie sprawdził, że po 1918 r. na sztandarach było wyłącznie: „Honor i Ojczyzna", a wcześniej nie była to nawet oficjalna dewiza umieszczana na sztandarach. Bóg wprowadzony został dopiero w 1943 r. z inicjatywy gen. Sosnkowskiego. Doktorze Nawrocki, czytanie naprawdę nie boli.

Furiat w koloratce

Do ponurej listy kierowców uciekających przed policją dołączył kolejny duchowny. Proboszcza parafii św. Jana Chrzciciela w Uhrusku ścigała policja w dwóch powiatach: chełmskim i włodawskim. Wcześniej proboszcz Wojciech Gawałko, kierując Nissanem, dał popalić innym kierowcom. Ciężarówkę Scania zepchnął na pobocze i uszkodził. Inni dzwonili na policję, że jakiś wariat jedzie na czołówkę. Zatrzymany do kontroli trafił do szpitala. Jeszcze nie wiadomo, co brał, że tak szalał. Parafianie go nie cierpią, a kuria siedlecka nie reaguje.

PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego tylu Europejczyków zachwyca się Polską?

DR KRZYSZTOF DĘBIEC,
zastępca kierownika Zespołu Środkowoeuropejskiego Ośrodka Studiów Wschodnich

Czesi i Słowacy dostrzegają polski rozwój gospodarczy. Kontrastuje on z pokutującym przez dekady wizerunkiem naszego kraju jako położonego cywilizacyjnie raczej na Wschodzie niż, jak sugeruje geografia, na Północy. Nasz sukces staje się dla nich punktem odniesienia, chętnie wykorzystywanym w dyskusjach do rozliczania własnych polityków. Poprawiająca się infrastruktura transportowa ułatwiła Czechom i Słowakom odkrywanie Polski. Turyści zza naszej południowej granicy przekazują najczęściej pozytywne recenzje z pobytów nad Bałtykiem, zachęcając rodaków do odwiedzin. Kolejne fale suszy pozwalają im bardziej docenić nieco chłodniejsze niż Adriatyk morze, a rosnące w Chorwacji ceny są dodatkowym argumentem, aby brać pod uwagę nowy kierunek wojaży.

PAWEŁ MORAS,
wiceprezes Polskiej Organizacji Turystycznej

Najkrócej mógłbym odpowiedzieć naszym hasłem: „Bo Polska to więcej, niż myślisz". Zainteresowanie ofertą turystyczną w Polsce stale bije rekordy: czerwiec przyniósł ok. 5% wzrostu liczby gości z zagranicy w porównaniu z rokiem ubiegłym. Europejczycy odkrywają Warszawę łączącą historię z nowoczesnością, zabytkowy Kraków, Gdańsk czy Wrocław. Doceniają gościnność, bezpieczeństwo i sprawną infrastrukturę, ułatwiającą podróże. Odwiedzają Mazury, Podlasie czy Bałtyk – od lat uwielbiany przez gości z Niemiec i będący nowym magnesem dla Czechów. Przyciągamy też cenowo, oferując świetną jakość bez wydawania fortuny. Przestajemy być „nieodkrytym sąsiadem" – połączenie tradycji, energii i autentyczności czyni z Polski jeden z najciekawszych kierunków w Europie.

JAKUB ŁUKASIŃSKI,
licencjonowany przewodnik po Krakowie

Oprowadzam po angielsku gości z całej Europy – Brytyjczyków, Holendrów, Skandynawów, Niemców, a ostatnio też Greków. Polska zachwyca ich przede wszystkim historią, klimatem i architekturą. Gigantyczne, bardzo pozytywne wrażenie robi stopień zachowania zabytków oraz ich odrestaurowanie – turyści są po prostu urzeczeni m.in. krakowskim Starym Miastem. Goście doceniają u nas także czystość na ulicach oraz wysoki poziom bezpieczeństwa. Z ich perspektywy atutem są również względnie jeszcze niskie, w pełni akceptowalne ceny. Zmienia się też sposób organizacji turystyki: maleje udział 40-, 50-osobowych grup z biur podróży na rzecz turystów indywidualnych i rodzin, którzy sami sobie organizują wyjazdy, korzystając z portali internetowych, i przyjeżdżają świadomie po kulturę.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl 11278a6272

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

SI

Nasz stosunek do zjawisk, w szczególności do tych, których do końca nie jesteśmy w stanie zrozumieć, w znacznej mierze zależy od nazw im przypisywanych. Jeśli takie zjawisko jest ważne dla nas, to i nasza kondycja od tego może zależeć.

Sztuczna inteligencja to niewątpliwie ważna sprawa. Nawet gdybyśmy próbowali o niej nie myśleć, media nie pozwolą, tym bardziej że być może ona już nimi rządzi. Nazywamy ją AI, z angielskiego, co daje brzmienie {ej aj}, przypominające swojskie pojękiwania – w sumie trochę odbierające potencjalną i oczekiwaną przez wielu grozę tego być może potwora. Nasze SI, trafne przez skojarzenie z chemicznym symbolem krzemu, mogłoby kojarzyć się nieco bardziej tajemniczo i niebezpiecznie.

Ale szybciej przywoływałoby nazwę rozwiniętą, której polska wersja jest też u nas przyjęta powszechnie. I tu znów pewna specyficzność naszego języka może wpływać na pojmowanie całej sprawy. Artificial intelligence, intelligence artificielle, Künstliche Intelligenz czy iskusstwiennyj intiellekt dają poczucie jakiegoś kontaktu ze sztuką jako wytworem człowieczej kultury, w końcu Kunst, iskusstwo czy art to jednak przede wszystkim ta sztuka, która brzmi dosyć dumnie.

Nasza wieloznaczna „sztuka" rozdrabnia się w różnych odniesieniach, a przymiotnik od tego rzeczownika odsyła do znaczenia, w którym ta szlachetna dziedzina już niewiele ma do roboty.

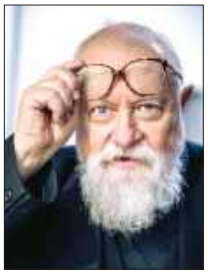

Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Jeszcze w XIX w. mógł pisać Mickiewicz o „sztucznym gotowaniu rosołu" (zgodnym z zasadami sztuki) czy o „sztucznym" (i potężnym zarazem) uderzeniu w cymbały, ale dziś „sztuczny" określa przede wszystkim imitację, coś udawanego, fałszywego. Jak sztuczne perły czy sztuczny miód. Sztuczny – to nieprawdziwy, gorszy, niedobry. Jakąż konkurencją dla naszej prawdziwej inteligencji może być inteligencja sztuczna? Nawet prawdziwa półinteligencja jest prawdziwsza. W innych językach znaczenie imitacji, fałszu jest jednak w związku z AI na planie dalszym.

A dodajmy, że polszczyzna dość wyjątkowo nazywa inteligencją nie tylko to, co dawniej zwało się dowcipem, czyli wysoką sprawność umysłową, lecz i grupę czy warstwę społeczną. I przywoływani przez przeciwników pseudointeligenci (w tym pamiętani przez niektórych kawiarniani) mogliby do tej groźnej nazwy (SI) aspirować.

Spróbujmy zatem potraktować naszą SI jako pewien rodzaj imitacji, więc coś udawanego, fałszywego, nieprawdziwego – i przestańmy się jej obawiać. I odnosi się to też do anglosaskiego pojękiwania – ej aj…

■

eprasa.pl 11278a6272

ODRADZA SIĘ KULT RYDZA-ŚMIGŁEGO

Bolesne zderzenie mitu z rzeczywistością

Paweł Dybicz

Dla ogromnej większości obywateli II Rzeczypospolitej przegranie wojny z Niemcami było szokiem. Po zwycięskiej wojnie z bolszewikami wydawało się, że jesteśmy potęgą militarną, mającą takich sojuszników jak Anglia i Francja.

A do tego jest z nami

Marszałek Śmigły-Rydz, nasz drogi, dzielny Wódz,
Gdy każe, pójdziem z nim najeźdźców tłuc.
Nikt nam nie ruszy nic, nikt nam nie zrobi nic,
Bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz!

Te słowa to fragment piosenki kpt. Adama Kowalskiego, żołnierza i legionowego poety „Pieśń o Generale Edwardzie Śmigłym-Rydzu". Powstała w 1936 r., niezwykle popularna w Wojsku Polskim, śpiewana także w wielu szkołach, w pełni oddaje kult Rydza i nastroje społeczne przed wojną.

Na wojnę 1939 r. zawsze będziemy patrzeć przez pryzmat postaci Edwarda Rydza-Śmigłego. W pełni charakteryzuje ona stan i poziom sanacyjnych elit oraz ich odpowiedzialność za II Rzeczypospolitą. Spór o rolę Rydza-Śmigłego w międzywojniu będzie się toczyć pewnie jeszcze długo, bo nie da się uciec od rozpatrywania jego odpowiedzialności za przebieg wojny i przyczyny klęski. Skupię się jednak na innych aspektach jego biografii, w której jest wiele zastanawiających pytań dlaczego...

Choćby takie: dlaczego to on został następcą Józefa Piłsudskiego? Najprościej byłoby odpowiedzieć, że takie było wskazanie Ziuka. Nie tylko biografowie Rydza-Śmigłego przywołują opinię Piłsudskiego o generałach, w której zawarł słowa: „Pod względem mocy charakteru i woli stoi najwyżej pośród generałów polskich". To ważna konstatacja, ale należy pamiętać, kiedy powstała. W 1922 r., po wojnie z bolszewikami i jawnym już konflikcie Piłsudskiego z gen. Tadeuszem Rozwadowskim, którego wkładu w to zwycięstwo nie da się pominąć. To opinia woskowego samouka, który nie ukończył żadnej szkoły wojskowej ani nie służył w regularnej armii jako zawodowy oficer. Piłsudski nie rozumiał i nie doceniał szkolnictwa wojskowego, nie pojmował, że Rydzowi, absolwentowi rocznej szkoły oficerskiej, trudno było się równać fachową wiedzą z generałami Rozwadowskim czy Kutrzebą, absolwentami akademii wojskowych z prawdziwego zdarzenia, przy czym ten pierwszy ukończył uczelnię jako prymus.

Skoro w czasie zamachu majowego Rydz-Śmigły „nie zawiódł" Piłsudskiego i zawsze stał przy nim, było zrozumiałe, że właśnie on miał zostać następcą marszałka. Rozmowa tych dwóch dzień przed śmiercią Piłsudskiego utwierdzała otoczenie w przekonaniu, że tak ma być. I wolę marszałka należało uszanować. Przynajmniej tak uważał prezydent Ignacy Mościcki, też piastujący urząd z woli Piłsudskiego.

Buławizacja

10 listopada 1936 r. prezydent Mościcki mianował Rydza-Śmigłego generałem broni i jednocześnie marszałkiem Polski. Na dodatek odznaczył go Orderem Orła Białego. Buławę marszałkowską, poświęconą w kaplicy Zamku Królewskiego w Warszawie, Mościcki wręczył na dziedzińcu zamkowym.

Awans na marszałka spotkał się z bardzo negatywnymi ocenami, wręcz oburzeniem niemałej części obozu sanacyjnego, również dawnych legionistów. Trzykrotny premier płk Walery Sławek, choć był na uroczystości na Zamku Królewskim, mówił swoim współpracownikom, że ten 10 listopada traktuje jako „najsmutniejszy dzień w swoim życiu".

Na podwójną promocję Rydza-Śmigłego, nazywaną przez jego przeciwników „buławizacją", niemały wpływ miało to, co dziś nazwalibyśmy lansowaniem czy promocją. Otoczenie Rydza prowadziło zakrojoną na szeroką skalę działalność marketingową, której celem było pokazanie, że jest on naturalnym następcą Piłsudskiego i będzie kontynuatorem jego polityki. Stąd liczne plakaty, na których Rydz widniał na tle postaci Piłsudskiego.

Wraz z „buławizacją" na dobre zaczęło się tworzenie kultu nowego marszałka. Czynniki rządowe, wojskowe, cała machina państwowa, szkoły, różnego rodzaju organizacje i stowarzyszenia miały na celu uczynienie z Rydza wodza narodu. I czyniono to, nie szczędząc publicznych pieniędzy. Do najbardziej znaczących architektów politycznego wsparcia i promotorów Rydza trzeba zaliczyć premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego czy płk. Adama Koca, pierwszego szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego. Ten drugi tak

eprasa.pl 11278a6272

Marszałek Edward Rydz-Śmigły składa życzenia imieninowe prezydentowi RP Ignacemu Mościckiemu, 1937 r.

zaprojektował strukturę Ozonu, by scementować społeczeństwo wokół armii i osoby naczelnego wodza. Następca Koca, gen. Stanisław Skwarczyński, kontynuował linię bezkrytycznego podporządkowania obozu rządzącego autorytetowi nowego marszałka. Do gorących orędowników należał też ówczesny marszałek Senatu ppłk Bogusław Miedziński.

Zbierzchowski, który spłodził rozpowszechnianą czołobitną, dedykowaną bezpośrednio Śmigłemu „Balladę imieninową".

Część biografów Rydza-Śmigłego, a raczej jego hagiografów, pisze, że ten początkowo nie miał aspiracji politycznych, to otoczenie i jego partnerka Marta Zaleska pchnęli go na drogę walki politycznej. Trudno w to uwierzyć, bo Rydz mógł odmówić zostania marszałkiem, tak jak później gen. Jaruzelski, poza tym nie przeszkadzało mu, że sprzeniewierzył się Piłsudskiemu, który uważał, iż buławę powinno się otrzymać po zwycięskiej wojnie, a nie przed nią.

Wmawiana Polakom wielkość Rydza-Śmigłego wpłynęła na świadomość społeczeństwa. Wierzyło ono zapewnieniom wodza, że „nie oddamy ani guzika".

Do promocji Rydza wprzęgnięto prasę będącą pod wpływem rządu. Tu do swojej śmierci w 1936 r. główną rolę odgrywał Wojciech Stpiczyński. Do znanych osób lansujących Rydza trzeba zaliczyć obok wspomnianego Adama Kowalskiego Melchiora Wańkowicza. Ten wybitny reportażysta i pisarz, który wówczas pracował w rządowej instytucji, pisał teksty i broszury budujące mit silnej, zwartej i gotowej Polski pod dowództwem Rydza. Działania te wspomógł apologeta Rydza, literat Henryk

Rydz-Śmigły nie czuł się gorszy od innych legionistów. Skoro Beck, Sławek, Świtalski i inni mogli być marszałkami Sejmu, premierami, ministrami, to dlaczego nie on? Stanowisko głównego inspektora Sił Zbrojnych, poprzednio zajmowane przez Piłsudskiego, wręcz sprzyjało aspiracjom politycznym Rydza, który zaczął się uważać za wielką osobowość.

Podobnie myślał premier Składkowski, który 13 lipca 1936 r. wydał okólnik, w którym napisano: „Zgodnie z wolą Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego zarządzam, co następuje: Generał Śmigły-Rydz, wyznaczony przez Pana Marszałka Józefa Piłsudskiego, jako Pierwszy Obrońca Ojczyzny i pierwszy współpracownik Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w rządzeniu państwem, ma być uważany i szanowany, jako pierwsza w Polsce osoba po Panu Prezydencie Rzeczypospolitej. Wszyscy funkcjonariusze państwowi z prezesem Rady Ministrów na czele okazywać Mu winni objawy honoru i posłuszeństwa".

To dziwaczne, groteskowe, a co najważniejsze – pozakonstytucyjne usytuowanie Rydza jeszcze wzmogło działania na rzecz szerzenia jego kultu, co wyrażało się choćby tym, że przypadające 18 marca imieniny Rydza-Śmigłego traktowane były podobnie jak święto państwowe.

Tromtadracja, szerzenie kultu i sposoby kreowania na siłę

eprasa.pl 11278a6272

Pierwszego Obrońcy Ojczyzny stały się obiektem wielu żartów, szczególnie ze strony ludzi kultury. Mnogość plakatów, akademii, głoszonych haseł: „Wodzu, prowadź", tekstów w prasie podkreślających, jaki on mądry i że gdyby nie on… (skąd my to dzisiaj znamy?), może być porównywana chyba jedynie z gloryfikacją Stalina. Wmawiana Polakom wielkość Rydza z pewnością jednak wpłynęła na świadomość niemałej części społeczeństwa. Wierzyło ono zapewnieniom wodza narodu, że „nie oddamy ani guzika". Stąd też ogromne rozczarowanie wynikiem wojny 1939 r.

Awans na marszałka spotkał się z oburzeniem niemałej części obozu sanacyjnego, również dawnych legionistów.

Austria, Czechosłowacja…

To usytuowanie marszałka Śmigłego, de facto politycznego ambicjonera, jeszcze bardziej wpłynęło na jego zaangażowanie polityczne. Stawał się jednym z ośrodków władzy, co niezbyt podobało się prezydentowi Mościckiemu czy Józefowi Beckowi. Rydz wchodził temu ostatniemu w paradę, choć przecież to Beckowi Piłsudski powierzył politykę zagraniczną. Śmigły mało się na niej znał, niewłaściwie odczytywał wydarzenia, jakie zaczęły się rozgrywać w Europie. Przede wszystkim nie pojął zagrożenia płynącego z przejęcia władzy w Niemczech przez hitlerowców. Aneksję Austrii przez III Rzeszę traktował jako element skierowania uwagi Hitlera na południowy Zachód. Najpierw prężąc muskuły, a potem chełpiąc się zajęciem Zaolzia, nie przewidział skutków rozbioru Czechosłowacji, zmieniających układ sił i granicę z III Rzeszą. Rydz nie rozumiał, że sojusz polsko-czechosłowacki wzmacniałby i ochraniał Polskę. Wolał trzymać się Niemiec.

O jednym muszę jednak napisać. Nie uważam za błąd opuszczenia przez Rydza Polski 17 września, ale nie do przyjęcia jest to, że nie widział siebie w gronie winnych klęski wrześniowej. Chcę postawić sprawę jasno: wojny z Niemcami, nawet gdyby Armia Czerwona nie wkroczyła na wschodnie terytoria II RP, osamotnieni wygrać nie mogliśmy. Na jej przebieg naczelny wódz miał jednak wpływ. Czy trafnie rozpoznał, w co należy wyposażyć armię, wiedząc, że Niemcy mają ogromną przewagę w liczbie czołgów? I co dać żołnierzom, by mogli niemieckie czołgi niszczyć? Na te i inne pytania niech odpowiedzą specjaliści.

Po klęsce wrześniowej Rydz-Śmigły znalazł się w Rumunii. 2 stycznia 1940 r. na posiedzeniu Rady Ministrów Jan Stańczyk, minister opieki społecznej, działacz PPS, przedstawił wniosek w sprawie pociągnięcia do odpowiedzialności osób winnych upadku Polski. W stosunku do wymienionego na pierwszym miejscu Rydza zawarł postulat: „Rada Ministrów uchwalić raczy: Rząd poczyni zarządzenia celem:

I. Stawienia przed właściwy sąd wojskowy Edwarda Rydza-Śmigłego, marszałka Polski, byłego głównego inspektora sił zbrojnych za a) zaniedbania w służbie, których następstwem było nieprzygotowanie armii do ciążącego na niej zadania obrony kraju i za nieprzygotowanie linii obronnych, które mogły stanowić skuteczną obronę przed najazdem kraju przez wroga; b) za prowadzenie działań wojennych w sposób, który przyspieszył niepomyślny obrót operacji wojskowych; c) za dezercję poza granice kraju w czasie toczących się działań wojennych".

Po ponad trzymiesięcznej dyskusji w obozie londyńskim rząd gen. Sikorskiego przyjął 8 maja 1940 r. dekret o powołaniu komisji w związku z wynikiem kampanii wojennej 1939 r. Jej prace zaprezentowane zostały w wydanej przez „Przegląd" książce „Kto odpowiada za klęskę wrześniową. Próby rozliczeń 1939-1954". Lektura tej publikacji dowodzi, że ani Rydz, ani Sławoj Składkowski, Beck i inni nie poczuwali się do winy za klęskę we wrześniu 1939 r., a wielu z nich w stosunku do rządu Sikorskiego zachowywało się lekceważąco i buńczucznie.

Osoba prywatna

Gdy w grudniu 1940 r. Rydz-Śmigły uciekł z internowania w Rumunii

POWIATOWA KLEOPATRA

Kim była Marta Thomas-Zaleska? Jej postać charakteryzuje Śmigłego i jego środowisko, ale czy tylko jego?

Podczas I wojny światowej była kurierką w Kijowie w Polskiej Organizacji Wojskowej. Na Edwarda Rydza-Śmigłego miała ogromny wpływ psychologiczny, całkowicie dominując nad nim w życiu prywatnym. W kręgach sanacyjnych szeptano, że u jej boku potężny marszałek stawał się uległy i bezwolny wobec kosztownych kaprysów partnerki. Uznawano go wręcz za pantoflarza. Marta Thomas-Zaleska nie była lubiana wśród sanacyjnego towarzystwa, które złośliwie nazywało ją „powiatową Kleopatrą".

Pozycję Rydza wykorzystywała do zabezpieczenia własnej przyszłości finansowej. W 1938 r. za pieniądze pochodzące z funduszy polskiego wywiadu wojskowego kupiono dla niej luksusową willę w Monte Carlo. We wrześniu 1939 r., uciekając z kraju, wywiozła kilkanaście waliz pełnych cennych przedmiotów z domu marszałka. Wśród nich znalazły się nie tylko rodzinne pamiątki, ale też bezcenne dobra o statusie państwowym, m.in. szabla koronacyjna króla Augusta II Mocnego, którą później miała sprzedać (w książce „Kto odpowiada za klęskę wrześniową" są raporty informujące o kwotach wywożonych przez żonę Becka).

Marta Zaleska poniosła śmierć w do dziś niewyjaśnionych okolicznościach. Jej poćwiartowane ciało znaleziono w lipcu 1951 r. w Monte Carlo. Wraz z jej śmiercią zginęły będące w jej posiadaniu dokumenty, w tym archiwalia wytworzone przez Rydza.

eprasa.pl 11278a6272

Wręczenie sztandarów ufundowanych przez ludność ziemi wileńskiej pułkom artylerii w Wilnie, 1938 r. Wbrew temu, co twierdzi Karol Nawrocki, po 1918 r. na sztandarach widniał napis „Honor i Ojczyzna", słowo „Bóg" dodano zaś dopiero w 1943 r.

i jesienią 1941 r. potajemnie wrócił do Warszawy, chcąc pewnie mieć wpływ na polskie podziemie, rząd w Londynie wydał jednoznaczne instrukcje dla władz w kraju, by był on traktowany jak osoba prywatna i ignorowany. Gen. Stefan Rowecki „Grot", dowódca ZWZ, otrzymał zakaz oficjalnego układania się z nim. Mało tego, w Londynie niektórzy politycy mówili, że powrót Rydza do kraju bez zgody rządu w warunkach wojennych kwalifikuje się pod sąd polowy.

W tym miejscu warto wspomnieć o wywodzących się z kręgów wojskowych krytykach marszałka. Choćby o gen. Władysławie Andersie, który we wspomnieniach „Bez ostatniego rozdziału" niezwykle krytycznie oceniał dowodzenie i przygotowanie przez Rydza-Śmigłego armii do wojny z Niemcami. Gen. Marian Kukiel w powojennych tekstach wspomnieniowych i analizach surowo oceniał jego brak talentu strategicznego.

W podobnym tonie wypowiadali się i pisali publicyści oraz dziennikarze polityczni. Stanisław Cat-Mackiewicz w swojej „Historii Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939" pisał o Rydzu jako człowieku pozbawionym instynktu politycznego, który bezkrytycznie uwierzył we własną wielkość i doprowadził kraj do katastrofy. Według Mariana Brandysa Rydz w opinii społeczeństwa przeistoczył się z bohatera narodowego w symbol zdrady. Ksawery Pruszyński pisał o tragizmie pokolenia, które ślepo wierzyło w hasło „silni, zwarci, gotowi", stworzone przez machinę propagandową Rydza-Śmigłego. W podobnym tonie pisał Jerzy Giedroyc.

W literaturze i publicystyce postać Rydza niemal zawsze funkcjonuje jako figura tragiczna – człowiek, którego własne ambicje i propaganda przerosły, skazując na potępienie przez współczesnych mu autorów. Na przykład Marian Hemar w wierszu „Do Generała" zawarł słowa: „Generale! My polegli. Ty żyjesz? / (…) Ach Pan przegrał coś więcej niż wojnę. / Coś więcej niż wojsko – zmarnował".

W Polsce, szczególnie po wojnie, jak również wśród większości ludzi obozu londyńskiego, Rydz-Śmigły uchodził za politycznego bankruta. Jeszcze w PRL ukazała się rzetelna jego biografia autorstwa Ryszarda Mirowicza, natomiast w III RP zaczął się proces wynoszenia go na piedestał. Rydz znajduje chwalców, którzy dążą do usytuowania go w przestrzeni publicznej. Dlatego mamy w Warszawie park jego imienia, Rydz jest patronem ulic, np. w Łodzi, Zielonej Górze czy Nowej Hucie, a nawet patronem szkół.

Słowem, odradza się kult Rydza-Śmigłego. Będzie on nabierał znaczenia z wielu powodów, jednak głównie za sprawą Karola Nawrockiego, zafascynowanego postaciami, które miały symbolizować siłę i które stale o niej mówiły, do tego, jak Rydz, z zaciśniętymi pięściami. A także z racji zagrożenia wojennego wynikającego z konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. Pojawi się argument, że w trudnych chwilach musimy się skupić przy prezydencie, który jest zwierzchnikiem sił zbrojnych. Nie zważając na pozakonstytucyjne posunięcia nie tylko lokatora Pałacu Prezydenckiego. Czym to się skończyło, dobrze wiemy.

Śmigły mało się znał na polityce zagranicznej, niewłaściwie odczytywał wydarzenia, jakie zaczęły się rozgrywać w Europie.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

eprasa.pl 11278a6272

Silni, zwarci, niegotowi

Rydz-Śmigły pozbawiony był strategicznej myśli przewodniej

Tadeusz Panecki

Edward Rydz-Śmigły, legionista, piłsudczyk, generalny inspektor Sił Zbrojnych, naczelny wódz w kampanii wrześniowej 1939 r. i następca na urzędzie prezydenta RP, był absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na kierunku malarstwo, studiował też historię sztuki i filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz malarstwo w Monachium, Norymberdze i Wiedniu.

Wykształcenie wojskowe przyszłego marszałka Polski prezentuje się z kolei mizernie: jednoroczna służba wojskowa w armii austriackiej zakończona uzyskaniem stopnia chorążego oraz kurs oficerski w Związku Strzeleckim. Doświadczenie wojenne w armii austriackiej oraz w Legionach w czasie I wojny światowej, a zwłaszcza dowódcze na stanowiskach taktycznych i operacyjnych w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920, dokumentowane uzyskiwaniem kolejnych szybkich awansów oficerskich, zapowiadały bardzo dobrego oficera wysokiego szczebla. Z taką też wiarą odniósł się do tej postaci pisarz Juliusz Kaden-Bandrowski w słowach: „Tam gdzie uderza Śmigły, tam musi być wynik dodatni, tam gdzie on gospodaruje, ład".

Naczelnik państwa z kolei pisał o Rydzu-Śmigłym w urzędowej charakterystyce z grudnia 1922 r.: „Pod względem charakteru dowodzenia: silny charakter żołnierza, mocna wola i spokojny, równy opanowany charakter (...), stoi najwyżej pośród generałów polskich. (...) Natomiast co do otoczenia własnego i sztabu – kapryśny i wygodny, szukający ludzi, z którymi by nie potrzebował walczyć lub mieć jakiekolwiek spory. (...) Jeden z moich kandydatów na Naczelnego Wodza". Piłsudski nie był jednak pewien jego zdolności operacyjnych „w zakresie prac Naczelnego Wodza i umiejętności mierzenia sił nie czysto wojskowych, lecz całego państwa swego i nieprzyjaciela".

Była to najlepsza opinia o generałach wystawiona przez Józefa Piłsudskiego na użytek Ścisłej Rady Wojennej. Tuż za Rydzem-Śmigłym znaleźli się generałowie Kazimierz Sosnkowski i Władysław Sikorski.

W następnych latach Śmigły stale uzupełniał wiedzę wojskową i z czasem stał się autorytetem w dziedzinie wojskowości, co było swoistym ewenementem u osoby bez formalnego wykształcenia wojskowego.

Po śmierci Piłsudskiego Śmigły otrzymał nominację na stanowisko generalnego inspektora Sił Zbrojnych. Prezydentowi Ignacemu Mościckiemu i premierowi Waleremu Sławkowi wydawał się znacznie wygodniejszy niż drugi kandydat, gen. Sosnkowski, gdyż sądzono, że ograniczy swoje zainteresowania do spraw wojskowych. Jak się później okaże, Śmigły objawi ambicje i aspiracje polityczne. Z czasem uwidocznią się jego dążenia do przejęcia władzy i sprawowania jej „żelazną i twardą ręką". Wzmocni go w tym okólnik premiera Feliksa Sławoja Składkowskiego z 13 lipca 1936 r.

W kraju tymczasem narastał kult Śmigłego, podsycany przez jego zwolenników, propagujących mocarstwowość Polski. Sam Śmigły wypowiadał się w takim duchu jak na zjeździe legionistów w Krakowie 5 sierpnia 1936 r., kiedy oświadczył stanowczo: „My po cudze nie sięgamy, ale swego nie oddamy. Nie tylko nie damy całej sukni, ale nawet guzika od niej".

Aż do wiosny 1939 r. Rydz-Śmigły zagrożenia dopatrywał się na Wschodzie, w armii zatem największą wagę przywiązywano do opracowywania Planu W na wypadek wojny z ZSRR. Dopiero w pierwszych miesiącach 1939 r. Śmigły i jego ekipa zaczęli widzieć realnego wroga i agresora w III Rzeszy. Wtedy pośpiesznie rozpoczęto prace nad Planem Z. Nie uzyskał on jednak statusu oficjalnego dokumentu. A naród karmiony hasłami o sile, zwartości i gotowości oraz o tym, że nie oddamy ani guzika, wierzył w potęgę armii, która miała być gwarantem niepodległości.

1 września 1939 r., po ataku III Rzeszy na Polskę, prezydent Mościcki mianował Śmigłego na naczelnego wodza i jednocześnie wyznaczył go na następcę głowy państwa. Zarazem wezwał obywateli do skupienia się wokół naczelnego wodza i armii w celu odparcia agresji. Poparcie zadeklarowały wszystkie partie polityczne. Śmigły jednak odrzucił propozycje utworzenia rządu ocalenia narodowego, jakie przedkładali mu politycy, poza opozycyjnymi.

W dalszych dniach jako głównodowodzący nie sprostał wymogom czasu wojny. Próbował dowodzić bezpośrednio poszczególnymi dywizjami i armiami, co przy fatalnej łączności jeszcze bardziej pogłębiało chaos decyzyjny. Niektóre rozkazy były spóźnione i brakowało w nich

Dopiero w pierwszych miesiącach 1939 r. Śmigły i jego ekipa zaczęli widzieć realnego wroga w III Rzeszy.

eprasa.pl 11278a6272

spójności. Widoczne to było m.in. przy podejmowaniu decyzji w sprawie zwrotu zaczepnego Armii „Poznań” do bitwy nad Bzurą. Decyzji naczelnego wodza nie mógł się doczekać gen. Tadeusz Kutrzeba!

Śmigły pozbawiony był strategicznej myśli przewodniej, gubił się w szczegółach. Uwagę zwracają błędy personalne marszałka podczas kampanii 1939 r. Gen. Sosnkowski, doświadczony dowódca, nie miał przydziału aż do 10 września, podczas gdy skompromitowani w początkowej fazie wojny generałowie Stefan Dąb-Biernacki i Kazimierz Fabrycy marnowali polski wysiłek wojenny. Podobnie było z wieloma innymi generałami faworyzowanymi przez Śmigłego ze względu na legionową przeszłość, którzy zawiedli podczas kampanii (m.in. Władysław Bortnowski, Czesław Młot-Fijałkowski, a także niemający legionowej przeszłości Juliusz Rómmel).

Śmigłemu zarzuca się zlekceważenie sygnałów, że po rozpoczęciu wojny z Niemcami od wschodu może zaatakować Związek Radziecki. Po wkroczeniu Armii Czerwonej 17 września naczelny wódz wydał dyrektywę ogólną, w której nakazywał wycofywanie się wojsk w kierunku na Węgry i Rumunię oraz unikanie walki z Rosjanami, co wyraziło się zapisem dość kuriozalnym jak na wojskowe rozkazodawstwo: „Sowiety wkroczyły. (...) Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony albo próby rozbrojenia oddziałów”. Tak podany rozkaz wywołał wiele zamieszania i niezrozumienia wśród dowódców wojsk Korpusu Ochrony Pogranicza. Ci, zdezorientowani, w jakim charakterze wkraczają Rosjanie, nie bardzo wiedzieli, jak działać. A to skutkowało wieloma stratami po stronie polskiej w pierwszych godzinach sowieckiej agresji.

Jednak najczarniejszą kartę w swoim życiorysie zapisał marszałek Edward Rydz-Śmigły w nocy z 17 na 18 września 1939 r., kiedy wraz z prezydentem, premierem i innymi polskimi oficjelami przekroczył granicę z Rumunią, a następnie został internowany. Stamtąd wydał wojskom ostatni rozkaz, w którym wskazywał, że przyczyną klęski było wkroczenie Armii Czerwonej oraz że opuścił kraj, by kontynuować wojnę z pomocą Francji i Wielkiej Brytanii. Trudno dziś powiedzieć, czy marszałek miał wówczas świadomość, że Francuzi nie chcieli z nim – człowiekiem przegranym, z którym zaciągali zobowiązania wojskowe – rozmawiać i kontynuować wojny o wolność Polski. Wygodniej im było postawić na przedstawicieli przedwojennej opozycji z gen. Władysławem Sikorskim na czele.

Tak czy inaczej, trudno obronić decyzję Śmigłego o przekroczeniu granicy rumuńskiej. Oto naczelny wódz porzuca walczące wojska i rejteruje. Broni się jeszcze Warszawa, walczy Hel, oddziały walczą zarówno z Niemcami, jak i z Sowietami. Gdyby jeszcze, ostrzeliwując się symbolicznie przed nacierającymi wojskami sowieckimi, z karabinem w ręku na czele grupki żołnierzy przekroczył most na Czeremoszu, ale nie 17 września, może kilka dni później... Może wówczas historia byłaby bardziej wyrozumiała dla polskiego naczelnego wodza?

Gen. Sosnkowski nie miał przydziału aż do 10 września, podczas gdy skompromitowani generałowie Dąb-Biernacki i Fabrycy marnowali polski wysiłek wojenny.

A tak zapisał się na kartach historii jako winowajca największej klęski militarnej państwa polskiego w nowożytnych dziejach, w następstwie której naród poddany został brutalnej okupacji ze straszliwymi skutkami i długoletnimi tragicznymi następstwami. Klęski, której przyczyny są bardzo złożone i wielorakie, a biorąc pod uwagę ówczesną sytuację polityczno-militarną, nieskuteczne sojusze, osamotnienie Polski i ogromną przewagę agresorów, nawet naczelny wódz o geniuszu Napoleona tej kampanii by nie wygrał. ■

Odszedł

MACIEJ HOFFMAN

Dla wydawców i dziennikarzy człowiek instytucja. Dla mnie Przyjaciel i dobry duch.
Wspierający „Przegląd” i Stowarzyszenie Dziennikarzy RP.
Niezawodny, zawsze pomocny i życzliwy. Lider naszego środowiska.
Kreatywny wizjoner, który współtworzył Izbę Wydawców Prasy, gdzie był dyrektorem generalnym, i SDiW Repropol, któremu przez lata prezesował.
Zrobił w swoim życiu tyle dobrego, że warto powiedzieć:
Są ludzie niezastąpieni.

ŻEGNAJ, MAĆKU

Rodzinie i Bliskim najszczerzej współczuję

Jerzy Domański

FOT. IRENEUSZ HYRA

eprasa.pl 11278a6272

CZĘŚĆ 2.

Prof. STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
– historyk biografista, autor monumentalnego, dotychczas 23-tomowego cyklu „Kresowa Atlantyda".

Kustosz kresowej pamięci

Napisałem 23 tomy sagi kresowej. Piszę dalej…

Rozmawiają Robert Walenciak, Jerzy Domański, Paweł Dybicz

Pisze pan kolejne tomy „Kresowej Atlantydy"?

– Tak, piszę rytmicznie. Przez ostatnie dwa letnie miesiące napisałem prawie połowę 24. tomu. Miastem wiodącym będzie Nowogródek i w tym rozdziale mierzę się z największym mitem i legendą polskiej literatury, a nawet historii Polski – fenomenem Adama Mickiewicza. To nie było proste. O Mickiewiczu napisano tysiące artykułów, jest sto różnych biografii. Jak powiedzieć coś oryginalnego na dziesięciu stronach? Sądzę, że znalazłem klucz! I piszę dalej. Póki oczy dają radę.

Dlaczego oczy?

– Bo przy tym, co robię, trzeba dużo czytać. Trzeba ściągać rzadkie rzeczy. To jest główna siła moich książek, że wyciągam opowieści z rodzinnych archiwów oraz rodzinnych samizdatów i wprowadzam je do kolejnych tomów. W swoim domu na wsi, gdzie głównie pracuję, mam w zbiorach, w bibliotece, ok. 7 tys. książek, które wydały rodziny. Czasem książka została wydana w 12 egzemplarzach, czasem w 50. Lekarz, adwokat, notariusz, inżynier na emeryturze czy rolnik pisze historię swojej rodziny, chce ją zostawić wnukom. Czasem jest tak perfekcyjny jak porządny historyk. Zawodowi historycy częstokroć lekceważą takie rodzinne wydawnictwa i archiwa. U zawodowych historyków przeważa kult archiwum państwowego oraz solidnej biblioteki naukowej. Bo można dać przypis: Archiwum Akt Nowych czy Zbiór Rękopisów z wrocławskiego Ossolineum – to ma być dowód, na jak solidnym warsztacie naukowym oparta jest monografia. A częstokroć w tych zasobach archiwalnych jest jakiś marny donos, uzłośliwiony list, plotka, faktograficzny bełt. Jest swoista sakralizacja zasobów archiwów państwowych. Ja mam do tego dystans. Często słyszę od kolegów z mojej profesji, że książki rodzinne to bajkopisarstwo.

Czasami mają rację.

– Owszem, są bajkopisarze, którzy tworzą biografie swojej rodziny, ale są też ludzie bardzo rzetelni, którzy mają kult faktu. Docieram do

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 11278a6272

takich, zyskałem ich zaufanie, oni mi wysyłają swoje prace, ja to później wykorzystuję. Podam przykład: miejscowość Baranowicze pod Nowogródkiem. Przed wojną była tam słynna radiostacja, która toczyła walkę propagandową z radziecką stacją w Mińsku białoruskim. W ochronie polskiej radiostacji pracował Szymon Środa – polski Białorusin. Jego siostrzeniec Antoni Godycki-Ćwirko, prowadzący na Dolnym Śląsku duże ogrodnictwo, napisał na 140 stronach opartą na dokumentach historię swojego rodu, żyjącego w Baranowiczach od czasów Chodkiewicza. Wykorzystałem to, zrobiłem z tego pięć stron esencji do czytania, wykorzystałem z niej kilka zdjęć, które cudem przetrwały wojnę.

Nie wziął pan wszystkiego.

– Wtedy może nikt nie wziąłby mojej książki do ręki, poza rodziną. To też jest kwestia pewnych modułów, które stosuję. Bo wiem, że dziś ludzie czytają inaczej, zwłaszcza młodzież. Staram się więc do nich dotrzeć. Uznałem, że czytelnik nie musi książki czytać od deski do deski. Może ją otworzyć na 154. stronie, znajdzie tam trzy-, czterostronicowy moduł, który go zainteresuje. Znajdzie dobrze opisane zdjęcie. Z anegdotą. Jak go to zainteresuje, cofnie się albo pójdzie dalej i tam znajdzie inny moduł czy zdjęcie, które również go zaciekawi.

Opowieść szkatułkowa.

– Tak, dotyka pan istoty sprawy i wzorca, po który sięgnąłem – słynnej szkatułkowej powieści Jana Potockiego „Rękopis znaleziony w Saragossie", będącej moją ulubioną powieścią, i genialnego filmu Wojciecha Hasa o tym samym tytule. Ja stosuję moduły i muszę tu wyjaśnić, co rozumiem przez moduł. Jest to krótka opowieść o człowieku, grupie ludzi czy jakimś wydarzeniu, która sama w sobie stanowi swoistą całość. Norman Davies używa w książkach określenia kapsułka – w sposób encyklopedyczny próbuje zdefiniować jakieś zjawisko czy spuentować biografię.

Ma pan swoją metodę.

– I ja tą swoją metodą, myślę, zdobyłem publiczność, bo jednak jestem czytany. Oczywiście nie jestem Remigiuszem Mrozem, ale „Kresowa Atlantyda" wyszła już w nakładzie ok. 250 tys. egzemplarzy, a historia Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie w ponad 300 tys. (sześć wydań). Każdy tom idzie po prawie 10 tys., a te pierwsze ze Lwowem doszły do 20-25 tys. Mimo że książka jest dość droga. Uznałem, że „Atlantydy" muszą być dobrze wydane, że to nie jest książka typu: przeczytaj i wyrzuć, tylko taka, która jest na półce, do której się wraca, którą czyta dziadek, potem wnuk, a kiedyś sięgnie po nią może nawet praprawnuk. Że zdjęcia nie blakną, strony się nie rwą. Że ta książka to część rodzinnych pamiątek.

To ciekawe, że ludzie z Kresów kultywują pamięć o rodzinnych miejscach chętniej niż ci z centrum Polski. Zastanawiał się pan może dlaczego?

– Jest jakiś tego typu kult, szczególnie z obszaru Galicji. Moje książki wołyńskie o Łucku, Krzemieńcu czy Mizoczu idą gorzej, a znakomicie sprzedają się książki o Kołomyi, Samborze, Żółkwi czy Stryju. Każdy tom trzeba dodrukowywać.

Skąd to się bierze?

– Mam przekonanie, że wiąże się to z polskim dorobkiem edukacyjnym na tych ziemiach. To, co zrobiono w zaborze austriackim w kwestii edukacji w tych Złoczowach, w tych Stryjach, w tych Samborach, to były fantastyczne i na wysokim poziomie gimnazja. Oni tam świetnie kształcili, ich uczniowie szli na Uniwersytet Jana Kazimierza do Lwowa, byli jego siłą. Tam się wytworzył kult genealogii, pamięci o tym, jakie mamy korzenie. To jest nieporównywalne z Wołyniem czy Polesiem, bo tam pod knutem carskim w ostry sposób tępiono polskość i nie przykładano specjalnej wagi do poziomu prowincjonalnych szkół. Tolerancja w zaborze austriackim powodowała, że wiele rzeczy można było rozwijać.

I to pulsowało.

– Oczywiście. Na przykład w takim miasteczku Tłumacz wyrasta Ostap Ortwin, jeden z największych polskich krytyków literackich. Działał we Lwowie, był wyrocznią, tak jak Marcel Reich-Ranicki w naszych czasach. Ukształtowało go przecież środowisko, skończył gimnazjum w Tłumaczu, dostał szlify, językowe, inne, na najwyższym poziomie. Z tego gimnazjum w Tłumaczu wychodzi też Tadeusz Hollender – wybitny pisarz lewicowy. I to jest również nadzwyczajna postać. A ze stryjskiego gimnazjum wychodzą Kazimierz Wierzyński, Wilam Horzyca, Kornel Makuszyński i Stanisław Wasylewski, z brodzkiego – Józef Roth i Józef Korzeniowski, z buczackiego – noblista Szmuel Agnon, Szymon Wiesenthal i Kornel Ujejski. Gdybym miał tu wymienić nazwiska absolwentów gimnazjów ze Stanisławowa, Drohobycza czy Kołomyi, musiałby pan całą szpaltę tego wywiadu na to poświęcić. I oni z Tłumacza i z tych innych prowincjonalnych miasteczek idą do Lwowa, i budują siłę Uniwersytetu Lwowskiego, która naprawdę przebijała wszystkie inne uniwersytety w tej części Europy.

Lwowski Uniwersytet Jana Kazimierza był wśród 40 najwyżej notowanych uczelni, gdyż tam był światowy poziom matematyki, medycyny i humanistyki.

Na przełomie XIX i XX w. Uniwersytet Franciszkański, jak wtedy się nazywał, był największą uczelnią Galicji i trzecią w Austrii – po wiedeńskim i praskim.

– Lwów wygrał z Krakowem. W czasach galicyjskich ten uniwersytet dostał lotów. Tam ze stworzoną szkołą lekarską pojawił się światowej sławy chirurg Ludwik Rydygier. Tam się objawili Hugo Steinhaus i Stefan Banach, z plejadą światowej sławy matematyków. Tam wyrasta postać Kazimierza Twardowskiego, bez którego nie byłoby polskiej szkoły filozoficznej, a spod jego ręki wyszli Tatarkiewicz, Kotarbiński czy Ajdukiewicz. Tam tworzą wybitni poloniści – Juliusz Kleiner i Antoni Małecki, znakomici historycy – Szymon

eprasa.pl 11278a6272

Askenazy, Ludwik Finkel i Adam Próchnik… Dzisiaj nasze najwyżej notowane w światowych rankingach uniwersytety – Warszawski i Jagielloński – lokują się na pozycjach koło pięćsetki, a przedwojenny lwowski – Jana Kazimierza – był w czterdziestce najwyżej notowanych uczelni, gdyż tam był światowy poziom matematyki, medycyny i szeroko pojętej humanistyki. Podobną opinię miała Politechnika Lwowska. I to jest fenomen Lwowa, jak mocno tamta Polska jest w naszej pamięci. Choć, jak dzisiaj patrzę, są rodziny, które lekceważą tę pamięć.

Zapominają?

– Całe lata jeździłem po jarmarkach staroci. W Bytomiu na Szombierkach – co miesiąc. Albo w Świdnicy czy we Wrocławiu na Gnieźnieńskiej. Bo tam widziałem swoje swoiste archiwum. I często kupowałem rzeczy od tzw. czyścicieli kamienic. Bo nagle umiera jakieś stare małżeństwo, a rodzina w Ameryce czy w Anglii. Przyjeżdża więc wnuk i szybko musi oczyścić mieszkanie. Woła tych czyścicieli i wszystko im hurtem sprzedaje. Część z tego trafia później na jarmarki staroci.

A pan tam szuka.

– Tam też. Jestem np. w Bytomiu i widzę stos albumów i fotografii. Perfekcyjnie opisanych! To jest wartość absolutna. Zdjęcia nieopisane są jak człowiek z chorobą Alzheimera. Czasem dostaję ciekawe zdjęcie, ale go nie wykorzystam, bo nie mam co pod nim napisać. Mieszczanin z Kresów? A cóż to znaczy? Bo z jakiego był miasta? Kim był? Co robił? W jakim czasie to zdjęcie zrobiono? Zdjęcie musi być opisane. Oglądam więc na bytomskim jarmarku te albumy i pytam sprzedawcy, skąd to ma. A on mówi: „Tu, w Gliwicach, porządkowałem mieszkanie po staruszkach, którzy zmarli. Wnuk robotę zlecił. I te albumy też kazał zabrać. Zdziwiło mnie to i spytałem: »Nie chce pan zachować tych zdjęć pana przodków?«. »Mało mnie to interesuje – odpowiedział. – Chociaż bardzo lubiłem dziadka, więc wezmę jego zdjęcie«. Otworzył album, wyrwał jedną fotografię i schował do kieszonki koszuli”. Są też takie zachowania.

A są rodziny, w których jest to ważne.

– Tak, są rodziny, w których panuje wielki kult przeszłości i rodzinnych tradycji! Zdjęcia w ich albumach są opisane szczegółowo, perfekcyjnie. Ludzie przechowują wycinki z gazet z tamtych czasów. Przechowują świadectwa szkolne i dyplomy uniwersyteckie, metryki, akty zgonów i ślubów, rozrysowane drzewa genealogiczne, umowy kupna-sprzedaży itp. Takie rzeczy dostaję. Wielki materiał, tylko trzeba go umieć skondensować, opowiedzieć w miarę ciekawie, podeprzeć krótką anegdotą, nie ględzić, nie przegadać. To jest podstawa.

Z dystansem patrzę na tzw. dorobek polskiej emigracji politycznej w Londynie.

Jak duża grupa ludzi zbiera opowieści o rodzinie i to kultywuje?

– Trudno mi ją wymierzyć. Ale dam przykład inżyniera Andrzeja Galanta z Gliwic. Otóż piszę o Chyrowie. To arcyciekawa opowieść o tym, jak jezuici stworzyli szkołę, z której wyszła elita Polski przedwojennej i powojennej.

Jak stworzyli?

– Dwóch jezuitów działających wcześniej w Tarnopolu powiedziało: kupimy duży teren, najlepiej przy jakimś miasteczku, ale musi być dobra łączność kolejowa, i tam stworzymy szkołę. I tak się stało. Znaleźli Chyrów, małą mieścinę tuż przy dzisiejszej granicy, za Ustrzykami. Postawili tam potężny konwikt, czyli internat na 500 osób, dali wysokie czesne i zaczęli kształcić elity. Wykształcili przeszło 6 tys. ludzi! Kogo!

Kogo?

– Z uczelni chyrowskiej wyszli pisarze: Ksawery Pruszyński, Józef Garliński i Kamil Giżycki, wielcy aktorzy: Kazimierz Junosza-Stępowski i Janusz Warnecki, Ryszard Serafinowicz – ten od „Wielkiej Gry”, kuzyn Jana Lechonia. Skończyli tę szkołę generałowie Roman Abraham i Jerzy Kirchmayer, wybitny rzeźbiarz Antoni Wiwulski – twórca Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie, malarz Adam Styka, a także Eugeniusz Kwiatkowski – budowniczy Gdyni, oraz synowie Wojciecha Korfantego.

Gdy zacząłem pisać o tym konwikcie, dostałem masę wspomnień od potomków wychowanków Chyrowa. I tu pojawił się inż. Galant, który wysłał mi wiele fotografii, w tym tableau z 1897 r. Duże. Jedna grupa, jakiś rocznik, na wycieczce w Czarnohorze. Z tyłu fotografii są wszyscy podpisani. Ponieważ to tableau wisiało gdzieś na ścianie, bardzo wyblakło. Twarze straciły rysy. Ale dziś, używając skanerów, technologii, staraliśmy się odzyskać ostrość.

Udało się?

– Udało! I nagle z tej mgławicy wyszli ci młodzieńcy. Widzę ich twarze, spojrzenia, kto jest łysawy, kto ma wąs, jak kto patrzy. Z tyłu miałem podpisy, więc poszedłem opowieściami biograficznymi, odtworzyłem losy tych ludzi. Ten w Nowej Zelandii skończył, tamten w Brazylii, inny w Londynie, jeszcze inny w jakimś ubeckim więzieniu. Te krótkie opowieści, jak ich rzucało po świecie, robią mi książkę, mogę te swoje moduły budować. Jest na tableau Antoni Marczyński. Przed wojną Marczyński był popularniejszy od Tadeusza Dołęgi-Mostowicza! Pisał niesamowite powieści, jak „Perła Szanghaju”. Dawał scenariusze do filmów, m.in. „Szpieg w masce”, który wszedł do legendy, bo tam Ordonka zaśpiewała szlagier wszech czasów – „Miłość ci wszystko wybaczy”. Marczyński później zniknął zupełnie, bo się naraził.

Komu się naraził?

– Z jednej strony, gdy był w Polsce, stalinowcom, bo pisał powieści gloryfikujące burżuazję. Ale udało mu się wyjechać do Ameryki. A tam niefrasobliwie w jednym z wywiadów powiedział, że bardziej mu odpowiadają polski Wrocław i Zielona Góra niż jakieś błota poleskie pod Pińskiem. Od razu go zaatakowali różni Polonusi, „emigrejtani”, że on Jałtę popiera. A dla Polonusów nie było nic gorszego niż popieranie Jałty!

eprasa.pl 11278a6272

No tak.

– Skasowali go więc i nie mógł ani w Londynie, ani w Ameryce publikować. Teraz w Polsce znów zapanowała na niego moda. Piszę też o Tadeuszu Kutku, osobowości wszechstronnej, który na emigracji w Londynie stworzył polskie biuro turystyczne Fregata. Zaczęło działać w czasie, kiedy między emigracją a krajem żelazna kurtyna była prawie szczelna. Ale zwykli ludzie, w odróżnieniu od polityków, chcieli się odwiedzać. I Kutek im to umożliwił. Dzięki liniom lotniczym, z którymi współdziałał, między Londynem a Warszawą krążyło tysiące rodzin rozdzielonych przez wojnę.

Emigracja polityczna była oddzielona od Polski, nie wolno było do Polski jeździć. Jak poeta Jan Rostworowski pojechał do kraju na pogrzeb matki, to w Londynie wyrzucili go ze Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Marian Hemar znienawidził swojego przedwojennego przyjaciela Juliana Tuwima, bo ten wrócił do Polski, a według niego miał być „emigrejtanem". Taka była atmosfera.

Kutek to też absolwent Chyrowa.

– Nietuzinkowa osobowość, rzecznik i realizator wielkiego kompromisu! Był w przyjaźni i z Andersem, i z Cyrankiewiczem. W kraju Cyrankiewicz woził go samochodem. W Londynie Anders go przyjmował. A gdy mówimy o Londynie… Tam też trafiło sporo Chyrowiaków. Był wśród nich Roman Wajda, który stworzył POSK – Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny. Roman Wajda nie był jak liczni tamtejsi pieniacze, zwalczający się często obelgami, był pragmatyczny, nie kłócił się, ale działał. Wspólnie z podobnymi jak on pragmatykami doprowadził do wybudowania dużego obiektu, w którym były polska biblioteka i polska księgarnia, działały polski teatr i polska restauracja, siedziby miały redakcje polskich czasopism.

Ale w pamięci Polaków ani Tadeusz Kutek, ani Roman Wajda prawie nie istnieje.

– Powstały książki o emigracji, gdzie pełno jest o różnych politykierach, pieniaczach, w rodzaju Adama Ciołkosza, Adama Pragiera czy Zdzisława Stahla, którzy – tworząc często groteskowe rządy – licytowali się, kto jest większym patriotą. Pisze się o wojnach, które prowadził gen. Anders z długowiecznym, „żelaznym" (25 lat) prezydentem RP na uchodźstwie Augustem Zaleskim. Ja staram się w książkach oddać sprawiedliwość ludziom takim jak Kutek i Wajda, a mógłbym wymienić kilkadziesiąt osób im podobnych. Z dystansem patrzę natomiast na tzw. dorobek polskiej emigracji politycznej w Londynie.

Ludzie potrzebują identyfikacji. Każdy ma potrzebę zostawienia jakiegoś śladu.

Potomkowie Kresowian sami do pana przychodzą.

– Tak, np. jestem w Otmuchowie na spotkaniu autorskim. Podchodzi do mnie starsza pani i mówi: „Pan zbiera zdjęcia, mam tu fotografię". Patrzę na nią i pytam, co to jest. A ona: „To jest mój tatuś, na tle pasieki, pod Żółkwią mieliśmy 150 uli. Przyszli do nas na przedwiośniu 1945 r. Rosjanie i mówią: »Tu już nie ma Polski. Tu będzie Ukraina. Polsza za Sanem. Wyjeżdżajcie stąd!«. Co mieliśmy robić? Tatuś zdecydował: »Wyjadę, ale muszę zabrać ze sobą przynajmniej dwa ule z pszczołami. To jest moja krwawica. Bez uli nie jadę«. Pojechaliśmy na dworzec do Żółkwi. Tam się pakowali do wagonów z krowami, z meblami. A on z ulami. Zobaczyli to ludzie i wołają: »Co pan, chce tu wejść z żywymi pszczołami?! Żeby nas pokąsały?! Nie ma mowy! Nie wejdziesz, człowieku! Będziemy trzy-cztery tygodnie jechać«".

A on na to?

– Nie dał się. „»No to pociąg nie ruszy – wołał. – Idę, pod koła się położę! Muszę z ulami. Ja je zabezpieczę. Nie pogryzą was«. Uparł się i z tymi ulami po trzech tygodniach dojechał na Śląsk. Pod Otmuchowem odtworzył pasiekę. Mieliśmy znów 200 uli. Mama umarła w tym transporcie. Zostałyśmy cztery małe dziewczynki. Ja skończyłam medycynę. Siostra – księgowa itd. A ojciec mi zawsze mówił: »Córuś, pamiętaj, ja przedłużałem życie ludziom. Bo jak ktoś słodził kawę, herbatę moim miodem, to żył dłużej od tego, co słodził cukrem«".

Oto jeden z modułów, jakich – o różnej tematyce, z różnymi historiami – jest w każdym tomie po kilkadziesiąt. I wszystkie są zilustrowane odpowiednimi rodzinnymi fotografiami, często absolutnymi unikatami. To najsilniejsza strona tej wielkiej, liczącej już 23 tomy sagi kresowej. Miesza się tu i przenika literatura z historią, a emocje z faktografią. Na tym bazuję, to także jest historia i ludziom jest to potrzebne.

Żeby zagłębiali się w historię swojej rodziny? Szukali opowieści o przodkach?

– Tak, uważam, że tak. Nie jesteśmy mrowiskiem. Przecież człowiek to nie jak mrówczy organizm, który się napełnia i opróżnia, napełnia i opróżnia… A potem kończy się jego czas biologiczny i znika. Ludzie potrzebują identyfikacji. Każdy z nas ma potrzebę zostawienia jakiegoś śladu. Możesz dokonać rzeczy najważniejszej, najciekawszej, ale jak tego ktoś nie opisze, nie zarejestruje – tego po prostu nie będzie. A twoje zasługi ktoś inny przechwyci i sobie przypisze, co bardzo często się zdarza.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Jerzy Domański
j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Za tydzień ostatnia część rozmowy z prof. Stanisławem Sławomirem Nicieją:

- Dlaczego we Lwowie czczą Szuchewycza, a nie pamiętają o tych, którzy współpracowali z Polakami?
- Dlaczego lwowscy profesorowie nie mają swojej tablicy?
- Jak Zełenski zapisze się w historii?

eprasa.pl 11278a6272

Szarlatani prezydenta RP

Kto doradził Karolowi Nawrockiemu, aby nie podpisywał „lex szarlatan”

Andrzej Sikorski

„Do tego spotkania doszło, ale zaświadczam, że ono nie ma żadnego znaczenia dla podjęcia decyzji”, tłumaczył się mętnie szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki, pytany o wizytę w Pałacu Prezydenckim promotora pseudomedycyny Jerzego Zięby, który przekonywał współpracowników głowy państwa, że nie należy podpisywać ustawy określanej potocznie jako „lex szarlatan”.

Karol Nawrocki odcina się od Zięby, ale odsyłając do marionetkowego Trybunału Konstytucyjnego nowelizację Ustawy o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta, wspomniał o „Liście ludzi nauki”, którzy byli ustawie przeciwni. Jak twierdził prezydent, dokument podpisało 115 przedstawicieli środowiska naukowego, w tym 20 profesorów, 28 doktorów habilitowanych oraz 68 osób posiadających stopień naukowy doktora, „reprezentujących różne dziedziny nauki oraz liczne krajowe i zagraniczne ośrodki akademickie”. Wprawdzie Nawrocki zastrzegł, że list ten nie przesądza o niezgodności ustawy z konstytucją, „jednak wskazuje, że podnoszone wobec niej zastrzeżenia nie mają charakteru jednostkowego ani wyłącznie środowiskowego”, a „skala i różnorodność zgłaszanych uwag potwierdza, że kwestia zgodności przyjętych rozwiązań ze standardami konstytucyjnymi budzi poważne wątpliwości w różnych grupach społecznych i zawodowych, co dodatkowo uzasadnia potrzebę poddania ustawy kontroli prewencyjnej przez Trybunał Konstytucyjny przed zakończeniem procesu legislacyjnego”.

Przypomnijmy: przygotowana przez rząd ustawa miała chronić pacjentów przed niebezpiecznymi praktykami pseudomedycznymi oraz osobami oferującymi niesprawdzone metody leczenia. Chodzi o sytuacje, gdy osoby bez wykształcenia medycznego, niebędące lekarzami, wciskają zdesperowanym chorym rzekome cudowne terapie, niemające potwierdzenia naukowego, lub zniechęcają pacjentów do diagnostyki i leczenia zgodnego z aktualną wiedzą medyczną.

Promotor pseudomedycyny Jerzy Zięba przekonywał, aby prezydent nie podpisywał „lex szarlatan”.

Wydawać by się mogło, że w tak ważnej kwestii jak zdrowie i życie Polaków prezydent posłucha głosu osób kompetentnych, tj. lekarzy i specjalistów zajmujących się ochroną zdrowia. Tymczasem sygnatariuszami listu są osoby bez wiedzy medycznej, np. muzycy, filolodzy, malarze, plastycy, graficy, geolodzy, fizycy, matematycy, religioznawcy, antropolodzy kultury, fachowcy od rolnictwa, architektury krajobrazu, ogrodnictwa, hodowli koni, zarządzania czy ekonomiki i organizacji przedsiębiorstw transportowych.

Biada nam, biada, nadchodzi zagłada

W Polsce obowiązuje wolność słowa i wyrażania opinii, dlatego prof. dr hab. Dariusz Korcz z Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach ma prawo zabierać publicznie głos na dowolny temat, nawet mówiąc oczywiste głupoty. Gdy jednak prezydent RP za autorytet w sprawach ochrony zdrowia uznaje wirtuoza altówki i lutnika, coś jest nie tak. Jeszcze gorzej o kompetencjach intelektualnych głowy państwa świadczy to, że Nawrocki, który nieudolnie wypiera się szarlatana Zięby, jednocześnie przyznaje się do korzystania z rad innych szarlatanów czy ludzi, którzy – mówiąc eufemistycznie – stracili kontakt z rzeczywistością.

Prof. dr hab. Ryszard Zajączkowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II jest literaturoznawcą. Działał w Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna i kandydował do Sejmu w wyborach w 2023 r. Podobnie jak wódz partii Zajączkowski sprzeciwia się szczepieniom. Stał na czele lubelskich marszów antyszczepionkowców, podczas których ostrzegał przed globalistycznym komunizmem, „który

eprasa.pl 11278a6272

Dorota Sienkiewicz w 2018 r. pojawiła się w Sejmie jako „ekspert" antyszczepionkowy.

Andrzej Frydrychowski zalecał, by leczyć sepsę zastrzykami z witaminy C.

chce rzucić na kolana narody i zrobić z ludzi niewolników". Twierdził, że „covid jest bardzo użytecznym narzędziem, bo ma przyśpieszyć wielką globalną zmianę, czyli wielki reset".

„Jeśli mówimy o wielkim resecie, to problem jest jeden. Mianowicie nie tylko trzeba ludzi przekonać, że to jest dla ich dobra, ale jeszcze dokonać masowej eksterminacji, ponieważ trudno jest zarządzać taką ilością ludzi, jaka obecnie jest na świecie. Już bardzo wyraźnie mówi się o różnych planach depopulacyjnych. Ta akcja z koronawirusem to był wstęp do tego, co właśnie w najbliższych latach ma się zadziać", bredził szacowny profesor.

Normalny mitoman

Wśród sygnatariuszy „Listu ludzi nauki" przeciwko „lex szarlatan" znalazł się też dr Wojciech Jan Karwowski. Ten wyznawca teorii spiskowych jest tak wybitny w serwowaniu idiotyzmów, że został bohaterem demaskatorskiego tekstu zamieszczonego na stronie Ministerstwa Cyfryzacji. Otóż rząd Mateusza Morawieckiego prowadził akcję promującą telefonię komórkową 5G. Częścią kampanii było prostowanie fake newsów na ten temat.

O Karwowskim napisano m.in. (pisownia oryginalna): „Środowisko przeciwników sieci 5G bogate jest w osoby obwołujące się specjalistami z zakresu telefonii komórkowej, biofizyki, biochemii i wielu innych dziedzin nauki związanych ze »śmiercionośnym« wpływem pola elektromagnetycznego na ludzi i środowisko. Brakuje tylko wiedzy tajemnej i sztuk magicznych… Jedną z nowych person, które postanowiły podzielić się swoją specjalistyczną wiedzą naszemu społeczeństwu jest doktor Wojciech Jan Karwowski. Człowiek, który stał się celebrytą antyszczepionkowców po opublikowaniu filmu, w którym przestrzega przed używaniem masek ochronnych. Jak widać pan Karwowski jest człowiekiem renesansu. Wszechstronnie wykształconym i uzdolnionym naukowcem z tytułem doktora. Po dokładniejszym sprawdzeniu, jak się okazuje, pan doktor jest doktorem zarządzania. Swój tytuł naukowy uzyskał na Uniwersytecie w Phoenix i nigdy nie nostryfikował go w Polsce. Jednak na tym nie poprzestał. Postanowił uzyskać tytuł naukowy na Akademii Górniczo-Hutniczej, jednak do tej pory swojej rozprawy naukowej nie obronił".

Rządowi spece od dezinformacji nazwali Karwowskiego mitomanem, który „chwali się wieloma osiągnięciami naukowymi, kontaktami w świecie naukowym oraz odznaczeniami i nagrodami, które uzyskał".

Karwowski wywodził, że „amerykański potentat farmaceutyczny GlaxoSmithKline w porozumieniu i przy współpracy z Google tworzy chipy, które zostaną wszczepione populacji i będą sterowane zdalnie przez bliżej nieokreślone osoby", co w konsekwencji doprowadzi do depopulacji za pomocą technologii komórkowej. Aby zobrazować mroczną wizję zagłady ludzkości, doktor dał przykład wielkich zgromadzeń publicznych, gdzie wszyscy mają wszczepiony chip, a zdalnie sterująca kabała spowoduje np. „sraczkę" u protestujących.

Autorytet naukowy Karola Nawrockiego twierdził poza tym, że istnieje korelacja wirusa SARS-CoV-2 z siecią 5G, a oba te przypadki, COVID-19 i 5G, powodują podobne objawy chorobowe, np. skurcze łydek. Ale to nie koniec! Według Karwowskiego sieć 5G prowadzi do zmiany globalnych nawyków żywieniowych. Otóż fale milimetrowe pochodzące z infrastruktury sieci 5G powodują zmiany białek, które przyswajamy. W konsekwencji po uruchomieniu nowej technologii będziemy się żywić papierem i plastikiem.

W prostowanie fake newsów głoszonych przez Karwowskiego zaangażowana była ówczesna wiceministra cyfryzacji Wanda Buk, która teraz jest doradczynią społeczną Karola Nawrockiego i wiceprzewodniczącą Rady Energii i Zasobów Naturalnych przy Prezydencie RP.

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, YOUTUBE

eprasa.pl 11278a6272

Nie jest lekarzem, ale leczy

Kolejnym „autorytetem" prezydenta w sprawie „lex szarlatan" jest dr Piotr Witczak. Choć przedstawia się jako doktor nauk medycznych, nie jest lekarzem – nie ma uprawnień, by leczyć, a stopień naukowy doktora uzyskał w dziedzinie biologii medycznej ze specjalnością w immunologii. Witczak słynie z szerzenia szarlatańskich teorii, np. o rzekomym związku autyzmu ze szczepieniami; podważał wskaźniki śmiertelności z powodu zachorowań na koronawirusa, sugerował, że śmierć szóstki lekarzy w Kanadzie ma związek z ich zaszczepieniem się na COVID-19, że szczepienia przeciw HPV w Australii wcale nie przyniosły skutku. Twierdził też, że szczepionki są przyczyną śmierci łóżeczkowej i nie pomagają w zmniejszaniu zachorowalności na covid, a leki przeciwdepresyjne podwajają ryzyko zachowań samobójczych wśród młodych ludzi.

„Pan Piotr Witczak wypowiada się w kwestiach medycznych, które to wypowiedzi wprowadzają pacjentów w błąd, gdyż są niezgodne z aktualną wiedzą medyczną. Ponadto Pan Piotr Witczak nie jest lekarzem, nie prowadzi działalności leczniczej, a jednak, jak wynika z sygnałów, podejmuje się leczenia ludzi, rozpoznaje u nich choroby, które przyczynę mają mieć m.in. w przewlekłym zatruciu metalami ciężkimi, zleca badania diagnostyczne i stosuje leczenie mające polegać na usunięciu przyczyny zaburzeń metabolicznych – toksycznych pierwiastków", napisała Anna Hernik-Solarska, rzeczniczka prasowa Biura Rzecznika Praw Pacjenta, w odpowiedzi na pytania dziennikarzy TVN 24.

Otóż Witczak założył stronę internetową, na której reklamuje „holistyczny program odnowy organizmu". Pan doktor przekonuje ludzi, że ich organizmy są zatrute metalami ciężkimi, co może być przyczyną wielu dolegliwości, takich jak autyzm, borelioza, zaburzenia rozwoju, depresja, cukrzyca, stwardnienie rozsiane, a nawet łysienie. Ale jest na to remedium – magiczna detoksykacja, którą on zaaplikuje i ludzie będą żyli długo i szczęśliwie.

Rzecznik Praw Pacjenta złożył do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez Witczaka, polegającego na udzielaniu, w celu osiągnięcia korzyści majątkowych, świadczeń zdrowotnych w postaci rozpoznawania chorób oraz ich leczenia bez uprawnień (art. 58 Ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty). Jednak prokuratura nie dopatrzyła się złamania prawa. Gdyby Nawrocki podpisał „lex szarlatan", Witczak nie byłby bezkarny, a tak może dalej bez przeszkód wciskać ludziom dyrdymały. I brać za to pieniądze.

Sygnatariuszami „Listu ludzi nauki" są osoby bez wiedzy medycznej, np. muzycy, filolodzy, geolodzy, fizycy czy fachowcy od hodowli koni.

Propagatorka postaw antyzdrowotnych

„List ludzi nauki" przeciwko „lex szarlatan" podpisało tylko dwoje lekarzy z tytułami naukowymi, w dodatku oboje są „trefnych". Dr hab. n. med. Dorota Sienkiewicz w 2025 r. została pozbawiona przez Naczelny Sąd Lekarski prawa do wykonywania zawodu na rok za niezgodne z wiedzą medyczną wypowiedzi w sprawie szczepień dzieci przeciw covidowi.

Pani doktor opowiadała brednie na temat szkodliwości szczepionek, twierdząc, że są to „eksperymentalne preparaty inżynierii genetycznej, zwane mylnie szczepionką przeciw COVID-19, które są niebezpieczne, nieskuteczne i nienależycie przebadane". Tym samym – jak stwierdził sąd lekarski – „przeciwstawiła się działaniom mającym na celu zapobieżenie sprowadzenia niebezpieczeństwa dla życia i zdrowia wielu osób, działała na szkodę całego społeczeństwa, propagowała postawy antyzdrowotne oraz podważyła zaufanie do zawodu lekarza", co stanowi naruszenie przepisów Ustawy o zawodzie lekarza, a w powiązaniu z zapisami Kodeksu Etyki Lekarskiej wypełnia to znamiona przewinienia zawodowego.

Dorota Sienkiewicz stoi na czele sekciarskiego, nieuznawanego w środowisku medycznym i naukowym Polskiego Stowarzyszenia Niezależnych Lekarzy i Naukowców, którego misją jest „uwolnienie zawodu lekarza i naukowca od zniewolenia". Prezydent Warszawy po interwencji Ministerstwa Zdrowia i Rzecznika Praw Pacjenta wystąpił do sądu o rozwiązanie PSNLiN, które, jak stwierdził, „promuje postawy antyzdrowotne, rozpowszechnia treści odnoszące się do kwestii medycznych – niezgodnych z aktualną wiedzą medyczną oraz obowiązującymi przepisami prawa w tym zakresie".

O Dorocie Sienkiewicz po raz pierwszy zrobiło się głośno w 2018 r., gdy w roli antyszczepionkowego „eksperta" pojawiła się w Sejmie na posiedzeniu Komisji Zdrowia, gdzie debatowano nad obywatelskim projektem ustawy o zniesieniu obowiązku szczepień dzieci. Przekonywała wówczas, że „w szczepionkach w większości, co możemy przeczytać z ulotek, jest aluminium", co miało świadczyć o ich niebezpieczeństwie. Wybuchł skandal. Przemówić pani doktor do rozumu próbował jej kolega z uczelni, prof. Adam Jacek Krętowski, rektor Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, ale bezskutecznie. Władze uniwersytetu wydały oświadczenie, w którym stwierdziły, że „liczne dane naukowe i epidemiologiczne zdecydowanie wskazują na to, że szczepionki chronią nas przed wieloma chorobami zakaźnymi", a wypowiedzi dr Sienkiewicz są wyrazem jej „prywatnych poglądów i pozostają w rażącej sprzeczności z naukowymi i dydaktycznymi standardami reprezentowanymi przez Uczelnię".

Profesor wyklęty...

Kolejnym autorytetem Karola Nawrockiego jest prof. dr hab. Andrzej Frydrychowski, pozbawiony prawa wykonywania zawodu przez Okręgową Izbę Lekarską w Gdańsku. Poszło m.in. o dostępne w mediach

eprasa.pl 11278a6272

społecznościowych nagranie, na którym pan profesor wystąpił razem z szarlatanem Jerzym Ziębą. Panowie dyskutowali o alternatywnych metodach leczenia, a Frydrychowski zalecał m.in., by sepsę leczyć zastrzykami z witaminy C, oraz chwalił skuteczność DMSO (dimetylosulfotlenku, środka chemicznego, który nie jest zarejestrowany jako lek i suplement diety, służy jako rozpuszczalnik, środek czyszczący, np. do usuwania powłok malarskich, bądź odczynnik analityczny) i mówił, że gdyby mógł, to podałby dożylnie pacjentom z zapaleniem płuc wywołanym koronawirusem rozcieńczony do 0,03-0,04% roztwór perhydrolu, czyli wody utlenionej.

Rektor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego prof. dr n. med. Marcin Gruchała odciął się od poglądów Frydrychowskiego (jest on emerytowanym pracownikiem GUMed) i w wystosowanym oświadczeniu stwierdził m.in., że „wszelkie przejawy aktywności propagujące treści niemające potwierdzenia w wiarygodnej i rzetelnej wiedzy medycznej nie znajdują akceptacji ze strony władz Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego".

Oburzenia szarlatańskimi wywodami Frydrychowskiego nie krył również prof. n. med. Krzysztof Kuziemski z Kliniki Alergologii i Pneumonologii GUMed, pomorski konsultant wojewódzki w dziedzinie pulmonologii. „Jeśli komuś zostanie podany taki zastrzyk (z wody utlenionej) w sposób niekontrolowany, np. w warunkach domowych, może to w najłagodniejszym przypadku spowodować zmiany miejscowe, zakażenia skóry, przeniesienie infekcji. W najgorszym przypadku perhydrol, będący substancją chemiczną, po dostaniu się do układu krwionośnego może uszkadzać narządy. Nie wiadomo, jak na jego podanie mogliby zareagować ludzie z osłabioną odpornością. Dlatego jakiekolwiek próby stosowania dożylnego perhydrolu uważam za karygodne", stwierdził prof. Kuziemski w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim".

...i tropiciel spisków

Frydrychowski zasłynął też z innych oryginalnych twierdzeń. Jego zdaniem wszystkie choroby przewlekłe są wyleczalne, medycyna konwencjonalna (czyli oparta na dowodach) leczy tylko objawy, a nie przyczyny, lekarzom zależy na tym, aby człowiek chorował jak najdłużej, a leki są czwartą przyczyną zgonów na świecie. Profesor straszył także „smogiem elektromagnetycznym". Jego źródłem miałoby być nadmierne promieniowanie pola elektromagnetycznego pochodzącego przede wszystkim z infrastruktury telekomunikacyjnej, sieci Wi-Fi, technologii Bluetooth czy telefonów komórkowych. Problem w tym, że taki smog nie istnieje i jest to wymysł środowisk przeciwnych technologii 5G.

Frydrychowski nie mógł się pogodzić z decyzją Okręgowej Izby Lekarskiej w Gdańsku i w akcie sprzeciwu spalił dokument Prawo wykonywania zawodu lekarza. On również wydał oświadczenie, w którym tłumaczył, że jego problemy wzięły się z tego, że „godzi w interesy przemysłu medycznego i bogatych koncernów" i od paru lat jest „regularnie nękany przez funkcjonariuszy Izb Lekarskich". A wszystko przez to, „że nie zapisuje chorym leków, nie stosuje metod leczenia rekomendowanych przez Izby Lekarskie, po których często występują skutki uboczne, ciężkie powikłania, nieusuwalne kalectwo, a nawet zejście śmiertelne".

I w tym ostatnim zdaniu „wyklęty" profesor wyłożył karty na stół: istnieje ogólnoświatowy spisek koncernów farmaceutycznych i lekarzy. Środowiska te się wspierają, zarabiając na nieszczęściu pacjentów i zmuszając ich do przyjmowania medykamentów, które szkodzą. Ale nie wszystko jest stracone! „Będziemy tworzyć alternatywną medycynę. Naukową Medycynę Naturalną. Ta nazwa nie nawiązuje do ziół czy babcinych przepisów. Odwołuje się do natury ludzkiej, którą medycyna winna badać i studiować, uwzględniając w leczeniu naturalne, a dokładnie mówiąc, molekularne właściwości anatomii, fizjologii oraz psychiki człowieka", zapowiedział Frydrychowski.

Nie tylko „autorytety medyczne" prezydenta RP żyją w alternatywnym świecie. Karol Nawrocki w odpowiedzi na krytykę przygotował własny projekt ustawy, który ma zwalczać praktyki pseudomedyczne. Lecz okazuje się, że jest wprost przeciwnie. Według karnisty dr. hab. Mikołaja Małeckiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego w zaproponowanych przepisach „prezydent zawarł instrukcję obsługi dla szarlatanów, jak uniknąć odpowiedzialności".

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 11278a6272

Książki na przemiał

Tysiące tytułów znika z antykwariatów. Najpierw trafiają do AI, potem na śmietnik

Antykwariaty do tej pory dawały książkom drugie życie. Każdy tom to też historia jego właścicieli, a teraz wiadomo, że wykupywane egzemplarze są niszczone.

Kornel Wawrzyniak

Trwa wyścig o słowa napisane przed erą sztucznej inteligencji. Firmy technologiczne skupują w całej Europie setki tysięcy książek, traktując je jako cenne źródło danych do trenowania kolejnych modeli AI. Zjawisko dotarło już do Polski. Najbardziej pożądane są publikacje sprzed 2022 r., powstałe zanim internet zapełnił się tekstami generowanymi przez duże modele językowe. W tym kryje się ironia naszych czasów: nawet twórcy sztucznej inteligencji uznają dziś, że masowa produkcja treści AI przyczynia się do zaśmiecania języka i obniżania standardów komunikacji.

Podejrzany bum antykwaryczny

Od kilku miesięcy europejskie antykwariaty i księgarnie z używanymi książkami obserwują nietypowe zjawisko: lawinowo rośnie liczba zamówień składanych przez zagraniczne firmy powiązane z sektorem sztucznej inteligencji. Holenderskie radio BNR informuje, że podobne sygnały napływają z Holandii, Niemiec, Szwajcarii i Hiszpanii. Sprzedawcy są przekonani, że książki wcale nie trafiają do czytelników, kolekcjonerów czy bibliotek. Ich przeznaczeniem ma być tzw. destrukcyjne skanowanie, proces polegający na cyfryzacji treści, po którym egzemplarze trafiają do utylizacji.

Ten proceder jest znany od jakiegoś czasu. Najwięksi gracze rynku sztucznej inteligencji skupują hurtowo dziesiątki tysięcy książek, które stają się materiałem szkoleniowym dla modeli AI. Proces jest prosty i bezwzględny: tanio kupione egzemplarze są pozbawiane okładek i grzbietów, rozkładane na pojedyncze strony i skanowane. Ich papierowe życie dobiega końca, w chwili gdy treść trafia do cyfrowych magazynów danych. Tam staje się ona pokarmem dla algorytmów uczących się wiedzy, języka, stylu i sposobów argumentacji wypracowanych przez pokolenia autorów. Efekty tej pracy wracają później do użytkowników jako płatne usługi AI, finansowane abonamentami lub reklamami. Coraz częściej służą też do produkcji kolejnych masowo generowanych treści, w tym „książek", które z prawdziwą twórczością łączy jedynie forma.

„Po pierwsze, tracimy książki, po drugie, te firmy w żaden sposób się tym nie dzielą. Tworzą jedynie wartość dla swoich akcjonariuszy", komentuje w TVN 24 BiS prof. Dariusz Jemielniak z Akademii Leona Koźmińskiego i Campus AI.

eprasa.pl 11278a6272

Dla części komentatorów z branży wydawniczej to symbol twardego zderzenia świata kultury z cyfrową gospodarką danych. Brytyjskie media nie przebierały w słowach, nazywając niszczenie książek na potrzeby sztucznej inteligencji „kulturowym barbarzyństwem". Szefowa Stowarzyszenia Księgarzy Polskich Zofia Szpojankowska nie piętnuje antykwariuszy sprzedających egzemplarze zagranicznym firmom. Jak przyznaje w rozmowie z Polską Agencją Prasową, wielu sprzedawców może odmówić współpracy z powodów czysto emocjonalnych, nie chcąc uczestniczyć w procesie prowadzącym do zniszczenia książek. Co istotne, celem zakupów nie są kolekcjonerskie białe kruki czy bezcenne egzemplarze. Na razie branża AI poluje przede wszystkim na współczesne tytuły, pozostawiając w spokoju najcenniejsze egzemplarze, chociażby pierwsze wydania „Pana Tadeusza".

Radykalnie sprawę traktuje wydawczyni Sonia Draga, prezeska Europejskiej Federacji Wydawców. „Wielkie platformy od lat ograbiają twórców i nas, reprezentujących ich prawa, nie wypłacając z tego tytułu żadnych odszkodowań. Dzieje się to bezkarnie i nawet jeśli w ostatnim okresie jakieś procesy zakończyły się po myśli twórców, to nikt z tego tytułu nie otrzymał jeszcze żadnych pieniędzy. A na korzystaniu z efektów tej kradzieży (nazywając rzecz po imieniu) zarabia tylko kilku gigantów cyfrowych. Co gorsza, świat się jeszcze bardziej od tych kilku tylko podmiotów uzależnia, co sprawia, że ich pozycja i wpływy finansowe będą się tylko powiększać. Tylko w Norwegii wymyślono w ostatnim czasie sposób na ryczałtowe wypłaty dla twórców i wydawców (równoważność bodajże 4 mln euro rocznie), reszta państw albo pomija to zjawisko milczeniem, albo coś wspomina, ale zrzuca winę na Big Techy", tłumaczy na łamach „Rzeczpospolitej".

Sonia Draga dotyka istotnego problemu, jakim jest ograbianie autorów z pracy intelektualnej. Sposobu na ochronę tej spuścizny kulturowej nie ma jednak żadne europejskie państwo, o czym z goryczą mówi berliński antykwariusz Markus Brandis w rozmowie z dziennikiem „Die Welt": „Niemieckie prawo autorskie zabrania bez zgody autora kopiowania, powielania czy rozpowszechniania jego własności intelektualnej zawartej w książce. Podobnie jest w całej UE. W USA prawo autorskie też jest surowe. Jednak tam istnieje zasada fair use. Oznacza ona, że co legalnie kupię, mogę używać i nadal wykorzystywać. W Niemczech widzimy to zupełnie inaczej. Dla nas ważniejsze jest nie samo materialne posiadanie książki, lecz ochrona zawartej w niej własności intelektualnej. Po prostu nie jesteśmy w stanie nadążyć za tym procederem i powstrzymać go sankcjami czy regulacjami prawnymi. To wyścig z czasem, którego nie da się wygrać – ani jako stowarzyszenie antykwariuszy, ani jako rząd".

Branża AI poluje na współczesne tytuły, w spokoju pozostawia najcenniejsze publikacje, np. pierwsze wydania „Pana Tadeusza".

Całe palety książek

W Niemczech sprawa przybrała skalę wręcz przemysłową. Jeden z antykwariuszy opisywał seryjne zamówienia napływające codziennie między godz. 3 a 5 rano. Składać je miała firma Zoom Books z Kanady, skupująca specjalistyczne publikacje z najróżniejszych dziedzin wiedzy. Sprzedawcy szybko zauważyli, że dobór tytułów nie odpowiada logice rynku kolekcjonerskiego ani antykwarycznego. Książki były często zbyt niszowe, by stanowić atrakcyjny towar handlowy. Gdy zaczęły się powtarzać te same zestawy numerów ISBN, pojawiło się podejrzenie, że chodzi o pozyskiwanie danych do trenowania sztucznej inteligencji. Skala operacji robi wrażenie: według informacji przekazywanych przez antykwariuszy tylko z niemieckiego rynku mogło zniknąć ok. 700 tys. książek. W całej Europie liczba egzemplarzy kupowanych w ramach podobnych akcji sięga setek tysięcy.

Poszukiwane są przede wszystkim książki popularnonaukowe, publikacje naukowe oraz niszowe pozycje obcojęzyczne wydane przed 2022 r. Według obserwatorów nie jest to przypadek. Chodzi o pozyskanie materiałów powstałych jeszcze przed ekspansją generatywnej sztucznej inteligencji, a więc wolnych od treści tworzonych przez algorytmy.

„Opisana sytuacja w groteskowy sposób pokazuje, że usługi generatywnej sztucznej inteligencji żerują tylko na tym, co wymyślił człowiek. Przy okazji ich dostawcy nie chcą autorom płacić i nie chwalą się, że AI bez wkładu człowieka po prostu nie działa. Korzystają w tym wypadku z niejasnego prawa i opieszałości systemu sądownictwa. To bezczelna prywatyzacja zysków ze wspólnego dorobku ludzkości", stwierdza w rozmowie z „Rzeczpospolitą" Karol Kościński, dyrektor generalny Stowarzyszenia Autorów ZAiKS.

Brytyjski dziennik „The Guardian" zwraca uwagę, że wraz ze wzrostem apetytu branży AI rośnie również lęk w świecie książki. Niepokoją się już nie tylko antykwariusze, lecz także eksperci zajmujący się rzadkimi wydaniami, którzy obawiają się, że granica między masową digitalizacją a bezrefleksyjnym niszczeniem dziedzictwa kulturowego może zacząć się zacierać. W ich ocenie zagrożone mogą być nie tylko współczesne publikacje, ale z czasem również cenne, trudno zastępowalne egzemplarze.

Sprawę komentuje w mediach Rafał Skąpski, prezes Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek: „Opisana sytuacja dotycząca książek budzi mój i mojego środowiska sprzeciw. Książka jest dobrem kultury. A więc dobrem podlegającym ochronie zarówno jako treść i forma. Opisana procedura to nieodwracalne zniszczenie każdego egzemplarza. Rodzi to najgorsze skojarzenia

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 11278a6272

z historii XX w. Każda książka, szczególnie ta w antykwariatach, niesie w sobie poza swoją treścią jakąś historię jej właściciela, a nierzadko kilku właścicieli. To zabytek, świadek historii. Żadne zakazy ani przepisy nie powstrzymają opisanych zamiarów, możemy jedynie wywierać rodzaj presji, przemawiać do rozsądku. Tyle i tylko tyle – niestety. Niekontrolowany rozwój sztucznej inteligencji grozi tym, że szybko obróci się ona przeciwko nam. Zniechęci do nauki, skoro są wyjaśnienia w internecie, zniechęci do czytania książek, zapamiętywania ich, robienia notatek, skoro AI zrobi to szybciej. Paradoksalnie postęp będzie czynił nas uboższymi intelektualnie. Taka wizja jest przerażająca".

Prof. Dariusz Jemielniak podkreśla, że masowy skup książek przez firmy rozwijające AI może uderzyć w wydawców i autorów. Do wytrenowania modelu wystarczy bowiem jeden egzemplarz książki, który po zeskanowaniu może być wykorzystywany tysiące, a nawet miliony razy, bez dodatkowego wynagrodzenia dla twórców. Zdaniem badacza tracą na tym wszyscy: czytelnicy mają coraz mniejszy dostęp do zasobów antykwarycznych, a część zdigitalizowanych zbiorów może bezpowrotnie zniknąć, jeśli firmy gromadzące dane przestaną istnieć.

Dziki Zachód

Jeśli chodzi o rzadkie egzemplarze, w Polsce robi się jeszcze niebezpieczniej ze względu na luki prawne. „Zagrożenie dla spuścizny polskich książek dotyczy woluminów dostępnych m.in. w antykwariatach, których wartość nie przekracza 6 tys. zł każda", stwierdza w rozmowie z PAP dr Katarzyna Błeszyńska z Katedry Prawa Mediów na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Jak wyjaśnia prawniczka, nasze przepisy nie wymagają specjalnych zezwoleń na wywóz poza Unię Europejską książek mających mniej niż 100 lat ani zabytków piśmiennictwa o wartości poniżej 6 tys. zł. Oznacza to, że firmy pośredniczące w zakupach na potrzeby branży AI mogą legalnie eksportować z Polski całe transporty takich woluminów, które trafiają głównie do Stanów Zjednoczonych. „To paradoks, ale firmy AI muszą zgodnie z prawem zniszczyć zakupione i zeskanowane egzemplarze", dodaje dr Błeszyńska.

Działanie to wynika z amerykańskiego orzecznictwa. Chodzi m.in. o decyzję wydaną w sprawie Bartz kontra Anthropic. Technologiczni giganci przekonują, że jeśli po zeskanowaniu papierowy egzemplarz przestaje istnieć, nie dochodzi do stworzenia dodatkowej kopii utworu, a jedynie do zmiany nośnika. Dzięki takiej interpretacji mogą zasilać modele AI ogromnymi zbiorami tekstów bez konieczności opłacania licencji za ich zwielokrotnianie.

Wszystko zaczęło się od autorki poczytnych thrillerów. Andrea Bartz odkryła, że tekst wygenerowany przez sztuczną inteligencję dokładnie odwzorowuje jej styl pisarski. Model nie tylko znał charakterystyczne elementy jej prozy, ale także potrafił całkiem sprawnie je odtworzyć. Źródło tej umiejętności pisarka odkryła kilka miesięcy później. W bazie pirackich książek wykorzystywanych przez firmy AI znalazła własne tytuły. Tekst został wprowadzony do algorytmu bez jej zgody. Bartz razem z dwoma innymi autorami, Charlesem Graeberem i Kirkiem Wallace'em Johnsonem, pozwała firmę Anthropic.

Historia skończyła się wyrokiem i ugodą opiewającą na 1,5 mld dol. Finał ten trudno jednak nazwać happy endem. Końcowe rozstrzygnięcie nie zatrzymało procederu. Wręcz przeciwnie. Ugoda pozwoliła zachować modele wytrenowane na zgromadzonych wcześniej zasobach (500 tys. utworów), a sąd przyjął szeroką interpretację wspomnianej wcześniej zasady fair use.

„New York Times" pisał o wyniku procesu: „Sędzia, który uznał, że Anthropic naruszył prawa autorskie, pobierając i przechowując setki tysięcy pirackich książek, orzekł jednocześnie, że dopóki książki nie zostały skradzione, wykorzystywanie ich do trenowania programów AI mieści się w ramach dozwolonego użytku (fair use), ponieważ materiał ulega przekształceniu – stanowisko, któremu autorzy i wydawcy stanowczo się sprzeciwiają. Proces pominął wątek zagrożenia, jakie książki generowane przez AI stanowią dla źródeł utrzymania pisarzy".

Dla wydawców i autorów takie orzeczenie to sygnał alarmowy. Dla branży AI bardziej potwierdzenie, że dostęp do ogromnych bibliotek tekstów można ostatecznie zalegalizować. Wystarczy wywieźć na paletach książki z Europy do USA, zeskanować i wyrzucić. Paradoks całej historii polega na tym, że o losie setek tysięcy książek, i to znajdujących się na całym świecie, współtworzących światowe dziedzictwo literackie, zdecydowała sprawa sądowa, która zamiast wyznaczyć twarde granice dla technologii, w praktyce otworzyła jej kolejne drzwi.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Zmarła

Redaktor Barbara Janiszewska

(26.05.1945 – 8.08.2026)

Emerytowana dziennikarka Polskiej Agencji Prasowej.
Długoletnia członkini Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej.
Od kilku kadencji wiceprzewodnicząca Zarządu Oddziału Warszawskiego SDRP.

Pożegnanie 2 września 2026 r. o godz. 11.00
na Cmentarzu Komunalnym Północnym w Warszawie

Jerzy Domański, Andrzej Maślankiewicz, Tomasz Miłkowski

eprasa.pl 11278a6272

ŚMIERĆ na szpitalnym łóżku

Jak placówki medyczne ukrywają błędy związane z zakażeniami szpitalnymi i sepsą

Marek Czarkowski

Pani Janina miała 78 lat, kiedy 29 stycznia 2019 r. trafiła do szpitala w Olsztynie. 2 maja, trzy miesiące później, nie żyła. Została zakażona m.in. bakterią *Klebsiella pneumoniae* NDM (New Delhi), jednym z najtrudniejszych do leczenia patogenów szpitalnych na świecie.

7 marca 2019 r. rodzina odkryła, że kobieta leży w sali szpitalnej w kałuży własnej krwi. Pielęgniarki pozostawiły otwarty kranik trójdrożny przy wkłuciu centralnym. Nikt z personelu medycznego tego nie zauważył. Albo nikt nie zareagował. Otwarte wkłucie centralne to wrota do zakażenia – bakterie znajdujące się w otoczeniu, na rękach personelu, w powietrzu na oddziale, mają prostą drogę do krwiobiegu. Nic zatem dziwnego, że doszło do sepsy.

Był to jeden z tysięcy tragicznych przypadków, które każdego roku zdarzają się w polskich szpitalach.

W opublikowanym w połowie 2018 r. raporcie Najwyższej Izby Kontroli „Zakażenia w podmiotach leczniczych" znalazło się m.in. zdanie: „Zakładając, że ok. 5% pacjentów hospitalizowanych ulega zakażeniom szpitalnym, daje to roczną liczbę zakażeń szpitalnych w naszym kraju na poziomie ok. 400 tys.". Według cytowanych w raporcie danych Narodowego Funduszu Zdrowia w 2015 r. z powodu sepsy hospitalizowano w Polsce 19 053 osoby, w roku 2016 – 21 522, a w pierwszym półroczu 2017 r. – 10 962 osoby.

W opublikowanym w 2025 r. na łamach czasopisma „Medycyna Ogólna i Nauki o Zdrowiu" artykule „Analiza i trendy występowania zakażeń szpitalnych w Polsce w latach 2016-2023" znalazła się informacja, że rocznie raportowano ok. 80-105 tys. zakażeń szpitalnych.

W 2011 r. na oddziale neurochirurgii szpitala w Zgierzu odnotowano osiem przypadków zakażenia gronkowcem złocistym. W całej placówce były 32 przypadki.

Skąd taka różnica pomiędzy cytowanymi danymi? 400 tys. zakażeń szpitalnych z raportu NIK to szacunek. Podana przez autorów artykułu liczba 80-105 tys. takich zdarzeń oparta jest na danych z Mapy Potrzeb Zdrowotnych platformy Baza Analiz Systemowych i Wdrożeniowych. Pamiętać jednak należy, że szpitale często ukrywają takie sytuacje. Ile w tym było przypadków sepsy? Nie wiadomo. W Polsce nikt nie prowadzi takiego odrębnego rejestru, na co również zwrócili uwagę w raporcie pracownicy NIK. Oznacza to, że jesteśmy skazani na szacunki i domysły.

Ostatnie dni życia 78-letniej pani Janiny przypominały horror. Z akt sądowych wynika, że personel pielęgniarski w szpitalu nie był odpowiednio przeszkolony z przygotowywania mieszanek żywieniowych podawanych dożylnie. Podawane pacjentce preparaty żywieniowe uzupełniano, dodając i wstrzykując substancje odżywcze do worków – w gabinecie zabiegowym, na szafkach, bez zachowania wymogów aseptyki dotyczących żywienia pozajelitowego. Pielęgniarki jednak musiały wiedzieć, że każde zanieczyszczenie mieszanki może się skończyć źle.

28 stycznia 2022 r. syn pani Janiny złożył w sądzie pozew przeciw

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 11278a6272

szpitalowi. 28 sierpnia 2025 r. Sąd Okręgowy w Olsztynie (sygnatura akt I C 240/25) wydał wyrok i zasądził 160 tys. zł zadośćuczynienia za krzywdę moralną związaną ze śmiercią bliskiej osoby. Sprawa jak na polskie warunki trwała rekordowo krótko – zaledwie trzy i pół roku.

160 tys. zł za matkę, która leżała w kałuży krwi z otwartym wkłuciem. Matkę karmioną mieszankami przygotowywanymi na brudnych szafkach przez nieprzeszkolony personel i zarażoną bakterią New Delhi. Matkę, która odeszła po trzech miesiącach cierpień.

Zakażenie szpitalne a sepsa

Zakażenie szpitalne to termin, który opisuje miejsce i okoliczności nabycia infekcji, sepsa zaś to ciężka, zagrażająca życiu reakcja organizmu na zakażenie. Zakażenie może stać się przyczyną sepsy – i tu mamy np. zakażenia miejsca operowanego albo zakażenia krwi związane z cewnikiem naczyniowym.

Większość zakażeń szpitalnych nie przechodzi jednak w sepsę – podobnie jak wiele jej przypadków zaczyna się poza szpitalem. Przyjmuje się, że liczba zakażeń szpitalnych jest miarą bezpieczeństwa i ryzyka infekcji związanych z opieką w placówkach medycznych, natomiast liczba seps jest miarą ciężkich, ogólnoustrojowych następstw tych zakażeń, zarówno szpitalnych, jak i pozaszpitalnych.

Dla pacjentów nie ma to jednak znaczenia. Myśl, że można trafić na oddział we względnie dobrym stanie i tam zarazić się groźnymi patogenami, jest paraliżująca. Zwłaszcza gdy odkryjemy, że rekordowo wynagradzani lekarze nie przestrzegają Kodeksu Etyki Lekarskiej.

Przekonała się o tym rodzina 71-letniego pana Jana, który 18 sierpnia 2015 r. trafił do jednego z warszawskich szpitali. Rozpoznano u niego raka pęcherza moczowego i wykonano operację. To, co stało się potem, budzi grozę. Jeszcze przed zabiegiem w badaniach moczu stwierdzano obecność bakterii. Po operacji stan pana Jana zaczął się pogarszać. 28 sierpnia 2015 r. stwierdzono u niego sepsę i tworzenie się wysięku w jamach opłucnowych. Tego samego dnia po zbadaniu plwociny, pobranej od niego trzy dni wcześniej, stwierdzono w niej obecność patogenu *Klebsiella pneumoniae* ESBL+, szczepu wytwarzającego enzym rozszerzający oporność na antybiotyki, bardzo trudnego w leczeniu. Zidentyfikowano też inne bakterie. U pacjenta rozwinęło się ogólnoustrojowe zakażenie, pojawiła się niewydolność oddechowo-krążeniowa. W tym czasie jego żona i dzieci były zapewniane przez ordynatora, że wszystko jest pod kontrolą.

Pan Jan zmarł we wrześniu 2015 r., niespełna miesiąc po operacji. Prawie cztery lata później, w marcu 2019 r., rodzina złożyła pozew przeciw szpitalowi. Ubezpieczyciel szpitala odmówił jakiejkolwiek wypłaty. Lekarze dowodzili, że *Klebsiella* mogła pochodzić z własnej flory fizjologicznej pacjenta. W trakcie procesu wyszło jednak na jaw, że było inaczej. 20 marca 2024 r. Sąd Okręgowy w Warszawie (sygnatura akt I C 901/22) wydał wyrok. Żonie i czwórce dzieci zasądził po 86 156 zł – 80 tys. zł zadośćuczynienia i 6156 zł odszkodowania. Łącznie 430 780 zł.

Łączna wypłata została jednak ograniczona do maksymalnej sumy gwarancyjnej ubezpieczenia OC szpitala, wynoszącej równowartość 100 tys. euro. Pięć osób, które straciły ojca i męża, dostało łącznie tyle, ile wynosił limit polisy. Ich krzywda nie miała znaczenia. W 2015 r. w szpitalu tym stwierdzono 23 postacie zakażeń bakterią *Klebsiella pneumoniae* ESBL. Pan Jan był jednym z tych przypadków.

Co ujawniają procesy

20 września 2011 r. do Wojewódzkiego Szpitala w Zgierzu (sygnatura akt I C 701/12 Sąd Rejonowy w Zgierzu) trafił na operację neurochirurgiczną dysku kręgosłupa szyjnego pan Zbigniew. Początkowo po zabiegu był w dobrym stanie, lecz już po kilkunastu godzinach zaczął się skarżyć na gorsze samopoczucie – jakby był przeziębiony, bolały go mięśnie, czuł się osłabiony. Zgłaszał to pielęgniarkom, które go zlekceważyły. Podobnie potraktowane zostały prośby żony, która alarmowała personel, że dzieje się coś złego.

U pana Zbigniewa najpierw rozwinęła się posocznica, potem zapalenie płuc, a następnie ostra niewydolność nerek. Pacjent walczył o życie. Przewieziono go do szpitala ze specjalistycznym oddziałem chorób zakaźnych, gdzie dodatkowo stwierdzono zakażenie rany pooperacyjnej gronkowcem złocistym, enterokokiem i pałeczkami E. coli.

Co poszło nie tak? Nie zadziałała okołooperacyjna profilaktyka antybiotykowa – podstawowe narzędzie zapobiegania zakażeniom szpitalnym. Podczas zakładania gorsetu ortopedycznego pielęgniarka naruszyła ranę. Dokumentacja i zeznania świadków wykazały rażące zaniedbania w opiece – brudną pościel i niedziałające przyciski przywołania personelu. Żona pana Zbigniewa dwukrotnie sama musiała zmieniać pościel, bo pielęgniarki odmawiały.

W narracji prawników szpital niemal zawsze jest stroną, której „nie da się udowodnić winy".

Pewnej nocy, gdy pan Zbigniew osłabł przy wstawaniu, zaczął w końcu krzyczeć, że będzie musiał wezwać karetkę. Na szczęście przeżył ten horror i opuścił szpital. 18 kwietnia 2012 r. złożył pozew do sądu.

Z akt sprawy wynika, że lekarze dowodzili, iż gronkowiec mógł pochodzić spoza szpitala. Pacjent wychodził na spacery, jadał jedzenie przynoszone z domu, palił papierosy i zdejmował kołnierz szyjny.

Powołany w sprawie biegły sądowy odrzucił te argumenty. Wskazał, że nie ma związku między jedzeniem przynoszonym z domu czy paleniem papierosów a zakażeniem gronkowcem złocistym rany pooperacyjnej. Prawdopodobieństwo, że do tego zakażenia doszło przed operacją, uznał za znikome.

eprasa.pl 11278a6272

Proces ujawnił jednak coś ważniejszego. W 2011 r. na oddziale neurochirurgii owego szpitala odnotowano osiem przypadków zakażenia gronkowcem złocistym. W całej placówce były aż 32 przypadki zakażenia tym patogenem. A zespół ds. zakażeń szpitalnych nie podjął żadnych realnych działań naprawczych.

30 kwietnia 2021 r., po dziewięciu latach czekania, zapadł wyrok przed Sądem Rejonowym w Zgierzu. Pan Zbigniew miał otrzymać 35 tys. zł zadośćuczynienia i 5470 zł odszkodowania. Łącznie 40 470 zł. Po dziewięciu latach…

Jak system się broni?

Gdy czyta się uzasadnienia podobnych wyroków, uderza wcale nie różnorodność argumentów, po które sięgają prawnicy reprezentujący szpitale, lecz właśnie ich monotonia. Najczęściej powtarza się jeden: „Gronkowiec złocisty pochodził z własnej flory pacjenta", co jest zgodne z wiedzą mikrobiologiczną – każdy zdrowy człowiek na skórze, w nosie i w gardle może nosić gronkowca. Brzmi to bardzo wiarygodnie, lecz w praktyce rozmywa odpowiedzialność w sytuacji, gdy do zakażenia doszło bezpośrednio po operacji albo poprzez ranę, np. po wszczepieniu protezy.

Fakt, że bakteria może pochodzić z flory własnej, nie oznacza, że szpital nie ponosi winy za to, że dostała się ona do rany operacyjnej. Flora własna pacjenta staje się groźna dopiero wtedy, gdy personel nie dopełni aseptyki, nie poda antybiotyku na czas albo zawiezie chorego na salę w piżamie, w której spał już dwie noce.

Kolejny często używany przez prawników argument: „Kontrole sanepidu nie wykazały nieprawidłowości". Pamiętać należy, że rutynowe kontrole sanitarne są przeprowadzane po uprzedzeniu. Dotyczą dokumentacji, procedur, które istnieją na papierze, oraz stanu pomieszczeń w dniu kontroli. Dlatego mają ograniczoną wartość dowodową w procesach o zakażenie, po sytuacjach, do których doszło w środku nocy na sali, gdzie nie działały przyciski przywołania personelu, a pościel od kilku dni była brudna. Protokół, który kończy się słowami: „Bez zastrzeżeń", nie oznacza, że pacjent nie leżał w kałuży krwi z otwartym kranikiem trójdrożnym. Oznacza, że w dniu kontroli wszystko w papierach się zgadzało.

Kolejny trik to ukrywanie przez szpitale zakażeń w rejestrach. Co prawda, polskie prawo nakłada na szpitale obowiązek odnotowywania zakażeń i zgłaszania ich do Państwowej Inspekcji Sanitarnej, lecz w praktyce bywa różnie. Niewykonanie tego obowiązku jest traktowane jako „biurokratyczne niedopatrzenie". Jest też świetnym sposobem na zacieranie śladów.

Pacjent, który po latach chce udowodnić zakażenie szpitalne, staje przed pustym rejestrem z tezami o „własnej florze bakteryjnej". Bo im mniej wpisów w dokumentach, tym łatwiej stwierdzić, że problemu nie było.

Inna metoda polega na zrzucaniu odpowiedzialności na pacjenta. Szpital w Zgierzu sugerował, że pan Zbigniew mógł się zakazić gronkowcem przez jedzenie przynoszone z domu, palenie papierosów, spacery poza oddziałem i zdejmowanie kołnierza szyjnego. Biegły sądowy uznał te argumenty za pozbawione podstaw medycznych – nie zauważył związku między kanapką przyniesioną z domu a gronkowcem w ranie po operacji kręgosłupa. Sam fakt, że szpital użył takiego argumentu, wiele mówi o sposobie myślenia reprezentujących go prawników. Jeśli można obciążyć pacjenta, to się go obciąża. W ich narracji szpital jest niemal zawsze stroną, której „nie da się udowodnić winy".

Prawnicy często celowo przeciągają tego typu sprawy, bo im dłużej trwają kolejne procesy, tym trudniej udowodnić związek przyczynowy i tym większa jest presja na ugodę za ułamek roszczenia. Ta metoda premiuje stronę z większymi zasobami prawnymi i ubezpieczeniowymi.

> Protokół, który kończy się słowami: „Bez zastrzeżeń", nie oznacza, że pacjent nie leżał w kałuży krwi z otwartym kranikiem trójdrożnym.

W Polsce system wycenia ludzkie cierpienie tak, jakby zakażenia szpitalne i sepsa były drobnym deliktem komunikacyjnym, a nie zdarzeniem, które niszczy zdrowie, rodzinę i często kończy się śmiercią. Efekt jest przewidywalny: wielu poszkodowanych w ogóle nie idzie do sądu. Tych, którzy idą, czeka maraton. A dla tych, którzy dotrą do mety – jest kwota, która rzadko rekompensuje to, co stracili. Czasem bywa równa zeru.

Co na to politycy, Ministerstwo Zdrowia, Narodowy Fundusz Zdrowia i sowicie wynagradzani lekarze?

Marek Czarkowski

eprasa.pl 11278a6272

POWSTANIE: MIĘDZY PAMIĘCIĄ A OCENĄ

Nie mogę powiedzieć, że było warto

Roman Broszkiewicz

Do artykułu Roberta Walenciaka „Pytania o rolę mediów” (nr 29/2026) mam drobną uwagę, a do tekstu „Fałszywa pamięć wielkiej klęski” (nr 33/2026) o powstaniu – komentarz.

Całkowicie zgadzając się z poglądami autora na funkcje niezależnych mediów, widzę w artykule opis stanu idealnego, który jest nieosiągalny w warunkach rzeczywistych, bo nie da się oddzielić mediów od polityki i środków finansowych, co ogranicza swobodę.

Sprawa powstania jest poważniejszej natury. Sam należę do pokolenia ojca red. Walenciaka. W czasie powstania miałem niespełna 14 lat. Życie ocaliła mi gruźlica. Ponieważ byłem nią poważnie zagrożony, wiosną 1939 r. rodzice przenieśli się z Warszawy do Radości, gdzie miał być korzystniejszy klimat. Straciłem przez to kontakt z moją warszawską szkołą. Chociaż wróciliśmy do Warszawy na kilka ostatnich dni lipca 1944 r. – do 11 sierpnia byliśmy na Ochocie – ominęły nas nieszczęścia mieszkańców Woli. Poza drobnym odłamkiem, znalezionym w mojej nodze 40 lat później, nie doznałem innych szkód.

Nie da się tego powiedzieć o moich kolegach z warszawskiej szkoły. Z 24 chłopców z mojej klasy, przeważnie 14-letnich, powstanie przeżyło czterech. Inni zginęli jako łącznicy i kurierzy poczty harcerskiej. Gdybym z nimi został, też pewnie bym zginął. Nazwiska tych, którzy przeżyli, pozostały ze mną na zawsze, tak jak pamięć o tych, którzy zginęli, a w końcu pytanie o to, czy było warto.

Fałszywa pamięć wielkiej klęski

Ryki, racje i opowieści o zwycięstwie obrażają pamięć powstania

Robert Walenciak

To pytanie pozostało nie tylko ze mną. Jest stale powtarzane i wciąż padają podobne odpowiedzi. Bezpośrednio po powstaniu odpowiedź była jednoznaczna: nie. Z takimi opiniami stykałem się w Polsce, kontaktując się wtedy niemal wyłącznie z osobami negatywnie ustosunkowanymi do nowego ustroju. Takie same opinie były na uchodźstwie, jak przekonałem się w rozmowach z byłymi polskimi żołnierzami i uczestnikami powstania. A odbywałem je na początku lat 60. w Anglii. Z biegiem lat pojawiły się inne opinie, pozytywne, które obecnie wydają się dominować w debacie społecznej. Bo są ludzie, którym są one potrzebne.

Przeciętny człowiek, niedysponujący warsztatem historyka czy potrzebami polityka, może jednak się pokusić o dokonanie własnej oceny. Próby takie podjąłem sam.

Po pierwsze, zadałem sobie pytanie, w jakim stopniu śmierć moich 20 kolegów wpłynęła na losy wojny. Wojna trwała ok. 180 mln sekund. Poległo ok. 25 mln żołnierzy. Czasowy ekwiwalent śmierci jednego żołnierza wynosi zatem ok. 7 sekund. Przyjmując, że moi koledzy zginęli śmiercią żołnierza, dla 20 daje to ok. 140 sekund, czyli niespełna 2,5 minuty. Czy skrócenie wojny o taki czas warte jest życia 20 chłopców? Oczywiście obliczenie to jest bezsensowe, bo nie tylko ich śmierć, ale całe powstanie nie skróciło wojny ani o minutę.

Drugim sposobem jest ocena, czy – znając przebieg i wyniki powstania – gdybym miał decydować o rozpoczęciu walki, podjąłbym taką decyzję. Próby dokonałem na przykładzie dwóch warszawskich powstań: w getcie w 1943 r. i powszechnego w 1944 r. Uznałem, że decyzja o powstaniu w getcie była słuszna. Wybór, by zginąć z bronią w ręku, zadając wrogowi straty, był prawidłowy wobec alternatywy nieuchronnej śmierci w roli bezwolnej ofiary. Solidaryzuję się więc z Mordechajem Anielewiczem i jego decyzją. Nie mogę tego powiedzieć o Tadeuszu Borze-Komorowskim. Jako zawodowy oficer powinien rozważyć warunki militarne, a nie moralne i polityczne. Nie postąpiłbym tak jak on. Powstanie nie spełniło żadnych swoich założeń, a jego koszt przewyższył wszystkie korzyści z ewentualnego sukcesu.

Nie uważam, że moje próby oceny powstania są narzędziem do uniwersalnego zastosowania, wiem też, że nie są wolne od wad, ale pozwoliły mi zobiektywizować problem. I jeszcze jedno. Powstanie często wysoko oceniają jego byli uczestnicy. Całkowicie to rozumiem. Spełniali swój obowiązek najlepiej, jak umieli. A był to najczęściej ten okres w ich życiu, kiedy wiedzieli, że poświęcają się całkowicie najszczytniejszej z możliwych spraw, najpiękniejszy w szarzyźnie życia w pokoju. ■

eprasa.pl 11278a6272

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Niemcami podszyci

„Poskrob Rosjanina, a znajdziesz Tatara", powiadał niegdyś Joseph de Maistre. „Poskrob Polaka, a znajdziesz Niemca", można rzec po lekturze „Naszych Niemców", wydanej niedawno książki Macieja Falkowskiego.

Jest to książka rewelacyjna, choć wydawać by się mogło, że wcale być taką nie powinna. Wszak wszystkie (no, prawie wszystkie) przedstawione tu zjawiska zostały opisane. Wszystkie (prawie wszystkie) wydarzenia były przedmiotem dociekań historyków, socjologów, językoznawców. Skąd zatem świeżość książki Falkowskiego?

Nauka w Polsce nie ma na ogół przełożenia na życie społeczne. Dzieje się tak z powodu specjalizacji, poszatkowania naukowych działek, braku syntez, które – z racji ogromu opracowań – rzeczywiście wymagają wyjątkowego pisarskiego trudu. Brakuje też popularyzatorów. Zagadnienie „Niemców w Polsce" otrzymało znakomite, opatrzone dziesiątkami ilustracji opracowanie prof. Marka Zybury, ale było to ćwierć wieku temu. A przecież książka Falkowskiego – to nie tylko popularyzatorski wykład: to przede wszystkim reportaż. Autor pokazuje, że Niemcy byli w Polsce wszędzie. W Polsce – a właściwie na całym obszarze przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Na przykład na Łotwie, w Inflantach Polskich, skąd wywiodły się rody Tyzenhauzów i Platerów.

Falkowski tropi te niemieckie ślady. I niemal nie mówi o naszych Ziemiach Zachodnich i Północnych – tu byłoby to zbyt oczywiste. Penetruje zwłaszcza Polskę centralną: Małopolskę, Wielkopolskę, Mazowsze, Warszawę, Łódź. Szuka starych domów, zarośniętych cmentarzy, ostatnich świadków. „Przyjechał pan o jakieś 20 lat za późno", słyszy od mieszkańca spod Kozienic. Ale dociekliwość reportera przynosi owoce. I nagle okazuje się, że w różnych miejscach Polski skrzykują się dziś entuzjaści szukający śladów dawnego życia. A to dawne życie było nasycone niemieckością. I było pokojowe, jak pokojową była przez stulecia granica polsko-niemiecka.

Niemcy w Polsce z czasem się polonizowali. Osadnicy z bawarskiego Bambergu napływali do podpoznańskich wsi od roku 1719. Język niemiecki zachowali przez kilka pokoleń, gdy jednak w czasie Kulturkampfu Kościół katolicki był w Niemczech szykanowany, wspólnota wiary uczyniła z nich Polaków – i to w ciągu jednej generacji. Dziś oryginalny ludowy strój wsi podpoznańskich zanikł, bo wyparł go strój niemieckich Bambrów, powstały zresztą dopiero w Wielkopolsce, z tradycji polsko-niemieckich. I dziś jest ten strój wizytówką Poznania. Germanizacja to czy polonizacja?

W Małopolsce nazwy miejscowe typu Tymbark, Grywałd, Kacwin, Melsztyn, Czorsztyn czy Rytro pozostały po średniowiecznym osadnictwie niemieckim. A nazwy polskie też są często przeróbkami lub przekładami z niemieckiego – jak Łańcut (Landshut), Nowy Sącz (Neu Sandez) lub Nowy Targ (Neu Markt). Terminu „Głuchoniemcy" używa Falkowski na oznaczenie społeczności, która niemiecką tożsamość zatraciła przed wiekami. Pozostały po niej – jak w przypadku nazw miejscowych – tylko obco brzmiące nazwiska.

Niemcy Falkowskiego niejedno mają imię. Są nimi również mieszkańcy Wilamowic koło Bielska-Białej – zdumiewającej enklawy odrębnego języka wilamowskiego, obecnie z trudem rewitalizowanego. To także Olędrzy, menoniccy osadnicy z Holandii, zasiedlający przed wiekami Żuławy Wiślane i – jak w swej ojczyźnie – „walczący z wodą". Właśnie w przypadku Olędrów Falkowski ukazuje wyjątkowo dobitnie swą rzetelność. Wszak uchodzący,

Nauka w Polsce nie ma na ogół przełożenia na życie społeczne.

bądź wypędzani w roku 1945, „protestanccy gospodarze w zdecydowanej większości czuli się Niemcami i byli postrzegani jako Niemcy, a nie żadni Olędrzy". O tej ich niemieckości wolimy jednak nie pamiętać. Autor jest świadom zbrodni, jakie nieraz popełniała niemiecka „piąta kolumna", lecz wobec powojennej tragedii Niemców, wobec kresu ich obecności w Polsce, zachowuje postawę pełną empatii. Przejmująca opowieść o jego babce, całe życie ukrywającej swą niemieckość, zamyka książkę osobistym, ale i uogólniającym akcentem.

„Za kroplę mojej niemieckiej krwi", pisał piewca starej Warszawy, Artur Oppman (Or-Ot). Ten słynny kiedyś wiersz jest żalem Polaka niepełnego, który ze swej polskości musi nieustannie zdawać egzamin. Książka Falkowskiego, ukazując nieusuwalność z polskości składnika niemieckiego, przywraca go naszej świadomości. Wzmiankowałem pewnego razu koleżance, profesorce UJ, że krakowska ulica św. Anny nosiła kiedyś nazwę Judengasse. Odpowiedziała: „Tak, w czasie okupacji". Nie prostowałem. A przecież Judengasse to była nazwa pierwotna.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 11278a6272

Fałszywa historia, narodowa megalomania

Za analfabetyzm historyczny społeczeństwa odpowiadają państwo i Kościół

Paweł Siergiejczyk

Sierpniowo-wrześniowy kalendarz patriotyczny co roku wygląda tak samo: najpierw rocznica wybuchu powstania warszawskiego, dwa tygodnie później Święto Wojska Polskiego ustanowione w rocznicę „cudu nad Wisłą", niedługo potem wspomnienie paktu Ribbentrop-Mołotow, wreszcie rocznice agresji niemieckiej i radzieckiej z 1939 r. Cały ten historyczno-wojenny rytuał nie pozwala Polakom ani na moment zapomnieć rzekomej odwiecznej prawdy, że nasz kraj zawsze leżał między dwiema wrogimi potęgami – Niemcami i Rosją. Rzekomej, ponieważ to powszechne w naszym społeczeństwie przekonanie oparte jest na ignorancji i zakłamaniu.

Gigantyczną nieprawdą jest bowiem twierdzenie, że Niemcy zawsze Polsce zagrażali. Przez większość naszej historii nie było wszak jednego państwa niemieckiego, lecz cała mozaika niemieckojęzycznych państw i państewek, których relacje z Polską były bardzo różne, najczęściej przyjazne lub obojętne. Wrogiem okazały się tylko Prusy, ale dopiero w drugiej połowie XVIII w., gdy wzięły udział w rozbiorach Rzeczypospolitej, podobnie jak habsburska Austria. Ta ostatnia przestała istnieć w 1918 r., następcą Prus zaś stały się zjednoczone przez Bismarcka Niemcy, których stosunek do Polaków rzeczywiście był nieprzyjazny.

Warto jednak pamiętać, że egzystencjalnym zagrożeniem dla naszego narodu stała się dopiero hitlerowska III Rzesza w latach 1939-1945 (paradoksalnie wcześniej Hitler starał się utrzymywać bardzo dobre stosunki z Polską). I to cała historia niemiecko-polskiej wrogości, zamknięta największą klęską w dziejach narodu niemieckiego, która nastąpiła wiosną 1945 r.

Druga część tej rzekomej prawdy, mówiąca o odwiecznym zagrożeniu rosyjskim, również jest mocno zmistyfikowana. Po pierwsze, w średniowieczu, a zatem przez połowę naszych dziejów, żadnej Rosji nie było. Była Ruś Kijowska, z którą piastowska Polska miała bliskie i zwykle dobre kontakty, mimo formalnej różnicy wyznania, potem zaś rywalizacja o ziemie ruskie dwóch wschodnioeuropejskich mocarstw – Litwy i Moskwy.

> Gigantyczną nieprawdą jest twierdzenie, że Niemcy zawsze Polsce zagrażali.

Wspólne państwo polsko-litewskie rozpoczęło wojny z Moskwą dopiero w XVI w., a przegrywać z nią zaczęło w drugiej połowie następnego stulecia. Natomiast nowoczesna Rosja powstała w XVIII w. jako dzieło Piotra Wielkiego i jego następców, którzy mieli już dość sił i środków, by podporządkować sobie Rzeczpospolitą, a potem zaanektować większość jej terenów.

Warto jednak pamiętać, że wśród rosyjskich władców, a potem radzieckich przywódców byli i tacy, którzy przyczyniali się do odrodzenia polskiej państwowości: cesarz Aleksander I w 1815 r. i Józef Stalin w 1944 r. Niemieccy zaborcy zdecydowali się na to tylko raz – w akcie dwóch cesarzy z listopada 1916 r. Polacy są jednak narodem niewdzięcznym nawet wobec swoich, nic zatem dziwnego, że tych faktów nie mają we wdzięcznej pamięci.

Kult niewiedzy

Mit odwiecznego zagrożenia z dwóch stron trzyma się w Polsce mocno dzięki niewiedzy. To ona sprawia, że mało kto uświadamia sobie, że np. w XVII w. oś zagrożeń dla Rzeczypospolitej przebiegała z północy na południe (Szwecja-Turcja), a nie ze wschodu na zachód. A już kompletnie nie mieści się w naszej świadomości fakt, że „potop" szwedzki, który przyniósł pierwszą wielką katastrofę państwa polsko-litewskiego, zakończył się dla naszych przodków szczęśliwie dzięki pomocy Austrii, Prus i Moskwy, czyli tych samych sąsiadów, którzy później dokonają rozbiorów. Polska historia pełna jest takich paradoksów, o których większość Polaków nie ma pojęcia, karmiona prostacką, megalomańską mitologią narodową.

W tej pseudohistorycznej mitologii centralne miejsce zajmuje antypolski sojusz niemiecko-rosyjski, oczywiście również „odwieczny" i uważany za zupełnie naturalny. W rzeczywistości współpraca Petersburga, a potem Moskwy z Berlinem miała charakter incydentalny, stanowiła raczej wyjątek niż regułę

eprasa.pl 11278a6272

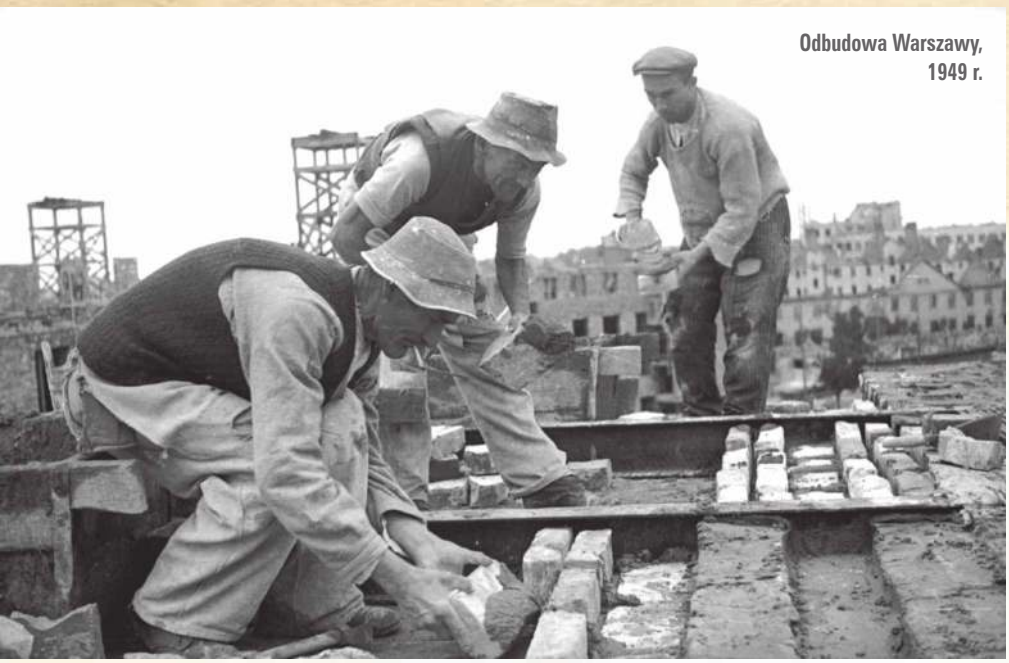

Odbudowa Warszawy, 1949 r.

w dziejach obu tych państw. Carskiej Rosji znacznie bliżej było do cesarskiej Austrii niż do królewskich Prus, a potem zjednoczonych Niemiec, z którymi przecież wielokrotnie armia rosyjska toczyła wojny.

W obu wojnach światowych Niemcy i Rosjanie też stali po dwóch stronach frontu. Rozbiory Rzeczypospolitej oraz krótki okres współpracy niemiecko-radzieckiej od września 1939 r. do czerwca 1941 r. to jedyne dowody na potwierdzenie rzekomej „odwieczności" obustronnego zagrożenia, co nie przeszkadza licznym politykom, publicystom, a nawet historykom snuć opowieści o „niemiecko-rosyjskim kondominium", którym ma być dzisiejsza Polska.

W ogóle II wojna światowa stanowi główny punkt odniesienia dla polityczno-historycznej propagandy, którą uprawia duża część polskich elit, szczególnie tych prawicowych. I choć od jej wybuchu mija 87 lat, 81 zaś od zakończenia, można odnieść wrażenie, że ta wojna wcale się nie skończyła, a liczba frontów, na jakich trzeba toczyć walki, raczej rośnie, niż maleje.

Niekwestionowanym wrogiem jest oczywiście Rosja, która agresją na Ukrainę potwierdziła opinię o swojej imperialistycznej naturze, aczkolwiek warto pamiętać, że Polska nie znajduje się w stanie bezpośredniej wojny z Rosją. Wielu ludzi u nas zdaje się o tym zapominać. Jednak wrogiem równie groźnym wydają się Niemcy – takie wrażenie można odnieść, gdy słucha się liderów polskiej prawicy, z Kaczyńskim i Nawrockim na czele. Ci nie tylko straszą Niemcami i uważają polski rząd za ich agenturę, lecz także domagają się gigantycznych reparacji za krzywdy wyrządzone nam przez III Rzeszę.

Ale mamy też innych wrogów. Choćby Ukrainę, którą prawica coraz częściej traktuje bardziej nieprzyjaźnie niż Rosję, czyniąc ze zbrodni UPA papierek lakmusowy polsko-ukraińskich stosunków. Tylko trochę mniej nieprzyjazne jest podejście naszej prawicy do Litwy, z którą podzieliła nas i wojenna historia, i całkiem współczesna kwestia mniejszości polskiej na Wileńszczyźnie. No i wreszcie zachodnia Europa, która uchodzi za światowe centrum „lewactwa" i na którą w żadnym razie liczyć nie można z uwagi na jej zdradę w czasie II wojny światowej.

Zdrada Zachodu

Przekonanie o zdradzie Zachodu, zawsze w Polsce silne, jest dziś wzmacniane przez prawicową propagandę, uprawianą nawet profesorskimi piórami (wszak jedna z książek Andrzeja Nowaka o wojnie z 1920 r. nosi tytuł „Pierwsza zdrada Zachodu"). Zachód, czyli Anglia i Francja, miał nas zdradzać zawsze, a już najbardziej podczas ostatniej wojny – w 1939 r. i potem w Jałcie, „sprzedając Polskę" Stalinowi.

Na nic zdają się tłumaczenia, że jednak 3 września 1939 r. Londyn i Paryż wypowiedziały wojnę Niemcom w obronie Polski, a chociaż po kilku dniach wstrzymały działania zbrojne, to umożliwiły stworzenie na swoim terytorium polskiej armii oraz ugościły władze Rzeczypospolitej, uznając jej istnienie do samego końca wojny. Dzięki temu Stalin, którego armie w latach 1944-1945 zajęły całość ziem polskich, zmuszony był uznać konieczność odrodzenia państwa polskiego, choć oczywiście pod własną protekcją.

W Jałcie zaś nikt Polski nie sprzedał, bo jej los był już przesądzony niepowstrzymanym marszem Armii Czerwonej w stronę Berlina. Z kolei powstaniu warszawskiemu Zachód pomóc nie mógł, a Stalin nie chciał, czemu zresztą trudno się dziwić, gdyż było ono wymierzone politycznie i propagandowo przeciwko niemu.

O tym wszystkim w dzisiejszej Polsce nie chce się pamiętać, przedstawiając II wojnę jako wielką klęskę spowodowaną przez globalny spisek przeciw naszemu narodowi. To oczywiście następny przejaw megalomanii, z którą polska prawica już nawet się nie kryje. Karol Nawrocki za hasło swojej prezydentury przyjął zawołanie: „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy". Co gorsza, ten niedouczony historyk przenosi to hasło na grunt polityki historycznej, mimo że ani w czasie II wojny, ani w żadnym innym okresie Polska i Polacy nie znajdowali się w centrum europejskiej historii, stanowiąc jej wschodni margines.

To samo dotyczy polskiej kultury, nauki i w ogóle wkładu w cywilizację europejską. Również tak mocny podobno polski katolicyzm zawsze znajdował się na peryferiach Kościoła powszechnego, nie wnosząc do

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

eprasa.pl 11278a6272

niego żadnych ważnych teologów czy filozofów ani nawet świętych o skali ponadlokalnej – poza sztucznie nagłośnionym, lecz już przemijającym kultem Jana Pawła II.

Jednak powiedzenie tych oczywistości jest w Polsce niewybaczalną herezją, nazywaną nieraz „narodową mikromanią" lub „pedagogiką wstydu". Dlatego politycy i ludzie mediów, którym zależy na popularności, nigdy tych prawd nie mówią. I tylko nieliczni intelektualiści mają odwagę wyłamywać się z szeregu. Należy do nich o. Wojciech Giertych, dominikanin od lat pełniący funkcję teologa Domu Papieskiego, syn czołowego emigracyjnego endeka Jędrzeja Giertycha, młodszy brat prof. Macieja Giertycha i stryj Romana Giertycha.

Fundament niewiedzy

W wydanej niedawno książce „Rozmowy rzymskie. Pytania na czas niepokoju", stanowiącej zapis dyskusji zakonnika z ministrem Radosławem Sikorskim, o. Giertych mówi, że „odkąd nie ma zaborców, nie ma przeciwników wojennych, wrogów trzeba wymyślać, ewentualnie rozpamiętywać. (...) W Anglii 11 listopada przypada wspomnienie zakończenia I wojny światowej, ale nie ma tam manii wspominania rocznic klęsk. Tymczasem w Polsce wspomina się także żołnierzy wyklętych, którzy siedzieli w lasach, czekali na III wojnę światową i jako ludzie się degenerowali. (...) Ciągłe wspominanie klęsk prowadzi do umacniania się postawy bycia przeciwko wrogowi, nawet jeśli ten przestał już nas atakować. Oczywiście, rozumiem położenie człowieka, który jako partyzant z dobrymi intencjami znalazł się w lesie, a komunistyczny aparat państwowy go zabił. Rodzina może pamięć o tym człowieku pielęgnować. Zadbać o swoją rodzinną opowieść o nim, o miejsce pamięci i krzyż przy grobie. (...) Dzisiaj należałoby wspominać nie tych, którzy byli przeciwko wszystkiemu, ale tych, którzy w powojennej Polsce robili coś konstruktywnego. Czy nie należałoby większej uwagi poświęcić tym, którzy z wielkim heroizmem odgruzowywali i odbudowywali Warszawę? Zakładali służbę zdrowia w Szczecinie, uniwersytet we Wrocławiu, polonizowali Gdańsk".

„Potop" szwedzki zakończył się dla naszych przodków szczęśliwie dzięki pomocy Austrii, Prus i Moskwy.

O. Wojciech Giertych wie, o czym mówi – wszak urodził się w powojennym Londynie i jako młody człowiek pod koniec epoki Gomułki przyjechał na studia do PRL, ma więc perspektywę szerszą niż większość Polaków. Zanim wstąpił do zakonu, ukończył studia historyczne na poznańskim uniwersytecie, gdzie jeszcze wiele lat po wojnie wykładali przedwojenni profesorowie, a tamtejsi marksiści byli mocno niepokorni wobec oficjalnej doktryny. Jego wieloletnia praca u boku kolejnych papieży pozwoliła mu zaś poznać katolicyzm w wymiarze światowym i widzieć polski Kościół we właściwych wymiarach.

W tych rozmowach z Sikorskim o. Giertych jest oczywiście partnerem ciekawszym i mądrzejszym, choć trzeba przyznać, że i nasz minister daje dowody erudycji i rozsądnego spojrzenia na świat. Czytając tę książkę, można tylko żałować, że Radosław Sikorski nie został głową państwa, a o. Giertych nie stoi na czele Kościoła w Polsce. Niestety, oba urzędy od wielu lat są zajęte przez ludzi znacznie głupszych, po których niczego lepszego spodziewać się nie można. A to przecież państwo i Kościół w największym stopniu odpowiadają za analfabetyzm historyczny naszego społeczeństwa.

III RP, która u początków była przecież dziełem Okrągłego Stołu, czyli kompromisu władzy, opozycji i episkopatu, została skutecznie zawłaszczona przez bezmyślną prawicę, czemu sekundowała większość kleru, tracącego autorytet w społeczeństwie, lecz zyskującego symbiozę ideologiczną i finansową z władzą. Fundamentem zaś tej fatalnej polityki stała się fałszywa historia, której centralnym dysponentem jest IPN. To stamtąd już od ćwierćwiecza płynie pseudohistoryczna propaganda, jaką daje się usłyszeć podczas kolejnych rocznicowych obchodów.

Paweł Siergiejczyk

Prawda historyczna kontra kłamstwa IPN

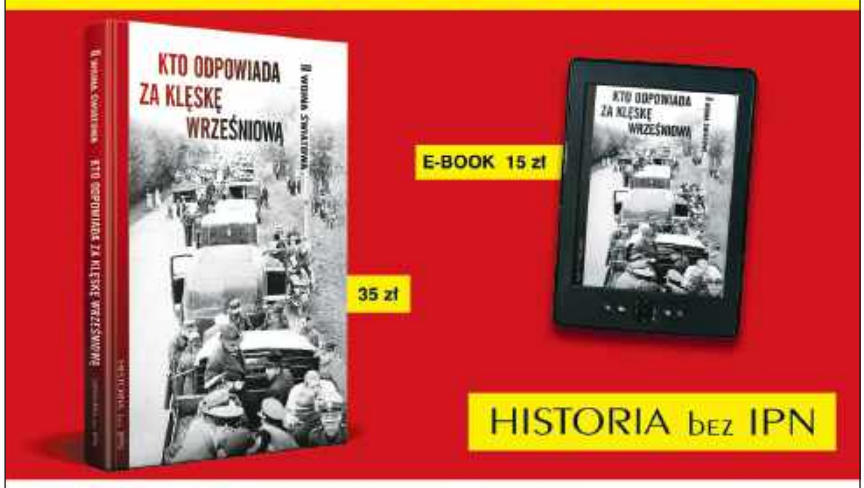

Zamów książki na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 11278a6272

Uniwersytet Harvarda

Amerykańskie uniwersytety kuźnie światowych elit

Andrzej Wilk

Potęgę Ameryki według obiegowej symboliki tworzą: Wall Street, Pentagon, Hollywood i Dolina Krzemowa. Na każdy z tych symboli oddziałują z kolei uniwersytety kształcące uczonych, przedsiębiorców, polityków, dyplomatów, wynalazców i ekonomistów. W wielu przypadkach uniwersytety wyznaczają rangę tych, którzy na nich studiują i wykładają. Magnetyzm tych uniwersytetów powodował, że znajdowali w nich miejsce uczeni należący do światowej czołówki intelektualnej.

•

W 1636 r. władze kolonii Massachusetts Bay założyły college (New College), który miał w przyszłości kształcić duchownych. Dwa lata później John Harvard ofiarował im bibliotekę i połowę majątku. Od 1639 r. uczelnia nosi jego nazwisko.

Obowiązkiem amerykańskich protestantów było codzienne czytanie Biblii. A to oznaczało, że nie mogli być analfabetami. Dlatego potrzebni byli nauczyciele. Na terenie Stanów Zjednoczonych jak grzyby po deszczu wyrastały zatem uczelnie pedagogiczne. Z czasem przekształcały się w uniwersytety.

Jeszcze w XVIII w. autorami wielu wynalazków byli praktycy ze smykałką, ale bez znajomości nauk ścisłych. W 1850 r. Harvard University posiadał już Lawrence Scientific School – wydział kształcący z zakresu matematyki, fizyki i chemii. W 1860 r. powstał Massachusetts Institute of Technology – wiedza na nim zdobyta przyczyniała się do powstawania nowych odkryć i wynalazków. Za szczególnie użyteczne uznawano kształcenie specjalistów w zakresie rolnictwa i budowy maszyn. Przełomowa amerykańska ustawa, Morrill Land-Grant Acts z 1862 r., zapewniała dotacje federalne na edukację inżynierów w tych dziedzinach.

Stopniowo z licznej grupy amerykańskich uniwersytetów wyłaniała się elitarna grupa, zwana Ligą Bluszczową. Zaliczono do niej osiem uczelni: Harvard, Dartmouth College, Brown University, Columbię, Cornell University, Princeton, Yale i University of Pennsylvania.

•

Od 1932 r. w USA przebywał Albert Einstein. Przed wybuchem II wojny światowej zwrócił uwagę prezydenta Franklina D. Roosevelta na potrzebę podjęcia przez USA prac związanych z uzyskaniem broni atomowej. Autorytet Einsteina sprawił, że do tajnego Projektu Manhattan, który zapewnił USA broń atomową, włączeni zostali wybitni fizycy z całego świata.

Niezwykłą wiedzę włoskiego fizyka Enrica Fermiego (1901-1954) spożytkowały Columbia University oraz University of Chicago, a jego osiągnięcia z zakresu fizyki nuklearnej zostały wykorzystane do przygotowania Projektu Manhattan.

Wśród uczestników tego projektu był także polsko-brytyjski fizyk

FOT. STEPHANIE MITCHELL/HARVARD STAFF PHOTOGRAPHER

eprasa.pl 11278a6272

Józef Rotblat (1908-2005). Prof. Rotblat znany jest jako bliski współpracownik Bertranda Russella. Po jego śmierci został przywódcą ruchu Pugwash skupiającego uczonych działających na rzecz ograniczania zbrojeń nuklearnych. Za swoją działalność otrzymał, razem z ruchem Pugwash, Pokojową Nagrodę Nobla. Za początek działalności ruchu uważa się publikację manifestu Russella-Einsteina (1955).

W ruchu Pugwash działali uczeni – doradcy rządów, którzy byli w stanie przekonać polityków i generałów o celowości zawarcia Układu o zakazie prób broni nuklearnej w atmosferze, w przestrzeni kosmicznej i pod wodą, podpisanego w 1963 r. w Moskwie. Negocjacje były trudne. Ustępstwem na rzecz generałów było pozostawienie możliwości wykonywania prób podziemnych. Ich kontrola była możliwa dzięki użyciu aparatury do badań sejsmicznych.

•

Wielu Amerykanów za naturalnych członków elity władzy uznawało białych protestantów anglosaskiego pochodzenia (White Anglo-Saxon Protestants, WASP). Odgrywali oni wiodącą rolę we wszystkich dziedzinach życia: w polityce, bankowości i kierowaniu wielkimi korporacjami. Prezydentura Johna F. Kennedy'ego oznaczała jednak swoisty przełom – oto na czele państwa stanął katolik. Atutem JFK było jego wykształcenie. Posiadał prestiżowy dyplom Uniwersytetu Harvarda.

Zaskoczeniem dla wielu Amerykanów był także wybór Baracka Obamy. Prezydentem został bowiem kolorowy protestant niemający anglosaskiego pochodzenia. O wykształcenie Obamy zadbała jego babka. Na Uniwersytecie Columbia młody Obama został politologiem, a studia prawnicze (z wyróżnieniem) ukończył na Harvardzie. U progu prezydentury dostał Pokojową Nagrodę Nobla.

Zgodnie z konstytucją prezydentem i wiceprezydentem USA może zostać Amerykanka lub Amerykanin urodzony w Stanach Zjednoczonych. Na stanowiska te nie mogli zatem kandydować ani urodzony w Warszawie Zbigniew Brzeziński, ani urodzony w Fürth w Bawarii Henry Kissinger. Obydwaj jednak zostali niezwykle wpływowymi doradcami prezydentów.

Zbigniew Brzeziński był studentem, a następnie profesorem Harvardu. Później wykładał na Uniwersytecie Columbia. Jego ogromna wiedza z zakresu politologii i geostrategii politycznej przyciągała uwagę polityków, którzy uczynili z niego eksperta agencji rządowych, a później dyplomatę i polityka.

Jak wiadomo, historyczna wizyta prezydenta Richarda Nixona w Chinach w lutym 1972 r. oraz dyplomatyczne wysiłki Henry'ego Kissingera doprowadziły do przełomu i wznowienia dialogu między Stanami Zjednoczonymi a Chińską Republiką Ludową. Jednak oficjalnie pełne stosunki dyplomatyczne odnowiono w 1979 r. – dzięki wysiłkom prezydenta Jimmy'ego Cartera i jego doradcy Zbigniewa Brzezińskiego.

Działania polskich władz w okresie mandatu Edwarda Gierka obliczone były na rozszerzanie i umacnianie stosunków polsko-amerykańskich. Temu celowi służyły m.in. tajne kontakty i rozmowy z prof. Zbigniewem Brzezińskim. W 1980 r., podczas tzw. karnawału Solidarności, dzięki działaniom Brzezińskiego prezydent Carter zapobiegł planowanej radzieckiej interwencji zbrojnej w Polsce.

Wielki Zbig taktownie zwracał uwagę polskim politykom, że interesy Stanów Zjednoczonych nie są identyczne z interesami Polski. Ze swej strony zawsze dbał o polską rację stanu i pokojowy przebieg przemian ustrojowych w Polsce. Na życzenie profesora towarzyszyłem mu podczas posiedzenia senackiej Komisji Spraw Zagranicznych (przewodniczył jej Edward Wende). W trakcie obrad ktoś zapytał: „Co należy zrobić, gdyby wybory wygrała lewica?". Profesor odpowiedział: „Nie rozumiem tego pytania. Należy przyjąć każdy werdykt wyborców".

Henry Kissinger (1923-2023) podobnie jak Brzeziński uczył się american english jako nastolatek. Po studiach na Harvardzie, również jak Brzeziński, został profesorem tej uczelni. Był historykiem – znawcą XIX w. Uwagę wpływowych czytelników przyciągały jednak politologiczne prace Kissingera.

W polityce zagranicznej spore zainteresowanie (i kontrowersje) wywołała książka o roli broni nuklearnej „Nuclear Weapons and Foreign Policy". Autor dopuszczał np. stosowanie broni jądrowej w procesie rokowań dyplomatycznych. Jako polityk i dyplomata był Kissinger postacią mocno spolaryzowaną. Z jednej strony, doprowadził do stabilizacji stosunków amerykańsko-radzieckich oraz amerykańsko-chińskich. Z drugiej – był współodpowiedzialny za bombardowanie Kambodży i przedłużanie wojny w Wietnamie.

Ostatecznie jednak rokowania Kissinger-Le Duc Tho doprowadziły do podpisania paryskich porozumień

eprasa.pl 11278a6272

pokojowych w 1973 r. Oburzenie wielu środowisk wywołało także poparcie Kissingera dla dyktatury Augusta Pinocheta. Po odejściu z polityki Kissinger zajął się lukratywną działalnością konsultingową.

•

Do rozwoju amerykańskiej ekonomii przyczynili się wybitni cudzoziemcy. Przyciągały ich zwłaszcza słynne uniwersytety.

Wielki wkład w badanie struktury gospodarki amerykańskiej wniósł ekonomista rosyjskiego pochodzenia Wassily Leontief (1905-1999). W 1925 r. ukazał się jego artykuł „Bilans gospodarki narodowej ZSRR". W tym samym roku Leontief wyjechał do Berlina, gdzie trzy lata później uzyskał doktorat. Pracował w Niemczech i w Chinach. Jednak najważniejszy etap w jego karierze naukowej rozpoczął się w roku 1946, kiedy został profesorem Harvardu. Wykładał tam do roku 1974, a następnie został profesorem New York University. Nagrodę Nobla otrzymał w roku 1973.

Niezwykłą postacią był Wiedeńczyk Joseph Schumpeter (1883-1950), który w roku 1919 został ministrem finansów Austrii, a następnie próbował swoich sił jako bankowiec i inwestor giełdowy. Próby te nie zakończyły się jednak pomyślnie. Prawdziwym powołaniem Schumpetera okazała się praca naukowa. Dotyczyła teorii rozwoju gospodarczego. Zdaniem Schumpetera jego istotą jest innowacyjny proces, w którym istniejące produkty i usługi są zastępowane przez nowe. Proces ten za ekonomistą Wernerem Sombartem Schumpeter nazwał twórczym niszczycielstwem (creative destruction).

Od 1932 r. do końca kariery akademickiej był profesorem Harvardu. 17 września 2009 r. tygodnik „The Economist" zainaugurował kolumnę poświęconą biznesowi i zarządzaniu, której nadał tytuł „Schumpeter". Ów błyskotliwy i twórczy austriacko-amerykański ekonomista stał się zatem patronem współczesnych dociekań na temat istoty i warunków rozwoju gospodarczego.

Guru wiedzy o zarządzaniu w Ameryce został inny Austriak, Peter Drucker (1909-2005). Od 1937 r. przebywał w Stanach Zjednoczonych, łącząc pracę dziennikarza i konsultanta. W latach 1943-1945 przeprowadził pionierską analizę struktury General Motors. Jej wynikiem była wydana w 1946 r. książka „Koncepcja korporacji" („Concept of the Corporation"). Pozycja wywołała oburzenie kierownictwa firmy. Dla Druckera kontakt z GM stanowił podstawę jego praktycznej wiedzy o przedsiębiorstwie. Książka ugruntowała autorytet autora jako znawcy zarządzania. Konserwatywny amerykański ekonomista Milton Friedman twierdził, że obowiązkiem przedsiębiorstwa jest osiąganie zysku, płacenie podatków i przestrzeganie prawa. Natomiast Drucker do tych obowiązków zaliczył jeszcze powinności wobec klientów, pracowników oraz otoczenia.

W 1942 r. został wykładowcą Bennington College. W latach 1952-1971 był profesorem zarządzania w New York University. Od 1971 r. do końca życia wykładał w Claremont Graduate University. Książki Druckera dotyczą zagadnień z zakresu przedsiębiorczości, innowacyjności oraz doboru strategii działania w zmieniających się okolicznościach. Obiektem zainteresowań badawczych i wysiłków autorskich Druckera były także organizacje non profit. Uważał, że przedsiębiorcy i menedżerowie wielkich korporacji mogliby od nich sporo się nauczyć. Drucker był krytykiem Ameryki korporacyjnej, dla której najważniejszy jest zysk, a potrzeby klientów i społeczeństwa schodzą na drugi plan. Poglądy te przysparzały mu wielu kłopotów.

•

Po kapitulacji III Rzeszy do USA przyjechało kilkuset uczonych zajmujących się techniką rakietową. Jednym z nich był prof. Ernst Eckert (1904-2004), wybitny specjalista z zakresu termodynamiki i wymiany ciepła. Jego wojenna przeszłość budziła moją niechęć. Od 1938 r. do końca wojny pracował w Luftfahrtforschungsanstalt (LFA), lotniczym tajnym ośrodku badawczym w Brunszwiku, przyczyniając się do umacniania potęgi III Rzeszy. W latach 1945-1951 był konsultantem w laboratoriach silników rakietowych w amerykańskich centrach badawczych w Dayton i Cleveland. Od 1951 r. do końca życia był profesorem University of Minnesota. Gdy go poznałem, był 57-letnim wykładowcą, który z kawałkiem kredy w dłoni przekazywał przy staroświeckiej czarnej tablicy ważną wiedzę. Był to rok 1961. Rok Gagarina.

Ponieważ potrzebni byli nauczyciele, jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać uczelnie pedagogiczne. Z czasem przekształcały się w uniwersytety.

Jak wiadomo, temperatura powierzchni kapsuły wchodzącej w gęste warstwy atmosfery wynosi kilkaset stopni. My, studenci Eckerta, wiedzieliśmy, jak zaprojektować kapsułę, w której astronauta może bezpiecznie wrócić z orbity okołoziemskiej na Ziemię. Po wykładzie na ten temat prof. Eckert wydał mi się sympatyczny i przyjazny.

•

Amerykańskie uniwersytety dawały wiedzę i nadawały rangę. Z drugiej strony przyciągały wybitne umysły, które podnosiły ich poziom i wnosiły wkład do światowej nauki.

Teraz, w erze trumpizmu, warunki funkcjonowania uniwersytetów pogarszają się. Nastąpiła ingerencja w treści programowe połączona z obcinaniem dotacji federalnych. Zmniejszył się napływ studentów zagranicznych.

Gdy amerykański izolacjonizm się pogłębia, rośnie otwartość Chin na świat. Wzrasta międzynarodowe znaczenie takich uniwersytetów jak Renmin, Fudan czy Hangzhou. Ale to już opowieść na odrębny artykuł.

Dr Andrzej Wilk jest nauczycielem akademickim i publicystą zajmującym się stosunkami międzynarodowymi, zarządzaniem oraz historią myśli politycznej

eprasa.pl 11278a6272

Szczepionka na radykalizm

Jeśli Hiszpania skręci w prawo, konsekwencje odczuje cała Europa

Mateusz Mazzini

Ostatnio Madryt stawiany jest w absolutnej awangardzie polityki europejskiej. Podczas gdy zdecydowana większość zachodnich gospodarek utknęła w miejscu albo się kurczy, Hiszpania notuje wzrost na poziomie 2,1% PKB w skali roku – to wynik dzisiaj nieosiągalny dla Niemiec czy Wielkiej Brytanii.

Ponadto im bardziej europejski główny nurt, z Ursulą von der Leyen, Mette Frederiksen i Donaldem Tuskiem na czele, skręca w prawo pod względem regulacji migracyjnych i skali deportacji, tym bardziej Pedro Sánchez obiera kurs przeciwny. Niedawno jego rząd podjął decyzję o stworzeniu szybkiej ścieżki legalizacji pobytu, a z czasem nawet uzyskania obywatelstwa, dla pół miliona nielegalnych imigrantów, głównie z krajów Ameryki Łacińskiej. Początkowe szacunki okazały się zresztą zbyt zachowawcze. Osób, które będą w stanie skorzystać z nowych przepisów, może być nawet o jedną trzecią więcej.

W dodatku Sánchez, polityk szalenie utalentowany, ale też kochający splendor, nie kryje się ze swoją oryginalnością. Nową politykę migracyjną ogłosił światu esejem na łamach „New York Timesa".

Brama do UE

Migracja to oczywiście przykład najjaskrawszy, ale fundamentalnych różnic pomiędzy Madrytem a resztą kontynentu jest znacznie więcej. W obliczu nadchodzącego „drugiego chińskiego szoku handlowego", który może wyeliminować setki tysięcy miejsc pracy w europejskim przemyśle, Bruksela i Berlin przygotowują się do ostrzejszego protekcjonizmu wobec Chin. Hiszpanie w tym samym czasie otwierają się na chiński kapitał.

Sánchez był w Pekinie cztery razy w ciągu czterech lat, a jego współpraca z Państwem Środka zaczyna przyjmować niepokojącą formę. Portal śledczy Intelligence Online ujawnił niedawno, że w Madrycie odkryto jeden z wielu rozsianych po całej Europie nieoficjalnych i po prostu nielegalnych posterunków chińskiej policji. Xi Jinping używa tych jednostek do monitorowania chińskiej diaspory, szpiegostwa – w tym przemysłowego – i wpuszczania propagandy do obiegu informacyjnego społeczeństw europejskich.

> Gdyby wybory odbyły się jutro, prawica łatwo przejęłaby władzę.

Władze w Madrycie rzekomo miały wiedzieć o istnieniu posterunku, ale nic z tą wiedzą nie zrobiły, bo sięgające ponad 3,5 mld euro chińskie inwestycje w tamtejszy przemysł motoryzacyjny byłyby zbyt wielką ceną, którą trzeba by zapłacić za interwencję w tej sprawie. Nie będzie więc przesadą stwierdzenie, o które niedawno pokusił się Ivan Krastev. Bułgarski politolog powiedział, że Sánchez „jest tak samo utalentowany jak Viktor Orbán i zaczyna odgrywać tę samą rolę wobec Pekinu, którą przez lata odgrywał premier Węgier". Krótko mówiąc, dawniej to Budapeszt był bramą Chińczyków do Unii Europejskiej, dzisiaj jest nią Madryt.

Energia jądrowa, źródła odnawialne, eutanazja, kobietobójstwo, prawa mniejszości, decentralizacja. Tam, gdzie wiele państw europejskich próbuje wrócić wręcz do XIX w., monopolizując władzę w rękach rządów i ograniczając swobody obywatelskie, lewicowy premier Hiszpanii podąża w przeciwną stronę. Nie ma co się oszukiwać, pod wieloma względami jest to możliwe dzięki dywidendzie geograficznej. Wojna, przynajmniej na razie, Hiszpanom nie grozi, obawiać się mogą – i powinni – znacznie bardziej katastrofy klimatycznej, która właściwie już każdego lata dewastuje tysiące hektarów lasów i niszczy infrastrukturę krytyczną. Na razie jednak to problem głównie dla turystyki, odpowiadającej za 13% tamtejszego PKB. Póki nie płoną miasta, można co najwyżej się martwić, że mniej Niemców i Amerykanów przyjedzie wylegiwać się na andaluzyjskich plażach.

Niezatapialny

Nie zmienia to oczywiście faktu, że kariera polityczna Sáncheza jest fenomenem na tle współczesnej polityki europejskiej. W całej Unii jest obecnie tylko troje nominalnie socjalistycznych (lub socjaldemokratycznych) szefów rządu. Bo słowackiego premiera Roberta Ficę, teoretycznie lewicowego, można nazwać jedynie oportunistą, a nie człowiekiem wiernym ideologii. Trzy na 27 to bardzo mała część Wspólnoty, oprócz Hiszpanii są w niej tylko Dania i Malta. Przy czym Mette Frederiksen i Pedro Sánchez, oboje zrzeszeni w europarlamentarnej frakcji Socjalistów i Demokratów, mają ze sobą niewiele wspólnego, głównie z powodu radykalnych różnic w kwestiach migracyjnych.

Nie było więc przypadku w tym, że kiedy na początku roku Sánchez inaugurował w Barcelonie pierwszy zjazd

eprasa.pl 11278a6272

Kariera polityczna Pedra Sáncheza jest fenomenem na tle współczesnej polityki europejskiej.

międzynarodówki lewicowej, mającej być odpowiedzią na CPAC (Conservative Political Action Conference), zaprosił Luiza Inácia Lulę da Silvę, wicekanclerza Niemiec Larsa Klingbeila i wielu innych progresywnych polityków – ale premier Danii już nie.

Hiszpan u władzy utrzymuje się nieprzerwanie przez osiem lat, i to pomimo przeprowadzenia w tym czasie aż trzykrotnie wyborów, z których ostatnie były przegrane, tyle że prawicowa Partia Ludowa nie zbudowała większości, by stworzyć rząd. Mimo licznych afer, w tym korupcyjnej, dotyczącej jego partnerki Begoni Gómez, braku stabilnych partnerów koalicyjnych, konieczności handlowania głosami z separatystami z Kraju Basków i Katalonii w zamian za ich poparcie, socjalistyczny premier pozostaje niezatapialny.

No właśnie – dlaczego? Czy, o ironio, jest w tej samej sytuacji co Frederiksen, silna słabością swoich prawicowych przeciwników? Czy Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (PSOE), ugrupowanie Sáncheza, rządzi, bo alternatywa – koalicja prawicowej Partii Ludowej (PP) z radykalnie prawicową formacją Vox – jawi się jako jeszcze gorsza opcja? A może chodzi o demony przeszłości i faszystowskie korzenie prawicy? Tradycje ruchu republikańskiego i separatyzmy?

Prawdopodobnie wszystkie punkty z tej listy mają mniejsze lub większe znaczenie dla kariery politycznej Sáncheza. Przeprowadzanie wiwisekcji tego sukcesu nie ma jednak teraz zbytniego sensu, bo Hiszpanie pójdą do urn w przyszłym roku, najpóźniej w sierpniu, i w następstwie tego głosowania hiszpański cud socjalistyczny najprawdopodobniej przejdzie do historii.

Gdyby wybory odbyły się jutro, prawica przejęłaby władzę bez problemu. W tej chwili poparcie dla PP wynosi 34%, przy 26% dla PSOE. Na trzecim miejscu jest Vox – 17%, dalej plasują się dwie coraz bardziej planktonowe formacje lewicowe: koalicja Sumar z 6% i znane z populistycznej eksplozji poprzedniej dekady Podemos z 4%. Pierwszy przypis, który należy zrobić w tej analizie, dotyczy samej góry sondażowej tabeli.

Nie ma co się przywiązywać do dystansu między PP a PSOE, bo te sondaże są akurat mocno chybotliwe. Jeszcze w kwietniu różnica wynosiła 2 pkt proc., czyli mieściła się w granicach błędu statystycznego. Może to jest jakieś pocieszenie dla lewicy, ale jeśli tak, to marne. Remis między tymi partiami ostatni raz zanotowano w marcu 2022 r. Od tego czasu prawica, coraz bardziej radykalna i przytulająca się do zbratanego z Orbánem ugrupowania Vox, konsekwentnie utrzymuje się na prowadzeniu.

Znacznie większym problemem dla Sáncheza są jednak słabi koalicjanci. Taka sytuacja zresztą jest dobrze znana w wielu europejskich krajach. W ostatnich wyborach, w sierpniu 2023 r., Sumar poparło 13% głosujących, ponad dwa razy więcej, niż wynosi ich obecna średnia sondażowa. Podemos, które wyłamało się z szerokiej lewicowej

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 11278a6272

koalicji przed tamtym głosowaniem, akurat w sondażach urosło, ale tylko dlatego, że poprzednio szorowało po dnie. Partia podwoiła poparcie, co brzmi imponująco. Gorzej, kiedy popatrzy się na liczby, bo to podwojenie nastąpiło z 2%.

Tymczasem notowania Vox skoczyły do 17%, choć – co ciekawe i często w tych debatach pomijane – wciąż daleko jest tej partii do najwyższych poziomów w historii. Kilka lat temu poparcie dla niej oscylowało już w granicach 20%, ale lider ugrupowania Santiago Abascal nigdy nie osiągnął tego wyniku w wyborach. Nad tym zjawiskiem akurat warto się pochylić, bo jest w miarę typowe dla antysystemowych partii europejskiej prawicy. Starczy popatrzeć na naszą Konfederację, która wprawdzie sukcesywnie zyskuje w sondażach i na pewno nie można jej lekceważyć, ale w krytycznych momentach pikuje.

Przed ostatnimi wyborami Vox stracił jedną trzecią sympatyków w ciągu roku. Wszyscy nad Wisłą z kolei pamiętają, jak jeszcze we wrześniu 2023 r. Sławomir Mentzen sam koronował się na głównego rozgrywającego późniejszej koalicji, bo w sondażach poparcie urosło mu do 16%. Skończyło się nieco inaczej – w trakcie konfederackiego wieczoru wyborczego o godz. 20.50, 10 minut przed ogłoszeniem wyników exit poll, ówczesna rzeczniczka Konfederacji Anna Bryłka wyszła do dziennikarzy i powiedziała, że nie wiadomo, czy Mentzen z nimi porozmawia, bo realna jest perspektywa spadku Konfederacji pod pięcioprocentowy próg wyborczy.

Przestrogi i zagrożenia

Te wszystkie zmienne warto brać pod uwagę przy robieniu symulacji wyborczych, nie tylko w Hiszpanii. Jednocześnie nie można zapominać, że zmieniła się zasadnicza dynamika. Dziś perspektywa współpracy PP i Vox w koalicji jest znacznie bardziej prawdopodobna niż trzy lata temu. Obie partie współrządzą już w czterech regionach na szczeblu samorządowym, a i natura tych sojuszy wiele mówi o potencjale stworzenia rządu centralnego.

Przestrogą dla lewicy powinna być zwłaszcza sytuacja w Andaluzji, jednym z tradycyjnych bastionów socjalizmu, gdzie pamięć o wojnie domowej i niechęć do monarchii zawsze były wyeksponowane. Tam władzę przejęła prawica i niedawno oba konserwatywne ugrupowania podpisały coś na kształt umowy programowej, zawierającej „narodowe priorytety", chociażby w dostępie do usług publicznych. Sama nazwa dokumentu każe zakładać, że ewentualny sojusz Vox i PP, mimo rytualnego obrzucania się przez nie obelgami na kampanijnym szlaku, nie jest dziś abstrakcją.

Problemem Sáncheza są słabi koalicjanci. Taka sytuacja zresztą jest dobrze znana w wielu krajach europejskich.

Gdyby do tego doszło, hiszpańska odrębność w polityce zagranicznej, energetycznej i migracyjnej najpewniej by się wypaliła. Zwłaszcza że ewentualny triumf iberyjskiej prawicy wybiłby się na coraz bardziej prawdopodobnej fali prawicowych zwycięstw. 2027 będzie rokiem wyborczym we Włoszech, we Francji, w Polsce i właśnie w Hiszpanii. Biorąc pod uwagę fakt, że w Niemczech AfD rośnie w sondażach, a krytyczną opinię o Friedrichu Merzu ma już pięciu na sześciu obywateli Republiki Federalnej, nie można wykluczyć, że upadnie również koalicyjny rząd w Berlinie.

W niebezpiecznym dla Europy, ale bardzo możliwym scenariuszu mniej lub bardziej skrajna prawica za 13-14 miesięcy będzie rządzić lub współrządzić we wszystkich pięciu najludniejszych krajach UE. W praktyce, na poziomie idei, norm, rozumienia roli kontynentu w świecie, oznaczać to będzie koniec powojennego europejskiego projektu politycznego, zapoczątkowanego przez Schumana, De Gasperiego i Monneta osiem dekad temu.

Vox już zresztą mości się w fotelu partnera koalicyjnego, snując imperialne plany na czas swoich pierwszych rządów. Europejska odsłona portalu Politico przedstawiła niedawno ich plan na Hiszpanię, zwłaszcza w kontekście roli kraju we Wspólnocie Europejskiej. Po pierwsze, regularne używanie przez Madryt prawa weta na forum Rady Europejskiej. „Koniec z byciem miłymi gośćmi – powiedzieli dziennikarzom Politico członkowie Vox. – Tam, gdzie nam nie pasuje polityka wspólnotowa, będziemy ją blokować". To niebezpieczne zwłaszcza dla Polski, bo Vox jest partią otwarcie „antywojenną", co należy uznać za eufemistycznie nazwaną chęć zatrzymania unijnego wsparcia dla Ukrainy, zwłaszcza finansowego. Podobnie jak pobratymcy ideologiczni z francuskiego Zjednoczenia Narodowego czy wspomnianej AfD hiszpańscy radykałowie chcieliby zatrzymać pogłębianie europejskiej integracji, odwrócić regulacje spod znaku Zielonego Ładu i stosować twardą politykę wobec imigrantów, nie tylko nielegalnych.

Największe niebezpieczeństwo dla Europy leży jednak gdzie indziej. I znowu to opowieść nie tylko o Hiszpanii. Partie skrajnie prawicowe, w tym Vox, chcą wywracać stolik i zmieniać systemy w swoich krajach, ale nie mają pojęcia, jak te systemy działają. Nawet jeśli niektóre ich pomysły na reformy bywają sensowne, nie mają one doświadczenia ani metody, by je wprowadzić. Im dłużej biurokratyczne molochy będą te zmiany opóźniać albo komplikować, tym mniej radykałowie będą mieli cierpliwości. Aż w pewnym momencie mogą do zmian w swoich krajach zabrać się z piłą mechaniczną w ręku – nawiązując do popularnego dziś artefaktu politycznego.

Wtedy naprawdę zrobi się niebezpiecznie, bo do Europy zawita styl rządzenia znany z drugiej administracji Donalda Trumpa. Destruktywny, chaotyczny, bardzo trudny do odwrócenia dla kolejnej władzy. Pedro Sánchez ma więc rok, żeby na ten rodzaj radykalizmu znaleźć szczepionkę.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 11278a6272

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Po co CIA leci do Moskwy

Nie jestem specjalistą od globalnej polityki, co nie zmienia faktu, że staram się ją obserwować, z rzadka komentować. Mam pełną świadomość, że na światło dzienne wychodzą tylko fragmenty układanek politycznych największych graczy. A do tych wciąż zaliczają się USA i Rosja. Ostatnia, półtajna wizyta szefa CIA Johna Ratcliffe'a w Moskwie jest jednym z epizodów owej rozgrywki, rozpalających ogień komentarzy i supozycji.

Wśród najczęściej pojawiających się tez jest ta, że podobnie jak w końcówce 2021 r., kiedy miała miejsce podobna wizyta (Amerykanie mieli mocne przypuszczenia, że Rosja zaatakuje Ukrainę), USA i tym razem coś wiedzą. I jest to coś nietuzinkowego, co może zburzyć i tak już naruszony ład europejski. Komentatorzy najczęściej twierdzą, że raczej nie jest to scenariusz otwartego konfliktu Rosji z NATO i że nie musi to oznaczać fizycznej operacji wojskowej wymierzonej w państwa bałtyckie (jak operacja na Ukrainie).

Ppłk Maciej Korowaj, były oficer Służby Wywiadu Wojskowego, mówi „Gazecie Wyborczej": „Kreml podbija stawkę i udaje gotowość do wojny wyłącznie po to, by zmusić Waszyngton do podjęcia rozmów na własnych zasadach. (…) Rosja dąży do eskalacji i straszy konfliktem nie po to, żeby od razu podbić NATO czy pokonać nas militarnie. Głównym celem Kremla jest po prostu zmuszenie Amerykanów, by usiedli z nimi do stołu i zaczęli rozmawiać na warunkach Moskwy". Wśród scenariuszy owego konfliktu jest ewentualność, całkowicie niedookreślona, użycia broni jądrowej.

A może warto zadać sobie pytanie, w stanie jakiej atrofii muszą być rozmowy na temat niewojennego rozwiązania konfliktu? Czy w ogóle toczą się gdziekolwiek jakieś rozmowy, symulacje rozwiązania innego niż militarne? Nic o nich nie wiem i raczej nie jest to skutek ich utajnienia, lecz potwierdzenie, że ten wariant nie jest nie tylko rozgrywany, ale i od lat traktowany poważnie.

Jeśli zatem trafione są sugestie co do celu Rosji (zmuszenie Zachodu do rozmów na temat czegoś, co można by nazwać nowym europejskim ładem), to może warto zauważyć, nie zachłystując się antyputinowską obsesją, że właśnie Rosja próbuje do takich rozmów doprowadzić. I tak, niewykluczone, że do osiągnięcia tego celu używa języka rozumianego i szanowanego przez USA i NATO – języka siły, manifestacji potęgi nuklearnej. Robi to na tyle czytelnie, że USA reagują i wysyłają na rozmowy szefa CIA. Czy zagrożenie aktem agresji militarnej na terenie Europy lub krajów NATO jest realne? Nie wiemy i zapewne długo wiedzieć nie będziemy. A co w teczce zawozi szef CIA? Groźby reakcji, zapewnienia, że osłabiany trumpowską polityką sam koncept NATO okaże się tym razem dawną potęgą północnoatlantycką?

„Nasi", czyli tutejsi komentatorzy, używają magicznej formuły oskarżycielskiej, że Rosja „chce rozmów na swoich warunkach". A co w tym dziwnego? A na jakich warunkach, jeśli już dochodzi do takich sytuacji, chcą rozmawiać Amerykanie?

Moja obsesyjna niechęć do filozofii wojny, uprawianej choćby przez polską klasę polityczną, a wyrażanej w sentencji „Si vis pacem, para bellum", zyskuje tu kolejne potwierdzenie. Jeśli nie widać żadnych wysiłków na rzecz osiągnięcia pokoju drogą pokojową, dostajemy przygotowania do wojny i realne nią zagrożenie. Zbrojenia i rozwiązania militarno-wojenne od prawie 100 lat należą do najpotężniejszych motorów polityki amerykańskiej. Rozmowy pokojowe nie są czynnikiem wspomagającym ten dyktat.

Jest absolutnym paradoksem, że po hekatombie XX w., krwawym owocu nacjonalistycznego „przebudzenia", lekcja antywojenna została skreślona z planów myślenia i nauczania. Natomiast lekcja wojenna, ludobójcza agresja militarna (Gaza, Iran) – ma się doskonale.

Polska jest marnym, niesamodzielnym uczniem tej cynicznej lekcji i powtarza refren antyrosyjski, tak jak Wielki Brat tego oczekuje. Taka to suwerenność i niepodległość, która ze łzami w oczach wyczekuje kolejnych oddziałów wojskowych z USA na naszym terytorium. Albo każe przytulać się do Francji i łasić o skrawek udziału w jej potencjale jądrowym.

Ale pleść o własnej potędze wojskowej Polacy umieją bardzo dobrze. Widać to podczas wojskowych parad pod wezwaniem Matki Boskiej każdego 15 sierpnia. W oficjalnym, państwowym języku uznano element jej ingerencji w wojnę 1920 r., równocześnie jednak kwitnie wiara w armaty i czołgi. Warto niezmordowanie przypominać, że definicja bezpieczeństwa w naszym kraju jest wyłącznie militarna i nie ma żadnych związków z innymi formami bezpieczeństwa społecznego. Język polski stał się już językiem wojny.

To może już lepiej, jak Rosja zmusi Zachód do rozmów przy stole, a nie na jakichś kolejnych zgliszczach.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 11278a6272

Pocztówka z… czyli wakacyjna miniszarada

Piotr Kimla, Anna Citkowska-Kimla

Wbrew stereotypom okres wakacyjny to czas intensywnej pracy akademików. Odbywa się wtedy wiele konferencji, na których obecność jest niemal obowiązkowa. Są one intelektualnie poruszające, ale wiążą się z dużym nakładem pracy. Nie chcę jednak zaprzątać uwagi Czytelników dylematami politycznymi rozpatrywanymi na zjazdach naukowych; kraj, w którym byłem z powodów zawodowych, może też być interesującym celem wakacyjnym. Niniejszy tekst jest zatem moją trzecią pocztówką z wakacji. Trzy lata temu pisałem o Nowym Jorku („Amerykańskie impresje"), rok temu o Seulu („Blisko perfekcji"), a dzisiaj o… Ciekawe, jak szybko Państwo się domyślą. Dodam, że tym razem tekst ma współautorkę, prof. Annę Citkowską-Kimlę.

Nastaw czajnik

Państwo, które mamy na myśli, należy do rodziny państw europejskich. Od 1 stycznia 1973 r. jest członkiem Unii Europejskiej, należy do strefy euro, co upraszcza życie podróżującemu, jest także w strefie roamingu UE (to niezwykle ważne dla cyfrowego nomady), ale nie należy do strefy Schengen, dlatego warto mieć przy sobie paszport, co usprawni przejście na lotniskach.

Historycznie i geograficznie państwo to dzieli się na cztery prowincje (północną, wschodnią, zachodnią i południową). Uwidacznia się to m.in. w symbolice i sporcie. Nazw tych prowincji na razie nie ujawniamy, bo zagadka, jaki to kraj, zostałaby od razu rozwiązana. Mieliśmy przyjemność być w zachodniej części, przepięknym regionie. Ludzie zamieszkujący to państwo są uprzejmi, ale pełni godności, nienachalni przy sprzedawaniu czegokolwiek i przy świadczeniu usług, co dodatnio ich wyróżnia na tle innych rejonów świata.

Informacja pozornie naprowadzająca: przeciętny mieszkaniec tego kraju wypija od czterech do sześciu filiżanek herbaty dziennie. Tym samym kraj ten plasuje się na drugim miejscu w globalnych rankingach spożycia herbaty per capita. Pierwsze miejsce zajmuje Turcja, a trzecie Wielka Brytania, nie chodzi więc o Zjednoczone Królestwo. Heinrich Böll zauważył, że przez każde gardło w tym kraju „przepływa ilość herbaty mogąca wypełnić cały basen". Herbatę pije się tam niemal zawsze z dodatkiem mleka oraz opcjonalnie cukru. Kulturowe znaczenie ma sformułowanie *put the kettle on*, nastaw czajnik – automatyczna reakcja na każdą sytuację życiową,

Klify Moheru.

eprasa.pl 11278a6272

począwszy od plotek ze znajomymi, poprzez radzenie sobie z wyzwaniami, po antidotum na deszczową i wietrzną pogodę. Po tym akapicie staje się już oczywiste, że chodzi o kraj, w którym zarówno herbatę, jak i kawę spożywa się z whisky, czyli po… irlandzku.

Skoro jesteśmy przy napojach, od razu przekazujemy informacje od rodowitego Irlandczyka na temat drugiego najpopularniejszego na szmaragdowej wyspie napoju. Irlandczycy twierdzą, i zapewne mają rację, że prawdziwy Guinness jest tylko w Irlandii. Kiedy barman nam go poda, należy cierpliwie poczekać, aż powoli od dołu uzyska krystaliczną czarną barwę. Następnie pijemy naraz jeden potężny łyk, do połowy napisu Guinness na szklance (ciekawe, komu to się uda od razu). Następnie piwo należy wypić w ciągu 20 minut.

Muzeum Nory Barnacle.

Wśród najbogatszych państw

A teraz kilka podróżniczych rekomendacji. W związku ze zmianami klimatycznymi Irlandia staje się coraz popularniejszym kierunkiem, jeśli chodzi o wypoczynek. Potrafi zaskoczyć i zachwycić słońcem, jak było w naszym przypadku. Wtedy trudno uwierzyć w jej deszczowy i wietrzny klimat. A skoro o wietrze mowa: okna w Irlandii otwierają się na zewnątrz, właśnie ze względu na wiejące tam cały rok wiatry.

Żeby nie było tak słodko, jeden duży mankament. Przynajmniej dla nas. Ruch lewostronny. Na szczęście można liczyć na komunikację autobusową. Lokalni kierowcy autobusów wyręczają takich jak my kontynentalnych nieudaczników i wiozą gdzie trzeba. No i jeszcze bardzo wąskie lokalne drogi. Trudno na nich się minąć, nie wjeżdżając w krzewy. Kto zatem wypożycza samochód, musi zadbać o wykupienie odpowiedniego ubezpieczenia.

Irlandzkie pejzaże zniewalają. Jednak to, co piękne w oczach turysty, stanowi problem dla rolników. Część zachodnia, Connacht, ma trudne warunki uprawy ze względu na kamienistą ziemię. Ziemia w tej prowincji pocięta jest kamiennymi murami (w ten sposób właściciele oddzielają swoje posiadłości), które stoją dziesiątki lat nienaruszone. Technika stawiania murów z kamieni przekazywana jest z ojca na syna i opiera się na doborze budulca pod względem ciężkości. Murki stoją bez uszczerbku mimo upływu czasu, silnych wiatrów, a nie spaja ich żadna zaprawa.

Stałym elementem irlandzkiego krajobrazu są owce. Z ich wełny wykonuje się przepiękne szale, peleryny, kapelusze czy kaszkiety. Uderza wysoka jakość tych produktów, wytwarzanych przez wiele rodzinnych firm, które były normą u zarania kapitalizmu. W każdym razie nie przypłynęły one na wyspę z Chin, co w dzisiejszym świecie jest ewenementem. Generalnie sklepy z pamiątkami oferują drobiazgi droższe niż w innych krajach, za to górujące jakością materiałów i wykonania.

Goszcząc na wyspie, zobaczyliśmy skąpane w słońcu (przez cały pobyt w Irlandii towarzyszyło nam „okno pogodowe") klify Moheru. Obecnie oddzielone murem po śmiertelnych wypadkach, do których dochodziło albo przez robienie selfie, albo z powodu poślizgnięć na błotnistej drodze. Dzięki temu można teraz podziwiać ich piękno bezpiecznie.

Irlandia dobrze się rozwija. Należy do najbogatszych państw świata – plasuje się na drugim miejscu w rankingach PKB na mieszkańca. Dane te są nieco zwodnicze, bo źródłami tego sukcesu gospodarczego są korporacje międzynarodowe. To obecni tam globalni giganci z branży technologicznej i farmaceutycznej napędzają statystyki ekonomiczne. Dlatego mówi się o Irlandii jako o „celtyckim tygrysie na statystycznych sterydach". Warto zatem, patrząc na te wyjątkowe wyniki gospodarcze, mieć świadomość, że tradycyjny wskaźnik PKB nie w pełni oddaje realny poziom bogactwa obywateli.

Wynika to po prostu z faktu, że duża część generowanych zysków należy do zagranicznych korporacji. Inną przyczyną sukcesu ekonomicznego Irlandii są niskie podatki, co oczywiście przyciąga zagraniczne inwestycje. Trzecim filarem gospodarczej hossy jest otwarty rynek. Irlandia ma silnie zglobalizowaną gospodarkę opartą na eksporcie.

Są jednak i ciemne strony, jeśli chodzi o kwestie ekonomiczne. Ziemia i nieruchomości są bardzo drogie. Młodzi ludzie, którzy wyjeżdżają na studia, po ich zakończeniu nie mogą sobie pozwolić na samodzielne wynajęcie lub kupno mieszkania. Wracają jako 26-latkowie do rodzinnych domów, nierzadko z własnymi partnerami. W związku z tym palącym problemem irlandzki rząd, w ramach ogłoszonego pod koniec 2024 r. i realizowanego od 2025 r. pakietu budżetowego, zdecydował się na przedłużenie flagowego programu wsparcia wkładu własnego Help to Buy oraz First Home Scheme. Złagodził także wymogi kredytowe Banku Centralnego oraz obniżył stawkę podatku VAT na nowe apartamenty. Zmiany te mają zażegnać dotkliwy kryzys mieszkaniowy i ułatwić osobom kupującym pierwszą nieruchomość (first-time buyers) wejście na rynek.

eprasa.pl 11278a6272

Przed podróżą uderzyła nas znikoma liczba przewodników po Irlandii. Brakuje również nowszych opracowań historii Irlandii, a współczesna literatura irlandzka jest tłumaczona na język polski od niedawna. Papierowe przewodniki są w dobie internetu mocno passé i świadczą o naszych oldskulowych przywiązaniach, jednak do tej pory nie było problemów z zakupem tego typu nowych przewodników po innych krajach. W przypadku Irlandii skazani byliśmy na przewodnik używany, z informacjami sprzed wielu lat. Na szczęście dynamika zmian nie jest tak duża, aby zdezaktualizować zasadnicze informacje.

Przewodnik kulturalny

Dzięki papierowemu przewodnikowi natknęliśmy się na perełkę muzealną. W Galway, największym ośrodku miejskim w regionie Connacht, znajduje się prywatne muzeum Nory Barnacle – partnerki, a po 27 latach także żony Jamesa Joyce'a. Dom Nory Barnacle jest czymś wyjątkowym. Po pierwsze, to zapewne najmniejsze muzeum, jakie kiedykolwiek zwiedzaliśmy – dwukondygnacyjny domek. Po drugie, nie da się przejść przez nie obojętnie, ponieważ jego zwiedzanie jest indywidualne, o Norze Barnacle opowiada zaś jej potomkini! Robi to w sposób pasjonujący. Nie sposób po tych opowieściach nie kupić i nie przeczytać „Dublińczyków" Joyce'a.

Uniwersytet w Galway.

Jednak największe wrażenie robi wydruk wydawniczy „Ulissesa" z odręcznymi notatkami autora, który nie pozostawił ani jednej linijki bez naniesienia swoich poprawek. Ten maczek skrupulatnej do bólu korekty dzieła obrazuje niezwykłą pracowitość Joyce'a. Musiał być też nie lada wyzwaniem dla jego wydawcy. Ale w tym, co piszemy, umyka sedno tych muzealnych odwiedzin – cień Joyce'a nieuchronnie pada na jego wybrankę Norę, która była pierwowzorem postaci Molly Bloom z „Ulissesa". A warto zwrócić uwagę na tę nietuzinkową postać. W katolickiej Irlandii, przed grubo ponad stu laty, potrafiła swoim życiem dać świadectwo ideom emancypacji, wyzwolenia obyczajowego, niezależności myślenia i odwagi działania. Wyprzedziła swoje czasy o dekady. Może to dziwne (a może wcale nie), że o takiej osobowości, bardzo istotnej dla ruchów emancypacyjnych, są w polskiej Wikipedii niecałe trzy linijki! W Polsce mamy również o niej zaledwie jedną książkę, amerykańskiej pisarki Brendy Maddox, zatytułowaną „Nora Joyce: Żywot prawdziwej Molly Bloom".

A jeśli chodzi o zwiedzanie muzeów, polecamy także nowoczesne Muzeum Miasta Galway, tuż obok historycznego Łuku Hiszpańskiego (Spanish Arch) nad brzegiem rzeki Corrib. Dla oszczędnych dodajemy, że wstęp do muzeum jest bezpłatny. Zbiory przybliżają dzieje regionu od czasów prehistorycznych po współczesność. Stała wystawa pokazuje też trudne momenty w historii Irlandii, których naprawdę nie brakuje.

Przygotowując się do podróży, jeśli tylko nawał pracy naukowej na to pozwala, staramy się zapoznać z literaturą na temat danego kraju. Do jednej z książek o Irlandii sięgnęliśmy ponownie po kilkunastu latach, pochopnie zakładając, że straciła wiele na aktualności. Jakież było zdziwienie, kiedy odkryliśmy, że „Dziennika irlandzkiego" Heinricha Bölla wcale nie nadgryzł ząb czasu. Przeciwnie, zyskał w naszych oczach, ponieważ w esencjonalny – typowy dla noblowskiego pióra – sposób opisuje zarówno Irlandczyków, jak i Irlandię. Te 18 miniaturowych opowiadań uchodzi za „najmniejsze arcydzieło świata". Sprzedano już ponad 1 mln egzemplarzy. W Polsce książkę Bölla wydano trzykrotnie, w dwóch tłumaczeniach. Da się ją więc łatwo zdobyć.

Drugą pozycją poświęconą Irlandii jest „Irlandia. Celtycki splot" napisana przez Ernesta Brylla wraz z żoną Małgorzatą Goraj-Bryll. To może być pomysł na wakacyjną lekturę. Opowiada o zakładaniu pierwszej polskiej ambasady w Irlandii. Przez jej karty przewijają się postacie z literatury, sztuki i dyplomacji.

Trzecią rekomendacją czytelniczą jest głośna, ważna i wciąż aktualna książka Marty Abramowicz „Irlandia wstaje z kolan". Nie jest to jednak pozycja na czas wakacyjnego relaksu. Fakty w niej zawarte są niezwykle przygnębiające, ale warto stawić im czoła, by dojść do końcowych rozdziałów, które stanowią ważną lekcję polityki. Również dla Polski. Książka przywraca wiarę w mądrość wyborców oraz napawa nadzieją na możliwość dokonywania zmian w przestrzeni społeczno-politycznej oraz prawnej. Porównanie roli Kościoła katolickiego w Irlandii i Polsce zasługuje na osobny artykuł. Polityki bardzo często uczymy się – jak wskazywał Adolf Bocheński – przez analogie. Dlatego warto zapoznać się z najnowszą historią polityczną Irlandii. Może się okazać pomocna w przewidywaniu losów naszego kraju.

Miłośnikom kina polecamy, zainspirowani przypisami w książce Abramowicz, filmy o Irlandii: „Śniadanie na Plutonie" Neila Jordana o Irlandii lat 70. czy „Taniec ulotnych marzeń" w reżyserii Pata O'Connora z Meryl Streep, o losach pięciu sióstr z irlandzkiej wsi lat 30., co koresponduje z treścią książki Abramowicz.

Piotr Kimla, Anna Citkowska-Kimla

FOT. PIOTR KIMLA, ANNA CITKOWSKA-KIMLA

eprasa.pl 11278a6272

Jak znikają europejskie rzeki

Dramatycznie niski stan wody powoduje ogromne straty w gospodarkach krajów, przez które przepływa Dunaj

Po chorwackiej stronie z Dunaju niespodziewanie wyłonił się wrak statku towarowego, który zatonął w 1937 r. To węgierski Fulton, który przewoził ładunek węgla.

Chrystian Ślusarczyk

„Królowa europejskich rzek", długa na prawie 3 tys. km, dla dziewięciu krajów i czterech stolic, przez które przepływa, ma ogromne znaczenie nie tylko gospodarcze, ale i symboliczno-patriotyczne. Większość z nas słyszała o słynnym walcu Johanna Straussa syna „Nad pięknym, modrym Dunajem". Bułgarzy śpiewają o rzece w hymnie narodowym. A rolnicy i sadownicy, których uprawy znajdują się w delcie i na Nizinie Węgierskiej, co roku wyczekują opadów, które podniosą poziom wody w rzece, zapewniając jesienią obfitsze plony.

Przez lata intensywne deszcze w Niemczech czy w Austrii były przyczyną powodzi w dolnym biegu Dunaju. Miejscowi wiedzieli jednak, że kiedy powodzie ustąpią, użyźnione gleby obrodzą w najlepsze w Europie owoce i warzywa. Tak było przez stulecia. Ale od kilku tygodni w miejscach, gdzie zazwyczaj nie brakowało opadów, czyli w południowo-zachodnich Niemczech bądź w rejonie przełomu Dunaju, panuje wyjątkowa susza, której towarzyszą rekordowe upały. Dunaju nie zasilają też – jak bywało w przeszłości – liczne jego dopływy. Sawa, prawy dopływ, rzeka o długości zbliżonej do Wisły, wypływa z Alp Julijskich, terenów, gdzie często pada. Przez dziesięciolecia podnosiła poziom wody dolnego Dunaju. W tym roku i w słoweńskich, i w innych częściach Alp opadów jest jak na lekarstwo. Cisa, lewy dopływ, również poziomu Dunaju nie podniesie. Powód – na ukraińskim Zakarpaciu, skąd wypływa, i na Węgrzech, w jej dolnym biegu, tego lata praktycznie nie padało.

Rekordowo niski stan wód na Dunaju jest przyczyną piętrzących się kłopotów, które dotyczą coraz szerszej grupy mieszkańców Europy Środkowej i Bałkanów. A prognozy nie pozostawiają złudzeń – skala problemów może jedynie się powiększać.

Słowacja

U naszych południowych sąsiadów Dunaj płynie na stosunkowo krótkim, 172-kilometrowym odcinku. Na Nizinie Naddunajskiej, która jest najcieplejszym i najsuchszym regionem Słowacji, tego lata w Kamenicy nad Hronem odnotowano temperaturę 41,4 st. C. Słowacki odcinek Dunaju jest krótki, ale rzeka przepływa przez Bratysławę, gdzie znajduje się port rzeczny. Od kilku tygodni jego prace są praktycznie sparaliżowane. Zbyt płytki nurt uniemożliwia normalny ruch statków towarowych oraz wycieczkowych, m.in. tych z Wiednia czy nowych połączeń do Belgradu. W okolicach Bratysławy zlokalizowana jest duża część ważnych

FOT. FB.COM/OPCINA LOVAS

eprasa.pl 11278a6272

dla Słowacji zakładów. Ograniczenia w poborze wody znacząco zmniejszają wydajność chociażby rafinerii Slovnaft w bratysławskiej dzielnicy Ružinov. Mieszkańcy i turyści od kilku tygodni odkrywają zaś na brzegach rzeki miny i pozostałości materiałów wybuchowych z czasów II wojny światowej.

Kilkadziesiąt kilometrów od Bratysławy znajduje się tama i elektrownia wodna Gabčíkovo (po sporach z Węgrami oddana do użytku dopiero w 1992 r.). Brak wody w Dunaju powoduje, że Gabčíkovo dostarcza Słowacji tylko 90 z możliwych 720 MW! Na szczęście słowackie elektrownie atomowe Jaslovské Bohunice i Mochovce położone są dość daleko od Dunaju i nie są uzależnione od poziomu jego wód.

Węgry

Bratankowie w kwestii energii elektrycznej są w znacznie gorszej sytuacji niż Słowacy. 20-tysięczne miasteczko Paks leżące w środkowych Węgrzech stało się tego lata „gwiazdą" światowych agencji prasowych i najważniejszych stacji telewizyjnych. Niezwykle trudna sytuacja tamtejszej elektrowni jądrowej spędza sen z powiek milionom Węgrów i stanowi ogromne wyzwanie dla nowego rządu Pétera Magyara.

Elektrownia dostarcza ponad 40% produkowanej w kraju energii elektrycznej. Na początku sierpnia, po raz pierwszy w 44-letniej historii obiektu, z powodu ekstremalnie niskiego stanu wody chłodzącej reaktory Węgry zostały zmuszone do całkowitego wstrzymania pracy w zakładzie. Dopiero 10 sierpnia, kiedy woda w Dunaju minimalnie się podniosła, możliwe było częściowe wznowienie pracy. Elektrownia jądrowa w Paks ma cztery bloki o łącznej mocy ok. 2 tys. MW. Rząd w Budapeszcie wezwał do dobrowolnej redukcji poboru energii zarówno odbiorców indywidualnych, jak i przemysłowych. Apel dotyczy szczególnie czasu największego jej zużycia, przypadającego między godz. 17 a 22.

Skutkiem braku wody w Dunaju będą znacznie wyższe ceny prądu. Według szacunków portalu Portfolio.hu na skutek letniego kryzysu energetycznego dzienny koszt importu energii elektrycznej dla Węgier wzrósł z ok. 1,7 mln do 11 mln euro.

Ekstremalnie niski poziom Dunaju w Budapeszcie sprawia, że mieszkańcy rzadko szukają w nim ochłody. Kąpanie się, a raczej… „leżakowanie" w Dunaju, zwłaszcza w stolicy, może być wyjątkowo niebezpieczne. I tu z wody wyłoniły się liczne niewybuchy z czasów II wojny światowej, co zmusiło saperów do zamknięcia mostów i nabrzeży. Cierpią nie tylko Budapeszteńczycy, ale i liczni latem turyści, bo niezwykle malownicze nabrzeża Budy i Pesztu należą do najpiękniejszych tego typu miejsc w Europie.

Władze stolicy dwoją się i troją, by zapewnić mieszkańcom ciągłość dostaw prądu. W tym celu rada miejska podjęła decyzję o zmniejszeniu prędkości metra i tramwajów – w ten sposób Budapeszt ma zaoszczędzić 15 MWh każdego dnia. Nastąpiły też zmiany zupełnie nieekologiczne: na niektórych liniach trolejbusów pojawiły się pojazdy zastępcze zasilane olejem napędowym.

Na początku sierpnia Węgry zostały zmuszone do całkowitego wstrzymania pracy elektrowni Paks z powodu ekstremalnie niskiego stanu wody chłodzącej reaktory.

Serbia i Chorwacja

Serbsko-chorwacki odcinek Dunaju ma ok. 137 km i stanowi naturalną granicę, w większości sporną. Ale fakt, że tereny te były obiektem sporów, mało kogo obecnie interesuje. Obie nacje żyją dziś tylko jednym – wysychaniem potężnego już na tym odcinku Dunaju.

Po stronie chorwackiej, koło Opatovaca, z płytkich wód rzeki niespodziewanie wynurzył się wrak statku towarowego, który zatonął w 1937 r. To węgierski Fulton, który przewoził do Nowego Sadu ładunek węgla, odpowiadający zawartości 50 wagonów kolejowych. Jego wydobycie będzie nie lada wyzwaniem, a Chorwaci być może będą musieli poprosić o pomoc serbskich sąsiadów.

W Serbii jednym z najpoważniejszych następstw obecnej sytuacji jest utrudnienie transportu towarów drogą wodną – zwłaszcza produktów naftowych. Rząd Serbii odnotował, że import paliw spadł w lipcu do 25% zaplanowanego na ten miesiąc wolumenu. W sierpniu 2026 r. import paliw do Serbii miał wynieść ok. 39 tys. ton oleju napędowego, z czego znaczna część miała trafić drogą rzeczną.

Serbski inżynier Miloš Zdravković, ekspert ds. energii, w wywiadzie dla portalu Fonet.rs powiedział, że w najbliższym czasie można się spodziewać poważnych problemów z systemem elektroenergetycznym i dostawami energii, co będzie się wiązało z ograniczeniami w dostawach prądu. „Mamy dużą niestabilność dostaw, z przerwami w niektórych wsiach, a nawet w częściach miast. Spodziewam się, że takich problemów będzie coraz więcej, zwłaszcza zimą", ostrzegł. I dodał, że sytuacja w serbskiej elektroenergetyce jest wynikiem niewystarczających inwestycji i nieprzemyślanych decyzji.

Jak informuje Instytut Europy Środkowej, niski poziom Dunaju najmocniej wpłynął na rynek paliw w Serbii, gdzie od lat w Pančevie działa rafineria firmy NIS (spółki kontrolowanej przez rosyjskie podmioty). Zakład ma kluczowe znaczenie dla krajowego rynku paliw, szczególnie po ograniczeniu importu rzecznego.

Bułgaria

Bułgarski odcinek rzeki ma ok. 470 km i stanowi naturalną granicę z Rumunią. W bułgarskich podręcznikach przeczytamy, że „Dunaj jest jedyną żeglowną drogą wodną kraju, jego szerokość wynosi zazwyczaj od 750 do 2,4 tys. m, a głębokość sięga miejscami 30 m". Jednak informacje podawane w tamtejszych szkołach straciły tego lata aktualność.

Wyjątkowo niski poziom wody odsłonił fragmenty fundamentów starożytnego mostu Konstantyna z IV w. –

eprasa.pl 11278a6272

poinformowała Agencja Reutera. Bułgarscy archeolodzy określają te pozostałości jako jedno z najbardziej imponujących osiągnięć inżynieryjnych Cesarstwa Rzymskiego.

„Dla archeologów takie chwile są niezwykle cenne, ponieważ natura na krótko odsłania obiekt ukryty przez większość czasu pod wodami Dunaju – powiedział Paweł Popow z regionalnego Muzeum Historycznego w Plewnie. – Daje nam to rzadką okazję do obserwacji, udokumentowania i zbadania go w jego rzeczywistym środowisku".

Rumunia

Rumuński odcinek to 1075 km, czyli stanowi on jedną trzecią całej długości Dunaju. Rzeka wyznacza znaczną część granicy Rumunii z sąsiadami: Serbią, Bułgarią, a na krótkim odcinku także z Mołdawią i Ukrainą. Nizinne tereny po rumuńskiej stronie przez lata zasilały opady deszczu w górnym biegu Dunaju. Rumuńskie lato nad Dunajem jest bowiem bardzo gorące, a w tym roku dodatkowo ekstremalnie suche. Jednak opadów nie ma ani w górnym biegu, ani tym bardziej w Rumunii.

Ograniczenia w poborze wody znacząco zmniejszają wydajność rafinerii Slovnaft w bratysławskiej dzielnicy Ružinov.

Tamtejsze media informują o problemach jednej z największych elektrowni wodnych w Europie, Żelaznej Bramy (Porțile de Fier). W lipcu i sierpniu produkcja energii elektrycznej w tym kompleksie hydroenergetycznym i żeglugowym spadła o 42% w porównaniu z analogicznymi okresami w latach ubiegłych. Współrządzona przez Rumunię i Serbię elektrownia ledwie dyszy – każda ze stron dysponuje tam mocą rzędu 1-1,4 tys. MW, lecz obecne przepływy pozwalają na generowanie zaledwie 20-25% tych wartości.

Równie dramatyczna sytuacja panuje w jedynej rumuńskiej elektrowni jądrowej Cernavodă na wschodzie kraju. Odpowiada ona za ok. 20% zapotrzebowania Rumunii na energię. W związku z wyłączeniem jednego z dwóch reaktorów w sierpniu ogłoszony został stan wyjątkowy w sektorze energetycznym. Niskie stany Dunaju wpływają na poziom wody w strefie ssącej pomp chłodzących elektrownię. Władze od kilku tygodni prowadzą przyśpieszone prace w celu pogłębienia koryta rzeki. Mają być kontynuowane nawet wówczas, gdy nie uda się już zapobiec zamknięciu elektrowni.

Na początku sierpnia świat obiegły filmy i zdjęcia pokazujące działania armii rumuńskiej, która przeprowadziła kontrolowane detonacje na Dunaju, aby zwiększyć przepływ wody i stworzyć ewentualnie nowe koryto.

Rumunom brakuje wody nie tylko dla energetyki. Coraz bardziej niepokojące są doniesienia, że w połowie sierpnia w aż 200 rumuńskich miejscowościach zabrakło wody pitnej.

Chrystian Ślusarczyk

eprasa.pl 11278a6272

PANI OD ZUPY

Polka, której nie zapomniała Canberra

7 sierpnia 2026 r. w Canberze odsłonięto rzeźbę Stanisławy Dąbrowskiej.

Tomasz Skowronek

Przez niemal cztery dekady w każdy piątkowy wieczór pojawiała się w centrum Canberry z wielkimi garnkami gorącej zupy. Czekały na nią setki osób. Dziś w miejscu, gdzie gotowała i rozdawała posiłki, stoi jej pomnik. Historia Stanisławy „Stasi" Dąbrowskiej to opowieść o tym, że czasem wielkie rzeczy zaczynają się od małego gestu – podania komuś talerza z ciepłym jedzeniem.

Nie miała wielkiej organizacji, sztabu pracowników ani rozbudowanej kampanii. Miała za to garnki, warzywa i przekonanie, że człowiek, który jest głodny, powinien dostać coś do jedzenia. Stanisława Dąbrowska, Polka, która po II wojnie światowej wyemigrowała do Australii, znalazła swój dom w Canberze. Zaczynała od pracy i wolontariatu w Czerwonym Krzyżu. Z czasem jej pomoc potrzebującym stała się czymś znacznie większym. Co tydzień pani Stasia przygotowywała posiłki dla osób ubogich, bezdomnych, bezrobotnych, tych, których życie prowadziło trudną ścieżką. Z biegiem lat mieszkańcy Canberry zaczęli ją nazywać Soup Kitchen Lady – Panią od zupy. Trudno o trafniejsze określenie.

Skala przedsięwzięcia może robić wrażenie: pani Stasia obierała ok. 180 kg warzyw i przygotowywała nawet 100 litrów zupy tygodniowo. Niekiedy z jej pomocy korzystało 300-500 osób jednego dnia. Produkty otrzymywała także od lokalnych firm. Ale tym, którzy ustawiali się do niej w piątkowy wieczór, nie chodziło wyłącznie o jedzenie. Pani Stasia potrafiła zatrzymać się przy człowieku, porozmawiać, wysłuchać, a czasem po prostu przytulić. Jej kuchnia była więc czymś więcej niż jadłodajnią. Dla wielu stanowiła miejsce, gdzie ktoś jeszcze o nich pamiętał.

Przez lata pomagała bez wielkich słów i bez potrzeby znajdowania się w centrum uwagi. Z czasem jednak jej działalność stała się tak znana, że zainteresowały się nią australijskie media i władze. W 1996 r. Stanisława Dąbrowska została Obywatelką Roku Canberry. Otrzymała również Medal Orderu Australii i Medal Stulecia. Jej historia pojawiała się w programach telewizyjnych, a mieszkańcy stolicy zaczęli traktować panią Stasię jak jedną z najbardziej charakterystycznych postaci swojej społeczności.

Z działalnością charytatywną rozstała się dopiero w 2018 r., w wieku 92 lat. Dwa lata później zmarła. Ale pamięć o Pani od zupy nie zniknęła. Przeciwnie, mieszkańcy Canberry postanowili uhonorować ją w miejscu, gdzie przez dziesięciolecia ustawiała kuchnię. 7 sierpnia 2026 r. na placu Garema odsłonięto naturalnej wielkości rzeźbę Stanisławy Dąbrowskiej autorstwa artystki Louise Skačej. Teraz przechodnie mogą się zatrzymać przy pomniku i wspomnieć kobietę, która dla wielu mieszkańców Canberry była znacznie ważniejsza, niż mogłoby sugerować określenie „Pani od zupy".

Historia Stanisławy Dąbrowskiej zaczęła się w Polsce, ale najobszerniejszy jej rozdział powstał tysiące kilometrów od ojczyzny. Sama pani Stasia nie stawiała pomników ani nie pisała wielkich deklaracji. Po prostu robiła coś, co wydawało jej się potrzebne – gotowała dla ludzi, którzy mieli mniej szczęścia od niej. Dziś jej pomnik stoi w centrum australijskiej stolicy. Można powiedzieć, że Canberra w ten sposób oddała to, co Polka sama przez lata dawała innym: miejsce przy wspólnym stole. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 11278a6272

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Strachy na Lachy

Odszczepieńcy Plus przedstawili swoje założenia polityki migracyjnej. Czytam: „Postulują powstanie ministerstwa ds. migracji i asymilacji, utworzenie służby deportacyjnej, bezwarunkową asymilację (…), padł także pomysł przeprowadzenia referendum dotyczącego zawieszenia czasowego udziału Polski w strefie Schengen. Według Rozwoju Plus krok w tę stronę zwiększy poczucie bezpieczeństwa wśród Polaków".

No i proszę, nadzieje, że Morawiecki będzie bardziej liberalny od zdradzonej partii matki, okazały się naiwne. Trwa walka o radykalny elektorat. Liczą na polskie fobie i lęki. Ta służba deportacyjna ma być w mundurkach, jak w Stanach, ale tam miliony imigrantów, a u nas garstka. A niech będzie i garstka. Nie zaszkodzi postraszyć Polaków. Naszej prawicy marzy się zawieszenie udziału w Schengen, jakby polskie granice były szturmowane przez obcych. Najlepiej przywrócić granice z drutem kolczastym i ze strażnikami. Prawicowcy przekonują, że Polacy „poczują się wtedy bezpieczniej". To metoda totalistów, postraszyć, postraszyć, a jak ludzie naprawdę zaczną się bać, to ich zamknąć dla ich bezpieczeństwa. I kontrolować.

Wzruszył mnie pomysł przymusowej asymilacji. Czyli powstaną ośrodki „bezwarunkowej asymilacji", gdzie będzie się uczyć imigrantów „Boże, coś Polskę", „Kto ty jesteś? Polak mały" i „Zdrowaś Mario"? A jak się szybko nie nauczysz, to wynocha. A gdzie w tym jest myśl o tych, którzy uciekają przed prześladowaniami i naprawdę potrzebują nowego domu? W myśleniu prawicy o uchodźcach w ogóle nie ma czynnika moralnego.

•

Szef PIW Łukasz Michalski zablokował mi w wydawnictwie druk tomu wierszy „Ślad ślimaka", gdyż, jak twierdzi, nawoływałem w „Przeglądzie" do mordu (moje wyjaśnienie w nr. 26/2026). A teraz postanowił ciągać mnie po sądach. A niech ciąga, zawsze to jakiś temat. Napisałem, że zakazał druku mojej książki z powodów politycznych, a on twierdzi, że z powodów moralnych. Ma w środowisku literackim opinię pisowca, uważa, że to krzywdzące. On jest tylko moralistą. Całe PiS i Konfederacja łącznie z Braunem to też moralna elita Polski. Właściwie powinienem mieć proces po każdym swoim felietonie w „Przeglądzie". Gdyby sklonować Michalskiego, tak by było.

Rzucam okiem na dwa ostatnie moje felietony, pierwsze z brzegu zdania napawają mnie grozą: „Nie uważam PiS ani Romanowskiego za agenturę Kremla, to tylko rodzimy endekoidalny idiotyzm". Proces! Tydzień wcześniej: „Tobiasz Bocheński, czołowy maślarz PiS, wygląda po europejsku, ale duszę ma azjatycką". Proces! Nazbierałoby mi się tych procesów co niemiara. Wymiar sprawiedliwości by się zadławił.

A media zapewne bliskie Michalskiemu, choćby TV Republika, „Gazeta Polska" – tam nie ma nienawiści, mrocznych emocji, kłamstw i szczucia, które prędzej czy później skończy się przemocą. Proces! Ciekawe, bo wygląda na to, że Michalski czyta pilnie „Przegląd". Wyobrażam sobie, jak on się z tym męczy. A może czyta tylko moje felietony? W końcu czytali je kiedyś, i to namiętnie, choćby Mrożek, Szymborska i Lem. Miłosz narzekał, że jestem czarnowidz, ale wiernie czytał. Pod koniec życia powiedział mi po spotkaniach z polskim ludem na Śląsku: „Smecz może mieć jednak rację" (miałem taki tenisowy pseudonim). Miło mieć obecnie na dokładkę takiego fana jak Michalski.

W myśleniu prawicy o uchodźcach w ogóle nie ma czynnika moralnego.

Cała ta sprawa „mordu", do którego miałem nawoływać, uruchomiła lawinę hejtu na mnie w ich mediach. Tak słyszałem, przecież na ogół ich nie czytam i nie oglądam, można się tym zatruć, jak niebacznie przejrzałem „Gazetę Polską" w nyskiej bibliotece, tej przy fontannach, od razu wynikło z tego nieszczęście. Opluwanie mnie odbywało się więc na innej planecie. Nie mamy już ze sobą żadnego kontaktu i go nie chcemy. Od tego do przemocy niedaleko. Zawziąłem się na Michalskiego, bo potraktował mnie jak małego, niegrzecznego chłopca, który nabroił i trzeba go postawić do kąta. Ta sprawa to w sumie głupstwo, maleńki przypis do naszej zimnej wojny domowej.

•

Kierowca z telewizji, który wiezie mnie na program, poczciwy. Ale gdy chodzi o sprawy polityczno-społeczne, sieczka w głowie, nikomu nie ufa. Przyznaje, że Polska niezwykle się rozwinęła, ale to wszystko musi się źle skończyć. Polski katastrofizm. Im więcej w kraju dobrych rzeczy, tym większy lęk, że coś złego za tym się kryje. Tacy ludzie są liczni, szukają potwierdzenia swojej mrocznej wizji i stanowią łatwy żer dla populistycznych polityków. Ale PiS jakoś ostatnio nie woła, że „Polska w ruinie", nie wiem, co się stało.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 11278a6272

BAZYLIKA – zbudowana z cudzej wiary i cudzych pieniędzy – stoi jak betonowy dowód na to, że w Kościele skandal niszczy ludzi, ale rzadko niszczy instytucję.

HANDLARZE CUDÓW

Bazyliki, święte obrazy to miejsca, przy których doskonale się zarabia

Artur Nowak

Człowiek z ochrony dużego sanktuarium zatruwa mnie wręcz swoimi lękami. Ucieka się nawet do stwierdzenia, że oni są gotowi zabić. „Niech pan zadba o moje bezpieczeństwo", powtarza setki razy. Chce pozostać anonimowy i mam zatrzeć wszelkie ślady. Dzwoni, pisze esemesy, odzywa się przez aplikację, a potem sam usuwa wiadomości, jakby sprzątał po sobie na bieżąco. „To jest mafia", mówi.

I nie brzmi jak ktoś, kto chce zrobić wrażenie. Raczej jak ktoś, kto próbuje przeżyć. Opowiada mi o cudach rzekomo dziejących się pod jednym z cudownych obrazów. „O ściemie" – powtarza jak mantrę – „bo wszystko tu jest naciągane". Kiedy proszę o szczegóły, opisuje mechanikę: zakonnicy przyjmują wszystko na słowo, jakieś pojedyncze lepsze wyniki, lepszy dzień chorego, ulgę po lekach – i lepią z tego opowieść o uzdrowieniu, którego nie da się wyjaśnić inaczej niż Bogiem. Podkręcają narrację, bo narracja jest paliwem – bez niej nie ma ruchu, nie ma tłumów, nie ma pieniędzy. A najciekawsze – mówi – nie są cuda. Najciekawsze jest, jak oni tu żyją, bo to jest prawdziwy cud. „Oni jedzą jak świnie", rzuca bez wahania i zaczyna snuć obrazy z refektarza: dokładki, talerze jak na weselu.

Mówi też o braku manier, o pogardliwym tonie, o tej specyficznej pewności siebie ludzi, którzy wiedzą, że są u siebie. Nawet śmiać się nie potrafią, tylko rechoczą jak żaby. „Jak w chlewie, proszę pana, jak w chlewie". I nagle pojawia się wątek pieniędzy: „Był taki miesiąc, że przełożony kazał nam pilnować ludzi, którzy zbierają tacę i otwierają puszki. Bo było więcej zaufania do nas niż do braci zakonnych", zauważa bez satysfakcji (…). „Te sprawy są ukrywane", dodaje. „Nikt z tym nie idzie na policję. Bo gdyby ludzie się dowiedzieli, co się dzieje z pieniędzmi, które tu zostawiają, nikt by tego miejsca nie odwiedzał".

I znów wraca do tego, co w tej opowieści najważniejsze: do strachu, do trzymania wszystkich w ryzach milczenia, do systemu, który działa tylko wtedy, gdy nikt nie zadaje pytań na głos. Mówi, że są bezkarni. Że były międzynarodowe inspekcje,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 11278a6272

narady, rozważania, co robić. Że odprawiali dni skupienia, rekolekcje, aż w końcu – jak w złym teatrze – doszli do wniosku, że nawiedził ich diabeł. „Pościli tydzień, nawet dwa", opowiada. „I co?", pytam. „Przez tydzień było dobrze. A potem wszystko wróciło do normy. No bo niby kto ma sprawdzić, że to jeden wielki kant? Policja? Oni się w takie sprawy nie mieszają, bo to są, proszę pana, sprawy religijne".

I dopiero teraz zaczyna opowiadać o konkretach. O zakonniku, którego trzeba było wykupić z burdelu, bo nie popłacił rachunków. Taksówkarzu, który woził jednego z tych świątobliwych braci przez tydzień po Polsce. Owszem, jak zakonnik ruszył w trasę, miał na zabawę nawet dla dwóch. No, ale zabrakło, żeby zapłacić za taksówkę. Wyszła z tego całkiem niezła sumka. Ojczulek już nie pamiętał, gdzie go powieźli. A nawet jak pamiętał, to co miał powiedzieć? Że taka jedna z drugą pomiziała go po kolanach i zwariował? Że w ruch poszła karta zakonna, bo za mizianie trzeba zapłacić, postawić trochę drinków po sto złotych każdy. Zresztą pewnych sytuacji nie pamiętał… Bo już jak mu podsypali do drinka, to ma prawo nie widzieć, że oblukali mu dokumenty, że dał im PIN do telefonu i już wiedzieli, że trafił im się naprawdę rzadki jeleń: zakonnik, i to wyjątkowo nie pedał.

Sprawdzam mojego informatora i wszystko się zgadza. Pracował trochę w służbach mundurowych, a potem już przygarnął go Kościół. Pomógł mu w jakichś papierach z wcześniejszą emeryturą. Może jako młody człowiek nawet wierzył, no, ale już nie wierzy. A ja się nie dziwię, jak opowiada mi o obrączkach ślubnych oddawanych w zastaw. O złocie zdejmowanym z palców ludzi, którzy przychodzą prosić o cud, oddając to, co najdroższe. Słyszę o nocnych wiadomościach z Grindra, o spotkaniach umawianych w pośpiechu, o numerach telefonów krążących wśród braci jak waluta. „Oni są jak psy spuszczone ze smyczy", mówi. „Jak już pójdą w długą, są nie do zatrzymania". Wiedzą, że ktoś za nich posprząta największy brud. (…)

•

Bazyliki, święte obrazy to miejsca, przy których doskonale się zarabia. Licheń był marzeniem. Najpierw skromnym – o sanktuarium maryjnym na prowincji – potem coraz bardziej monumentalnym, aż wreszcie przerodził się w religijny kolos: jedną z największych bazylik w Europie, z kopułą widoczną z wielu kilometrów, z dzwonem ważącym kilkadziesiąt ton, z marmurami, złoceniami i rozmachem imperialnego państwa, a nie zakonnej wspólnoty. Twarzą tego przedsięwzięcia był jeden człowiek: ks. Eugeniusz Makulski, marianin, kustosz sanktuarium, nieformalny władca Lichenia. Ten potrafił zbierać pieniądze jak nikt. Jak kupował organy, to miały być największe i najdroższe. Nieważne, że nie pasowały do akustyki budynku. To samo było z dzwonami, bazylika też miała być jak najbardziej pojemna. Niech bieda widzi, jak Kościół buduje na chwałę swojego Boga.

A pieniądze płynęły szerokim strumieniem: datki z tacy, koperty od pielgrzymów, ofiary na cegiełkę, pieniądze przesyłane pocztą z całej Polski i z zagranicy. Dziesiątki milionów złotych – bez przejrzystych sprawozdań, bez realnej kontroli zewnętrznej. W rozmowach duchownych, którzy byli wówczas blisko sanktuarium, Licheń funkcjonował jako finansowa czarna skrzynka: kasa, która się zgadza, bo zawsze jest pełna.

Rozmawiałem z człowiekiem, który kiedyś znalazł gdzieś w podziemiach kościoła jakiś stary worek z banknotami nadgryzionymi przez szczury. Chłopiec jednego z partnerów Makulskiego opowiadał o rodzinie księdza, która odpowiadała za liczenie pieniędzy. Pięknie się pobudowała. Nie tylko ona. Makulski potrafił monetyzować pobożność w sposób mistrzowski. Wysyłał listy do darczyńców, zapraszał ich imiennie na uroczystości – choćby na chrzciny dzwonu zakupionego z ofiar. Ludzie przyjeżdżali masowo z kopertami w dłoniach. „Każdy z nich, proszę pana, wierzył, że jest chrzestnym", zaśmiewa się jeden z miejscowych. (…)

Ponieważ Makulski był kurą znoszącą złote jaja, był nie do ruszenia. Jeździł luksusowymi samochodami, finansował drogie prezenty dla swoich zaufanych ludzi. Jeden z byłych współpracowników – później jeden z kluczowych świadków – opowiadał, że z pieniędzy kościelnych kupiono mu dom i samochód, Chevroleta wartego ponad 40 tys. zł. Auto było prezentem, choć oficjalnie miało służyć kierowcy. Ten człowiek ustawił się do końca życia dzięki Licheniowi. Zresztą nie tylko on. Choć z wiarą miał tyle wspólnego, że znał Makulskiego.

W pewnym momencie jeden z kochanków, któremu Makulski postawił dom z ofiar wiernych, nakupował różnych drogich cacek, otworzył świetnie funkcjonującą firmę i zażądał od Makulskiego jakiejś niewyobrażalnej kasy. Stary by dał – opowiada mi jeden ze świadków – no, ale go zatrzymali, że na tej jednej wpłacie się nie skończy.

„Niech pan zadba o moje bezpieczeństwo. To jest mafia", mówi człowiek z ochrony dużego sanktuarium.

Prawdziwe trzęsienie ziemi przyszło dopiero po emisji „Tylko nie mów nikomu". Wtedy wyszło na jaw to, co przez lata było zamiatane pod dywan: Makulski wykorzystywał seksualnie nieletnich. Jeden z jego dawnych podopiecznych już jako ksiądz opowiedział publicznie o tej relacji, przemocy i uzależnieniu. Nagle okazało się, że za marmurem, złotem i maryjną fasadą kryje się nie tylko chciwość, ale i zbrodnia.

Pomnik Makulskiego przed bazyliką w Licheniu zniknął nocą. Po cichu. Bez ceremonii. Jakby nigdy go tam nie było. Sam ksiądz został odsunięty, objęty zakazem kontaktów z mediami. Zmarł kilka lat później. Licheń jednak trwa. Pielgrzymi nadal przyjeżdżają, taca krąży. Sklepy z dewocjonaliami są otwarte. Ludzie modlą się o cud. A bazylika – zbudowana z cudzej wiary i cudzych

eprasa.pl 11278a6272

pieniędzy – stoi jak betonowy dowód na to, że w Kościele skandal niszczy ludzi, ale rzadko niszczy instytucję. Ludzie ewangelii nie czytają, więc pewnie myślą, że może o to Bogu chodzi. Że trzeba mu wybudować jakiś pałac, jak się działo przez wieki, zafundować elewacje w marmurach, machnąć na nich jakieś święte gołębie i dziewice, do tego witraż, kącik dla księdza ze złota, gdzie z chleba czaruje Jezusa, i niebieski ojciec ma z tego radochę i robi cuda. Może gdyby Makulski zachował umiar w wydatkach, nie obnosił się przed kochankami z bogactwem, ten karnawał by trwał?

•

(…) Na świętości wciąż się doskonale zarabia. Jeden z moich rozmówców, który otworzył mi drzwi do byłych zakonników, do pokrzywdzonych friendów, do kochanek współbraci, miał archiwum. Imponujące, które nie służy sentymentowi, tylko zabezpieczeniu. Papier, screeny, notatki, nazwiska, daty. Teczki, które również w Kościele są walutą. To dzięki nim odszedł z zakonu na… bardzo dobrych warunkach. Jakich? Nie mówi. Nie musi. Domyślam się tylko jednego: że raczej do końca życia będzie spał spokojnie. Spotkaliśmy się kiedyś niemal przypadkowo na kawie, a on ni stąd, ni zowąd opowiada mi historię pewnego zakonnika, która nawet na mnie, człowieku, który o Kościele słyszał już niejedno, zrobiła wrażenie.

– Był… – zacina się mój rozmówca, jakby szukał właściwego słowa. – Był prekursorem.

I tu się, mój kolego, mylisz – stwierdzam później – bo takich Midasów w sutannie, co potrafili wszystko, czego dotknęli, zamienić w złoto, było przed nim wielu. (…) Zaprawdę powiadam wam: liczy się pomysł. Szczególnie taki, który chwyta za serce. Wyjątkowy. Specjalny. Nie dla Kościoła w ogóle, nie dla diecezji, nie dla zakonu – dla tej jednej parafii. Dla was. Pomysł trzeba jeszcze tylko odpowiednio ubrać: w pompatyczny język, w liturgiczną powagę, w emocjonalną narrację. W grę psychologiczną, która zawsze zaczyna się tak samo – od zdania: „Jesteście dla mnie ważni". Kluczowe bowiem jest to, by inicjatywa nigdy nie była sprzedawana jako zbiórka. Powinna rodzić w wiernych poczucie łaski. Stanowić dowód miłości proboszcza do ludzi. Ale po kolei. (…)

Przed wizytą relikwii robiono trzydniowe rekolekcje. Zawsze specjalne, zawsze wyjątkowe.

„Przemodliłem przed Najświętszym Sakramentem", ogłosił więc prekursor. „Przemodliłem w ciszy. Przemodliłem w nocy". Przemodlił tak, żeby wierni zrozumieli, że decyzja o tej nowej praktyce pobożnej nie zapadła na kolejnych wakacjach z chłopcami, z którymi się woził, tylko w trakcie audiencji u samego Boga. Wtedy można było już oznajmić, że ludzie tu zostali wybrani, zawołani przez Boga. No a jak Bóg woła, to trzeba na to zawołanie odpowiedzieć. Dla tej konkretnej wspólnoty sprowadzi się coś wyjątkowego: figurę Michała Archanioła z Gargano, prosto z Włoch. Nie byle jaką – z kamienia, „z miejsca objawień", z materii, która ma w sobie ślad cudu.

Ludzie chcieli wspierać. I to w tej historii jest jednocześnie najgorsze i najtrudniejsze do zrozumienia: do niczego nikogo nie trzeba było zmuszać. Wystarczyło podać powód zbiórki – najlepiej święty, najlepiej wyjątkowy, najlepiej dla nich. Więc ładują. Ponad 40 tys. zł na poczet wydatków na spotkanie z boską opatrznością. Ale te 40 tys. to dopiero grunt. Fundament. Potem zarobi się na figurze o wiele więcej. (…)

Proboszczowi pomagał ksiądz Marek. Taki od wszystkiego: od logistyki, od ogarniania, od skrzynki, od pieniędzy. Od brudnej roboty i czystego zysku. Niedawno Marka zabrali z plebanii – słyszę, że była jakaś sprawa z 12-latką. Zanim jednak go capnęli, zdążył zdradzić mojemu rozmówcy, co się działo: jak rosły wpływy, jak płynęły banknoty, jak łatwo to szło. Nie mógł wyjść z podziwu. Może dlatego, że sam w tym uczestniczył, a może dlatego, że kradł razem z prekursorem.

Ale potem coś między nimi zaiskrzyło – weszły ambicje, urażone ego, zwykła parafialna rywalizacja o władzę nad kasą. I wtedy Marek zaczął sypać. Tyle że zdrada w tym układzie nie wiąże się z poczuciem moralności. Zdradza się nie dlatego, że ktoś postępuje źle, tylko dlatego, że przestał się dzielić tak, jak powinien.

Gdy skrzynka na zakup Michałka z Gargano była już pełna, proboszcz pojechał do Krakowa na kilka dni. Lubił Kraków. Podobno pochodził z tamtych okolic. Miasto aktorów i artystów – no i on, wirtuoz budowania wzniosłych emocji. – Mój informator się śmieje. Aktor nad aktory. Kraków był dla niego sceną, na której mógł grać rolę człowieka natchnionego: wrażliwego duszpasterza, który sprowadza, przywozi, organizuje dla was. Miał tam tuzin chłopaków. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Obkupił się trochę, skromnie zabawił. A reszta? Spokojnie. Starczyło na wszystko. I na chłopców, i na Michała. W Krakowie kupił figurę. Nie w Gargano, nie w sanktuarium, nie „z kamienia objawień", tylko u jakichś sióstr pod miastem. Cena: 4,5 tys., może 5. Do tego wsparcie zakonu, darowizna, uśmiech, podziękowanie. (…) Na jednej rzeźbie z Krakowa nasz bohater zarobił więcej niż na tuzinie tych z Gargano. Różnica – sporych rozmiarów – poszła na kurewstwo, zanim zaczęły się pierwsze cuda.

Na tym polega ten trik: wydajesz pieniądze nie na księdza, nie na parafię, tylko na świętość.

Bo teraz zaczyna się ta niesamowita historia o uzdrowieniach. O ludziach, którzy poczuli ulgę w życiu, którym przeszły jakieś bóle. Cud wystarczy zamiast dokumentów i faktur – szeptane historie, że bolało, a nie

eprasa.pl 11278a6272

boli, że się na sercu zrobiło ciepło. No i szczęście w miłości przyszło, dzieci grzeczniejsze. A kto za tym stoi? No oczywiście nasz święty kamień od sióstr.

Nie miał na tego Michała żadnego certyfikatu. Ale to nie problem. To zwykły anioł, aniołek. Co innego relikwie Jana Pawła II, które krążyły po rynku kościelnym. Jak kard. Dziwisz je sprzedawał, to było porządnie. Zadbał o porządek i wszystko miało numerki, certyfikaty, pieczątki – a i tak mówiło się o wałkach. Z archaniołem nie trzeba się w to bawić. Jest czysta wiara: wiara w przedmiot i wiara w człowieka, który ten przedmiot przynosi. Oczywiście wszystko musiało być z pompą: najpierw cyrk na kółkach, czyli tak zwane wprowadzenie, potem specjalna msza, wyjątkowa, choć nikt nie umie sensownie powiedzieć, czym taka msza różni się od zwykłej (przede wszystkim chodzi o inscenizację: podniosły ton, najlepiej opatrzony opowieścią z dużą dawką emocji, które mają unieść ludzi ponad codzienność i sprawić, by poczuli, że uczestniczą w akcie jednorazowym, historycznym, świętym.

Umiłowani w Chrystusie Panu, zaraz zaszczyci nas obecnością sam Michał Archanioł, a na końcu figura dostała scenę. Zrobiono postument jak ołtarzyk w środku ołtarza, mały tron dla świętego przedmiotu, a poniżej, gdzie wzrok schodzi naturalnie, bo wstydzi się patrzeć świętości w oczy, stanęła skarbona. Nie dyskretna puszka, tylko skrzynka okazałych rozmiarów, z tych, które nie udają, że są na symboliczną ofiarę. Do tej skrzynki wrzucało się intencje i prośby o uzdrowienie. (…) Potem ludzie opowiadali mojemu rozmówcy, że co drugi, trzeci dzień trzeba było skrzynkę opróżniać, bo tyle było pieniędzy. Tak działało uzdrowienie w praktyce: nie jako cud, tylko jako przepływ. A on – ten złodziej ksiądz – już bez żadnego kamuflażu robił ten numer w każdej parafii. (…)

Kiedy indziej wracali z księdzem Markiem z Fatimy albo z jakiegoś sanktuarium – w tych opowieściach miejsca zlewają się w jedno, bo zawsze chodzi tylko o to, by przywieźć święty rekwizyt – i znów to, co najważniejsze, wielka improwizacja. Ksiądz opowiada: Sam byłem grzesznikiem, grzeszyłem w sutannie, tak, moi drodzy, jestem zwykły tak jak wy. Ale Jezus mnie dotknął. A było to tak: modlił się przed Maryją i zrozumiał, że musi zrobić coś wyjątkowego dla tej parafii. Ale co może jej dać on, słaby i grzeszny? No i ludziska w płacz, spontaniczne brawa, a naszemu amatorowi tajskich chłopców zakręciła się łezka w oku.

Tym razem wyjątkowy był różaniec. Złoty, z kamieniami. Na tym różańcu, co sam nasz grzesznik poczciwy zaświadcza, doznał nawrócenia. Różaniec jak się patrzy, na zamówienie robiony, specjalnie dla nich. Z bursztynu, z jakichś „kamieni", z domieszką legendy, która miała brzmieć jak dowód autentyczności. Realna cena takiego przedmiotu nie miała znaczenia – 500, 600 zł., może więcej – bo liczyło się nie tylko to, ile można było na nim zbudować. No i znów składka. Żeby go dobrze sprzedać, wymyślił cwaniak peregrynacje. Różaniec miał chodzić po domach jak świętość w odwiedzinach. Michał nie był do tego zbyt praktyczny, bo za duży. Poza tym ktoś mógłby się kapnąć, że nie z Gargano, ale z Krakowa. Różaniec zaś może iść. (…)

Ludzie mieli łzy w oczach. Jaki wspaniałomyślny proboszcz, jaki troskliwy, jaki oddany. Swój, szczery. A że plotki są, że z chłopakami lubi, taki już krzyż jego. I różaniec wracał z kopertami. (…)

W tej historii ofiary nie są dodatkiem. Są naturalnym finałem. Pieniądz, kiedy raz dostanie język świętości, wraca do Kościoła bez oporu, bo wraca jako gest wdzięczności, a nie jako zapłata. Proboszcz podgrzewał emocje, resztę robiła wspólnota: rodziła wzruszenie, pragnienie przynależności, poczucie, że tak trzeba. (…)

Inny ksiądz z dość znanego zakonu potwierdza, że na relikwiach robi się biznes:

– A wie pan, jeździły po zachodniopomorskim relikwie Świętego Krzyża i obraz Matki Bożej.

I to już jest sieć. Objazdowa pobożność, która nie tylko zbiera, ale uczy zbierania. Przed wizytą relikwii robiono trzydniowe rekolekcje. Zawsze specjalne, zawsze wyjątkowe – jakby w parafii nie było już nic normalnego, tylko ciągły stan podwyższonej temperatury. Przyjeżdżał kaznodzieja z zewnątrz: kanonik, „ważny ksiądz", ktoś w typie kościelnego celebryty. Jak na „Sylwestra z Dwójką" Zenek Martyniuk od homilii. A jak wyglądał ten szaman? Księża opisują go brutalnie – jak cielak ukryty pod sutanną: ciało syte i pewne siebie, zanurzone w opowieści o ubóstwie, wyrzeczeniu i świętości.

Cud wystarczy zamiast dokumentów i faktur – szeptane historie, że bolało, a nie boli, że się na sercu zrobiło ciepło.

Ten przyjezdny miał głosić kazania inne niż wszystkie. Sama zapowiedź działała jak reklama: przyjedzie ktoś, kto zna tajemnicę, ktoś „z wyższej półki", ktoś, kto powie słowo, którego tu jeszcze nie słyszano. I oczywiście mówił. Na każdej mszy. A przy każdym mówieniu krążyła taca. Taca nie była dodatkiem. Była metronomem emocji. Najpierw „bracia i siostry", potem „zobaczcie, jak cierpiał", a w końcu: „a teraz, kochani, możemy zrobić coś konkretnego".

Konkret zawsze miał formę datku. Na tym polega ten trik: wydajesz pieniądze nie na księdza, nie na parafię, tylko na świętość. Na coś, czego nie wypada kwestionować. Kto spyta o rachunek, temu można odpowiedzieć, że nie rozumie, nie czuje, że ma zimne serce. A potem relikwia rusza dalej – do następnej parafii, do kolejnej wspólnoty, na kolejne „wyjątkowe wydarzenie". (…)

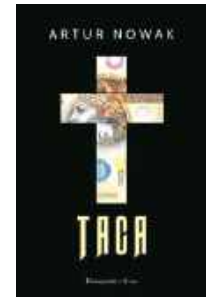

Fragmenty książki Artura Nowaka *Taca*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2026

eprasa.pl 11278a6272

W instalacjach na wystawie w Spectra Art Space niebieska linia biegnie w poprzek prac plastycznych autora.

NIEBIESKA LINIA PRZYSZŁOŚCI

Scalić, odkryć na nowo. Poszerzyć granice percepcji

Daniel Wójtowicz

Czy można zyskać rozgłos i uznanie świata, naklejając cienką, niebieską taśmę na wszystko, na co tylko się da? Otóż można.

Dzięki takiemu właśnie zamysłowi twórczemu, zrodzonemu w 1968 r., jednym z najbardziej znanych dziś na świecie polskich artystów wizualnych stał się Edward Krasiński (1925-2004). W londyńskim muzeum sztuki współczesnej Tate Modern jest jednym z nielicznych naszych rodaków, których dzieła długoterminowo eksponowano w sekcji Performer and Participant. Jego prace prezentowano również w Amsterdamie, Bazylei, Hongkongu, Paryżu czy Wiedniu.

Teraz także w Warszawie, w galerii sztuki współczesnej Spectra Art Space, otwarto wystawę poświęconą jego sztuce. Ekspozycja jest wyjątkowa, ponieważ gromadzi dzieła na co dzień rozproszone – pochodzące ze zbiorów Zachęty, Muzeum Sztuki w Łodzi oraz prywatnej kolekcji Fundacji Rodziny Staraków, właścicieli galerii.

Przez śnieżnobiałe ściany galerii biegnie poziomo, nieprzerwanie, wąska linia niebieskiej taśmy. To znak rozpoznawczy autora. Niby nic nadzwyczajnego – a jednak na przecięte nią płaszczyzny od razu zaczynamy patrzeć inaczej. Dostrzegamy ich istnienie, a biel zmienia się w pole jakiegoś zdarzenia. Starałem się zrozumieć jego naturę. Sam autor mówił, że dokonuje w ten sposób swoistego ujawniania czy demaskowania niedostrzeganych na co dzień elementów otoczenia. Odebrałem to jako wypełnianie myślą pustki, a przynajmniej pytanie o jej ukrytą zawartość.

Edward Krasiński przez lata był związany z warszawską Galerią Foksal – stworzoną wspólnie m.in. z Tadeuszem Kantorem – skupiającą jedno z najbardziej radykalnych środowisk artystyczno-intelektualnych powojennej Polski. Koncentrował się na pokazywaniu przestrzeni w wymiarze sztuki i na odkrywaniu jej wymowy. Może to brzmieć niezrozumiale, sam twórca podchodził do tego z dystansem. W jednym z archiwalnych filmów żartobliwie opowiadał, że gdy w latach 60. podczas pobytu w sanatorium opisał dyżurnemu lekarzowi charakter swoich działań twórczych, ten zalecił mu udanie się na... konsultację psychiatryczną.

Dziś z tej anegdoty można już tylko się śmiać. Współcześni fizycy sami przecież sugerują, że otacza nas niewidzialna kwantowa rzeczywistość, która poszerza naszą definicję wszechświata. Artyści mają doskonałą świadomość granic ludzkiego postrzegania. Sztuka współczesna w dużej mierze dąży właśnie do ich poszerzania, a instalacje Krasińskiego są tego wyraźnym przejawem.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 11278a6272

Niebieska linia Krasińskiego jest zawsze taka sama: ma szerokość 19 mm i jest naklejana na wysokości 130 cm. Nie wiadomo, dlaczego akurat w takim miejscu. Niektórzy poetycko kojarzą to z wysokością, na której przeciętnie znajduje się ludzkie serce. Bardziej prawdopodobny jest jednak zamysł skierowania naszego spojrzenia niżej niż zwykle. W ten sposób niebieska linia zmusza do patrzenia na otoczenie z nietypowej perspektywy. A taki jest przecież cel sztuki.

W instalacjach na wystawie w Spectra Art Space niebieska linia biegnie w poprzek zawieszonych na ścianach prac plastycznych autora. Krasiński eksploruje w nich piękno geometrii i zaklętą w niej ułudę trójwymiarowości.

Interwencja. Niebieska linia biegnąca wzdłuż reprodukcji obrazu Stanisława Witkiewicza „Wąskie wrota".

W innej części ekspozycji linia wchodzi na reprodukcje kilku klasycznych obrazów. A to może sprawiać, że na te znane dzieła spojrzy się w zupełnie odmienny sposób. Zaburzona niebieskim paskiem spójność i harmonia zmusza do ponownej ich analizy. Ponadto linia łączy niezwiązane ze sobą obrazy w nową kompozycję i prowokuje do pytania: dlaczego?

Podobnie wygląda cała wystawa: niebieski pasek łączy pozornie obce sobie elementy w oryginalną całość. Taka też od samego początku była idea artysty: „W życiu i w sztuce wszystko jest podzielone i połamane, a pasek łączy te pogubione ogniwa, zbliża jedno do drugiego, przynajmniej w sferze mentalnej".

Chcąc to udowodnić, Krasiński przed laty zaczął oznaczać tą linią wszystko, co tylko mógł – od ścian warszawskiej pracowni, którą dzielił z innym wybitnym malarzem, Henrykiem Stażewskim, aż po mury galerii w Paryżu, obiektów w Tokio i Nowym Jorku. Wywoływało to sensację i zdziwienie. Światowe elity dostrzegły w tym nowy aspekt działania sztuki: scalanie naszej popękanej Ziemi i odkrywanie jej na nowo. Nic dziwnego, że po prace Krasińskiego wyciągnęły ręce najważniejsze galerie na świecie.

Mnie Krasiński po raz pierwszy zafascynował w Tate Modern. Prezentowana tam instalacja składa się z wielu zawieszonych w środku dużej sali dwustronnych luster różnej wielkości. Gdy wszedłem pomiędzy nie, szybko straciłem poczucie rzeczywistego miejsca w przestrzeni oraz – wobec multiplikacji odbić – jej faktycznych granic. Ratunkiem stawał się wszechobecny niebieski pasek, choć i on sprawiał wrażenie, jakby wiódł ku nieskończoności. Przez chwilę chyba zaznałem jej smaku.

I właśnie to wspomnienie towarzyszyło mi podczas zwiedzania warszawskiej wystawy. Patrząc na ową niebieską, cienką linię, miałem poczucie, że odsłania przed nami nieskończoność – niczym asfaltowa droga biegnąca przez prerię.

Przewodniczka na wystawie podkreślała, że dzieło sztuki nie zawsze musi mieć wymiar czysto fizyczny. Czasem, tak jak tutaj, staje się nim przestrzeń pusta, ale wypełniona odczuwalną energią. Mam wrażenie, że Edward Krasiński właśnie ją stara się dla nas odkrywać. Pozwala nam poczuć, że cała przestrzeń wszechświata może być pełna czegoś wyjątkowego, czego dotąd nie potrafiliśmy dostrzec.

Czy nie tak powinna działać sztuka? Wybiegać w przyszłość, pomagać w przygotowaniu nas na odkrycia, o jakich jeszcze nawet nie śnimy?

Spectra Art Space
Spectra Art Space MASTERS. Edward Krasiński
do 11 listopada

TRAWERSEM PRZEZ SZTUKĘ
– pięknie ilustrowany album Daniela Wójtowicza
125 zł
200 stron relacji z najważniejszych wystaw malarstwa współczesnego w Polsce i w Europie
Zamów na: **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. **Wysyłka GRATIS**

eprasa.pl 11278a6272

Spotkania literackie przed pałacem w Bojadłach.

Turystyka śladem książek

Pierwsze Rzeki Literatury w Lubuskiem

Beata Dżon-Ozimek

Wystarczy zjechać kilka kilometrów z głównych dróg – mówił Irek Grin, szef zarządu Fundacji Olgi Tokarczuk – żeby zobaczyć skarby. Pierwsza edycja Festiwalu Rzeki Literatury przepłynęła przez Zieloną Górę i takie miejsca jak Bojadła, Zabór, Zatonie, Trzebiechów, Klenica, Łaz, znane lokalnym mieszkańcom. Dla przybyłych na festiwal były jednak odkryciem. Turyści kulturalni nie zawiedli. Rzeki i odnogi spotkań, spacerów, warsztatów Latającego Uniwersytetu Ludowego, rozmów, koncertów zagarnęły tłumy z całej Polski. Ci, którzy od lat planowali przyjazd na Góry Literatury, ale nigdy nie dotarli, teraz dostali swoje Rzeki – bliżej, w Lubuskiem, np. w Klenicy, gdzie pierwsze lata życia spędziła Olga Tokarczuk, a jej rodzice prowadzili kursy Lubuskiego Uniwersytetu Ludowego.

„Krótkie życie bomby od początku było marne", tak zaczyna się fragment nowej powieści Tokarczuk „Świata jest za dużo", przeczytany przez autorkę na otwarcie festiwalu. „Bomba", „Dom z dziurą" to fragmenty książki zapowiadanej przez noblistkę jako jej ostatnia.

Panie i panowie w czarnych koszulkach z napisem „Ochrona" przy bramie pomiędzy kordegardami pałacu w Bojadłach pracowali od rana do wieczora. Pomocni, uprzejmi, zatrudnieni przy festiwalu u „naszej noblistki", jak mówił ktoś z dumą. Uśmiechnięty starszy ochroniarz przyznaje, że to była odmiana w codzienności i szansa na dorobienie. Nawet jeśli sprowadzało się to do dbania o czystość na dziedzińcu pałacu, można było spotkać Macieja

Mec. Karolina Kuszlewicz prowadziła warsztaty i mówiła o prawach zwierząt.

FOT. BEATA DŻON (2)

eprasa.pl 11278a6272

Stuhra, Sylwię Chutnik, Joannę Bator czy Magdalenę Grzebałkowską. Koło gospodyń wiejskich karmiło i poiło. A pałac w Bojadłach ożył wszechstronnie, choć i na co dzień przyjmuje gości.

Zabór – w niedzielę w zdziczałym, ale rewitalizowanym parku na polanie między gigantycznym dębem szypułkowym a innymi potężnymi drzewami ławy, leżaki i scena rozmów z autorami. Obok książkobus, księgarnia na kołach. Ostatni gość festiwalu, po rozmowach z Anną Bikont czy Pawłem Sołtysem, to Andrzej Stasiuk. Jest przeddzień Święta Niepodległości Ukrainy. Mowa o powrotach Stasiuka nad „rzekę dzieciństwa", Bug, ale i o wyjazdach do Ukrainy. I to on, stary praktyk w przyjaźniach, rozmowach z Ukraińcami, doświadczył, że są rzeczy, jak pamięć o Wołyniu, w których możemy nigdy się nie spotkać. Musimy to wiedzieć, takie są fakty. I możemy tylko razem iść dalej. Komu jak komu, ale tu Stasiukowi wierzę bardziej niż wszystkim innym.

Krystyna przyjechała na Rzeki Literatury z Głuchołaz, znad swojej Białki, tej samej, która straszliwie zalała miasto podczas powodzi w 2024 r. Krystyna ma prawie 80 lat, jest turystką okołoksiążkową. Chciała pochodzić ulicami znanymi jej z serii książek o dawnym Grünbergu, sprawdzić topografię, kościoły i winnice. Rzeki Literatury zabrały ją też w takie miejsca jak Zatonie.

Co miejscowość to pałac, park, dawna fosa. W jednym z dawnych obiektów pałacowych leczą się psychiatrycznie dzieciaki. Maciej Stuhr czytał im książki, a okazało się, że jest pianino, więc zagrał i zaśpiewał pacjentom utwory Stanisława Sojki, z którymi jechał na koncert rocznicowy do Sopotu. Takie rzeczy działy się spontanicznie. Choć niektórzy miejscowi nie byli zachwyceni liczbą samochodów i obcych wędrujących im pod płotami, więcej było tych uśmiechających się i przysiadających na ławkach, by posłuchać, a może i kupić książkę.

Ludzie po każdym festiwalowym dniu rozpoznawali się, rozmawiali, budowała się społeczność życzliwsza niż na co dzień, do tego pełna psów. Kastor, członek mojej rodziny, był jednym z czworonogów obecnych także na warsztatach „Zwierzęta pozaludzkie i ich obrona". Prowadziła je prawniczka Karolina Kuszlewicz, zajmująca się walką o dobrostan zwierząt. Zamiast 20 osób wzięło w nich udział ponad 40 i kilka psów. Wszystkie się dogadywały.

Krystyna, 80 lat, chciała pochodzić ulicami znanymi z serii o dawnym Grünbergu.

Tematyka literatury dziecięcej była w rękach i fantazji Sylwii Chutnik i Grzegorza Kasdepke. Oboje uznali rebeliancko, że dzieciom powinno się zabronić czytania książek, wtedy mogą się okazać dobrem szczególnego pożądania.

Bardzo ważna okazała się odnoga „uniwersytecka", poznawcza i praktyczna. Na zajęcia m.in. o „obcych" u Magdaleny Środy, o antycyganiźmie u Elżbiety Mirgi-Wójtowicz czy o kulturze łemkowskiej z Jerzym Starzyńskim zapisywało się po kilka osób na jedno miejsce.

Styk wody i słowa podczas Rzek Literatury pokazał nam przegraną planowania i prymatu człowieka. Natury nie da się zaplanować, oddaje nam krzywdy i nadużycia. Tym razem rzeka nie nastarczyła wody, by odbył się rejs poetycki Kulturalnym Statkiem. Spotkanie natura-literatura wypełniło się konkretem: za mało wody w Odrze, czyli stan hydrologiczny coraz częstszy. Tematyka natury, ekologii, wody, praw nieludzkich istot czujących, ale i mniejszości, obcości okazała się bardzo ważną częścią festiwalu wcale nie antropocentrycznego. Jednocześnie owe cztery dni spotkań, z bywającą pośród publiczności i na spacerach noblistką, wypełniły się bliskością i lokalnością, więcej było wspólnego „my" niż podziałów na widzów i twórców. To ośmiela, zachęca, także do czytania i poznawania – nowych miejsc, a za tym i historii ludzi.

Pod ratuszem w Zielonej Górze jest efektowne lustro z napisem „Darz wino!". Wino jest tu w domu, jest obecne, można je wąchać, pić, oglądać barwę. Kto wie, że tu produkowano pierwsze niemieckie wina musujące w spółce Häusler, Förster & Grempler z ówczesnego Grünbergu? Taki właśnie był pierwszy Festiwal Rzeki Literatury, musujący i meandrujący. Niech mu się darzy! ■

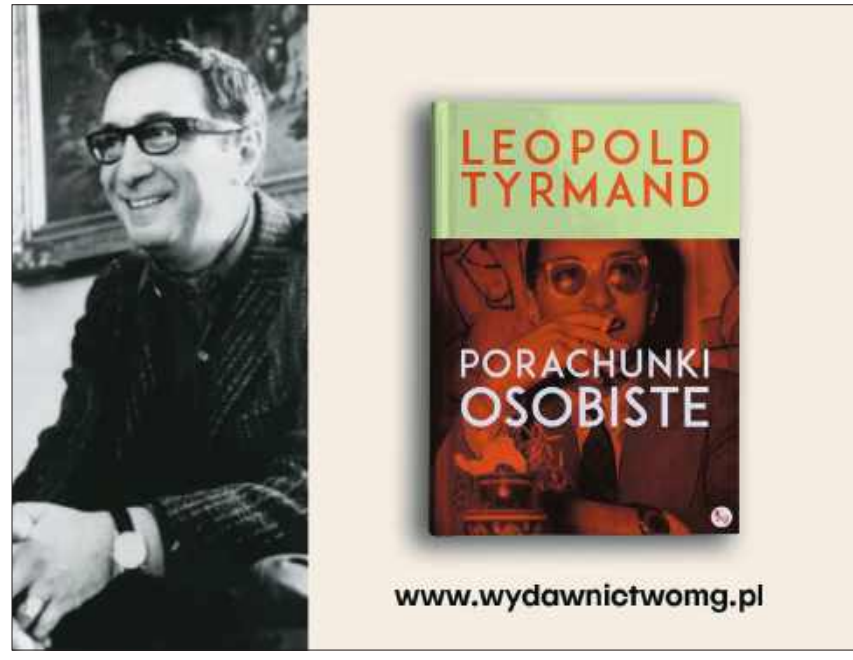

eprasa.pl 11278a6272

NA EKRANACH

Miłość, śmierć i dojrzewanie w Camp Miasma,

prod. USA, reż. Jane Schoenbrun, w kinach od 4 września

To eksperyment, który podzieli fanów na całym świecie. Gatunkowe wariactwo opowiada o młodej reżyserce (Hannah Einbinder), która pragnie nakręcić nową część zapomnianej już slasherowej franczyzy „Camp Miasma". W tym celu umawia się na spotkanie z gwiazdą pierwszej części serii (graną przez niepowtarzalną Gillian Anderson). Relacja obu kobiet obiera nieoczekiwany kierunek, a ich współpraca zaczyna wymykać się spod kontroli. Fikcja wpływa na rzeczywistość, a młoda reżyserka zaczyna zdawać sobie sprawę, że sama staje się bohaterką nowej części „Camp Miasmy". Najnowszy film Jane Schoenbrun może być dla widza czymkolwiek: brutalnym slasherem, feministycznym głosem albo przypowieścią o inicjacji seksualnej. Trudno powiedzieć, czy ten tematyczny mariaż faktycznie działa, bo chwilami mamy poczucie, że za dużo grzybów w tym

barszczu. Ale co tam, próbujemy zaufać Schoenbrun i ekipie, nawet jeśli w ostatecznym rozliczeniu będą nas zwodzić na manowce. O to wszak chodzi i w kinie, i na planie filmowym – wszystko orbituje wokół zaufania. Pozostaje tylko pytanie, czy w tym przypadku ono się opłaci.

Jan Tracz

KURTYNA W GÓRĘ

Marius von Mayenburg, „Eks", tłumaczenie Karolina Bikont, reżyseria Artur Tyszkiewicz, scenografia Joanna Zemanek, Teatr Ateneum im. Stefana Jaracza w Warszawie, premiera 18 czerwca 2026

Bolesna wiwisekcja

Pod powierzchnią rwącego się dialogu małżonków, mrukliwego męża (Łukasz Simlat), który chce mieć święty spokój, i dociekliwej żony, prącej jak piła tarczowa (Olga Sarzyńska), narasta napięcie. Niby nic się nie dzieje, oboje zatopieni w swoich bańkach, zajęci własnymi myślami, dopiero próbują sztuczek: jak go zranić, jak uniknąć jej ciosu, jak się wyłgać, jak przyłapać. To gra wstępna, podchody. Publiczność reaguje śmiechem.

Ale kiedy na horyzoncie pojawia się „Eks" (Milena Suszyńska), czyli pierwsza partnerka męża, dochodzi do gwałtownego starcia. To już walka na ringu, runda za rundą. Publiczność wstrzymuje oddech. Banał? Banał, ale ukazany tak, że przybiera formę wulkanicznej katastrofy. Nie będzie czego zbierać, kiedy dojdzie do konfrontacji i małżonkowie zaczną wyrywać z siebie nagromadzone żale, niespełnione marzenia i kaleczące psychikę rozczarowanie. Sobą nawzajem. Świat im się nie udał. Życie się nie udało i nie wiadomo, jak to naprawić ani czy warto.

Marius von Mayenburg, a za nim Artur Tyszkiewicz i jego znakomici aktorzy stawiają pytanie o przyczyny tego, że między bliskimi sobie ludźmi rośnie mur, pracowicie budowany dzień po dniu. Pytają, kiedy to się zaczęło i czy kiedykolwiek się skończy.

Świetne przedstawienie, które portretuje bohaterów próbujących wybrnąć z pułapki, jaką sami na siebie zastawili. To nie żadna opera mydlana, choć czasem ją przypomina, ale gęsta psychodrama z misternie zbudowanymi rolami odsłaniającymi wewnętrzne spustoszenie, jakie przynosi spopielały we wzajemnych pretensjach związek.

Tomasz Miłkowski

FESTIWAL

Avant Art Festival 2026

Od niemal dwóch dekad Avant Art Festival to przestrzeń, w której łączą się muzyka eksperymentalna, sztuki wizualne, film i performans. 19. edycja festiwalu to spotkanie twórców z różnych pokoleń i środowisk związanych z muzyką eksperymentalną oraz sztuką współczesną. Obok artystów, którzy od dekad wpływają na rozwój improwizacji, noise'u, muzyki elektroakustycznej, metalu i performansu, pojawiają się twórcy zmieniający sposób, w jaki myślimy o dźwięku i obrazie. Szczególne miejsce w programie zajmuje współczesna scena indonezyjska, z którą Avant Art Festival od lat rozwija współpracę. Senyawa, solowe projekty Rully'ego Shabary i Wukira Suryadiego, międzynarodowy projekt OSMIUM oraz film „BISING" pokazują jej różne wymiary.

Po raz pierwszy program rozwija się w aż czterech odsłonach: w mniejszych lokalizacjach na Dolnym Śląsku, we Wrocławiu, w Warszawie i w Lublinie.

(ag)

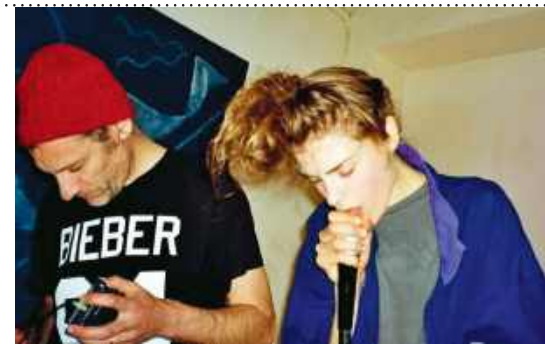

Szczegóły i program: avantart.pl.

Dolny Śląsk, Wrocław, Warszawa, Lublin, 2 września-11 października

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 11278a6272

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pojutrza nie będzie

Obejrzałem przedpremierowo „Dziennik panny służącej". Skądinąd Radu Jude został sprowadzony do Warszawy na warsztaty bernhardowskie w TR i przy okazji zaproszony na spotkanie po projekcji filmu. To jeden z największych artystów kina europejskiego, a pretensje można mieć do niego chyba tylko o to, że po arcydzielnych „Wszystkich w naszej rodzinie" i „Aferim!" robi wyłącznie filmy dobre lub bardzo dobre.

Jego ostatnie dzieło, zrealizowane jako rodzaj uwspółcześnionych wariacji książki Octave'a Mirbau, plasuje się pomiędzy tymi dwiema kategoriami. Najpyszniejsze są jednak w filmie sceny z francuską burżuazją, która A.D. 2025, cokolwiek znużona przeciągającą się wojną ukraińsko-ruską, wyraża obawę, że „ten szaleniec Zełenski" wciągnie ją w III wojnę światową. Jakby nie mógł wziąć przykładu z cywilizowanej Francji, która przecież poddała się Hitlerowi w niewiele ponad miesiąc.

Opór Ukrainy jest nader kłopotliwy; Slavoj Žižek w niedawno wydanej po polsku książce „Za późno na przebudzenie. Co nastąpi, skoro przyszłość nie istnieje" pisze wprost o wypartych pragnieniach zachodniej Europy: „Po cichu liczyliśmy, że Ukraina szybko padnie, żebyśmy mogli się porządnie oburzyć i opłakać stratę… następnie żyć po staremu. (…) Przypomnijmy sobie, jak w pierwszych dniach wojny zachodnie mocarstwa zaproponowały Zełenskiemu ewakuację z Kijowa specjalnym samolotem. Podtekst był taki, że sprawa została przegrana (więc szybko się stąd zmywajmy). Nieprzemyślana, histeryczna reakcja zdradziła prawdziwe pragnienie Zachodu – którego zaspokojenie uniemożliwił niespodziewany opór ze strony Ukrainy".

Antyukraińskie nastroje w Polsce są także rodzajem resentymentu wobec sąsiada, który zamiast załatwić sprawę „polubownie" i przystać na podyktowane przez agresora warunki rozejmu, z uporem i bohatersko prowadzi wojnę obronną już piąty rok. Naród ukraiński wykazuje bowiem wszelkie te cechy, które chcą sobie przypisywać Polacy na podstawie własnej heroizującej polityki historycznej, lecz broń boże nie chcieliby ich zweryfikować w warunkach wojennych.

Žižek swoje pesymistyczne rozważania napisał jeszcze przed ponownym wyborem Trumpa na prezydenta USA, zatem nawet katastrofizm autora nie zakładał upokarzających przekomarzań Trumpa z Zełenskim, prób decydowania o wojnie ponad głowami Ukraińców, rozkładania czerwonego dywanu przed Putinem ani narastającej groźby wyjścia USA z NATO.

Tajny lot szefa CIA do Rosji napawa nas trwogą, czy aby Trump nie dogada się z Putinem w sprawie nowego podziału Europy, jakby ci dwaj degeneraci już dawno nie okazywali sobie ciepłych uczuć – miarą wartości trumpistowskich Stanów Zjednoczonych jest fakt, że jedna z naszych politycznych szumowin znalazła tam schronienie, podczas gdy druga nawiała do Naddniestrza. Ta dzikowschodnia republika jest putinowską filią w Mołdawii, USA wciąż jeszcze swoją rusofilę próbują jakoś kamuflować – to jedyna różnica.

To nie pokolenia naszych dzieci lub wnuków, ale my osobiście będziemy mieli okazję dożyć końca ludzkości.

Tymczasem na granicy nepalsko-tybetańskiej apokaliptyczna powódź, a raczej lodowcowe tsunami – siła i rozmiar tego żywiołu wykraczają poza ludzką wyobraźnię. Ci, którzy próbowali sfilmować tę katastrofę, najpierw się tylko przyglądają, a potem zaczynają panicznie uciekać w górę – tyle że monstrualna fala wciąż błyskawicznie się rozszerza i podnosi – kolejne punkty obserwacyjne przestają być bezpieczne, filmujący uciekają więc dalej, aby znaleźć miejsce, z którego będą mogli spoglądać bez narażania życia, wciąż nie pojmując, że takiego miejsca w ich zasięgu już nie ma.

Ludzkość przypomina teraz właśnie tych Nepalczyków z telefonami komórkowymi – już za późno na przebudzenie, jedyne, co nam pozostaje, to rozpaczliwe i uparte próby znalezienia bezpiecznego miejsca, z którego można się przyglądać zagładzie „tam, w dole".

Często myślę o tym, że to nie pokolenia naszych dzieci lub wnuków, ale my osobiście będziemy mieli okazję dożyć końca ludzkości. Mój przyjaciel lekarz, słynący z czarnego humoru i specyficznie szczerego stosunku do swoich pacjentów, zapytany kiedyś przez hospitalizowaną staruszkę, jak ocenia jej kondycję, odpowiedział: „Niech pani sobie spokojnie ogląda ulubiony serial, ale nowego sezonu już nie warto zaczynać". To o nas. Dziecięcy lapsus Antosia, którego kiedyś użyłem jako tytułu rozdziału, „pojutrze płakałem", okazał się profetyczną lamentacją, tylko ja nie wysłyszałem w nim spacji: „po jutrze płakałem". ■

eprasa.pl 11278a6272

Jesús Imaz i Nik Prelec z Jagiellonii w starciu z Ibrahimem Alhassanem z Iberii podczas pierwszego meczu IV rundy eliminacji Ligi Europy. Białystok, 20 sierpnia 2026 r.

Wojciech Kuczok

Hajduk z łupem w Częstochowie

Za mało nas w Europie

Czwartkowy paradoks: losy polskiej piłki klubowej ważyły się na stadionie z dykty i paździerza, z udziałem czerwonej latarni Ekstraklasy, drużyny w głębokim kryzysie sportowym. Ani obiekt Rakowa nie może być wizytówką naszej ligi (przypomina raczej minione szczęśliwie czasy sprzed Euro 2012, które zapoczątkowało bum na budowę nowoczesnych obiektów i przebudowę przestarzałych), ani Medaliki w obecnej formie nie są reprezentatywne dla siły naszego futbolu.

Pojedynek Częstochowian z Hajdukiem Split był kluczowy, bo Lech i Jagiellonia awans do Ligi Europy zapewniły sobie już w pierwszych meczach, Górnik zaś jechał do Monako na wycieczkę, bez szans w rywalizacji z czołową ekipą Ligue 1. To Raków dźwigał na sobie odpowiedzialność za nasze szanse wejścia do Ligi Mistrzów za dwa lata bez eliminacji, zwłaszcza wobec wieści dobiegających z innych europejskich stadionów.

Czechy, Grecja, Norwegia i Dania, kraje, które sensacyjnie wyprzedziliśmy w rankingu UEFA, wprowadziły do jesiennych rozgrywek po cztery zespoły – z naszą dwójką w Lidze Europy nie zdołamy zarobić dość punktów, aby utrzymać swoją pozycję, a jeśli spojrzeć na rangę rywali, każde jesienne zwycięstwo polskiej drużyny w Europie będzie co najmniej niespodzianką.

Raków miał za zadanie pokonać wicemistrza Chorwacji, który od półtorej dekady walił głową w kwalifikacyjny mur i zawsze odpadał latem. Punkt wyjścia był znakomity – wyjazdowy remis, rewanż na swoich śmieciach, a przeciwnik piłkarsko bardzo przeciętny. Odmówić Częstochowianom charakteru nie sposób – w dwumeczu czterokrotnie odrabiali straty, lecz za piątym razem już się nie podnieśli. Doprowadzenie do dogrywki w końcówce meczu przez Mahira Emrelego było ostatnim wybuchem radości gospodarzy. Kiedy rywale już na początku czasu dodatkowego ponownie objęli prowadzenie, z Medalików całkiem uszło powietrze.

Piłkarska prawda o sile zespołu siedzi na ławce rezerwowych, tym bardziej jeśli ekipa ma zamiar grać na kilku frontach. Niestety, okazało się, że w Rakowie jakość sportowa kończy się na pierwszej jedenastce. Wszystkie zmiany dokonywane przez trenera Kroczka osłabiały zespół. Za to coach przyjezdnych zmyślnie wprowadził na dogrywkę Marka Livaję – gracza nie pierwszej już młodości, ale doświadczonego latami gry we Włoszech i w Hiszpanii. Jego technika, opanowanie i czytanie gry okazały się tym, czego Hajduk

FOT. IMAGO/JAN BORYS/IMAGO SPORT AND NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl 11278a6272

potrzebował, aby kontrolować wynik do końca. Livaja jest dla Hajduka kimś takim, jak Danijel Ljuboja był swego czasu dla Legii, nie tylko zbieżność fonetyczna nazwisk stanowi o podobieństwie. To piłkarz, którego markę potwierdza każde dotknięcie piłki, sposób zastawiania się, umiejętność absorbowania obrońców i odegrania na wolne pole.

Wśród Częstochowian jedynym piłkarzem, który wyróżnia się na tle topornej i schematycznej gry kolegów, jest nieobliczalny Lamine Diaby-Fadiga. W Splicie dał Polakom remis, w Częstochowie pod presją wykonał rzut karny bezczelną „panenką". Po jego zejściu z boiska Raków nie miał już czym zaskoczyć rywali; przeputał szansę dla siebie i dla naszych klubów. Przez najbliższe miesiące będziemy się przyglądać, jak nas wyprzedzają w rankingach kolejne nacje, Lech i Jagiellonia z myślenia o awansach i zwycięstwach raczej przestawią się na postrzeganie europejskich występów w charakterze pucharowej przygody.

Największy sukces tego lata, jakim zdawało się nam pokonanie przez Jagę Rangersów z Glasgow, nieco zbladł wobec faktu, że w kolejnej rundzie Szkotów całkiem wykopał z pucharów czeski Jablonec. Mieliśmy czelność mniemać, że Ekstraklasa co najmniej dogoniła poziomem ligę czeską, tymczasem Viktoria Pilzno właśnie zdemolowała Crveną zvezdę Belgrad 5:1 – drużynę, której przed rokiem nie był w stanie podskoczyć mistrz Polski w bojach o Champions League. Czesi mają na najwyższym szczeblu Slavię Praga, do której idą młode wilki polskiej ligi i czują się, jakby udało im się złapać pana boga za nogi (Wiktor Nowak i Oskar Kubiak już tam są, Rafał Adamski jest wciąż kuszony). Oprócz Pilzna w Lidze Europy będzie grała jeszcze praska Sparta.

Wygląda na to, że nie Raków był wielki w latach 20. XXI w., lecz to Marek Papszun jest wielkim trenerem – bez niego klub spadał poza podium, a nawet osuwał się do środka tabeli. Od kiedy Papszun porzucił Raków dla warszawskiej Legii, z ekipą broniącą się przed spadkiem w kilka miesięcy wspiął się na szóste miejsce Ekstraklasy i omal nie awansował do pucharów. Teraz Legia lideruje, choć głównie za sprawą łatwych rywali na starcie, a Raków będzie musiał bardzo się postarać, by opuścić ostatnie miejsce w ligowej tabeli. Raków jest klubem prywatnym – jedynym właścicielem i akcjonariuszem jest częstochowski miliarder Michał Świerczewski – najpewniej swojemu projektowi pozostanie wierny i należy mu życzyć, aby znalazł w końcu godnego następcę trenera, który stworzył pod Jasną Górą potęgę.

Co do pozostałych pucharowiczów: na występ Górnika Zabrze lepiej spuścić zasłonę milczenia z szacunku dla waleczności, którą Zabrzanie pokazali w pięciu letnich występach, grając z faworyzowanymi rywalami. W Monako skończyło się honorową bramką na 1:4; książę Albert II Grimaldi, skądinąd w świetnej formie, przyglądał się, jak jego ukochana drużyna bez najmniejszego wysiłku rozbija chłopców z Górnego Śląska. Jagiellonia w Gruzji zrobiła swoje i zgarnęła komplet punktów z kiepściutką Iberią, Lech w Szwajcarii zagrał leniwie, czemu trudno się dziwić po siedmiobramkowym zwycięstwie w pierwszym meczu – Poznaniakom od niechcenia udało się zremisować po dwóch pięknych, soczystych i mierzonych strzałach Gumnego i Wålemarka.

Ile brakuje naszym klubom do najwyższej półki europejskiej, przekonamy się jesienią – Liga Europy to już nie przelewki, to przedsionek Ligi Mistrzów, tu gra mniej więcej tyle niepoważnych zespołów, ile w Lidze Konferencji grało poważnych. Skończyła się zabawa w Pucharze Biedronki, będzie gra na wielkich stadionach z wielkimi klubami.

Do piłkarskiego raju tym razem trafiło kilkunastu Polaków z szansami na grę – naszymi pewniakami w Champions League są Piotr Zieliński, w życiowej formie w środku pola Interu Mediolan, oraz duet naszych stoperów Jan Bednarek i Jakub Kiwior w FC Porto. Oskar Pietuszewski będzie musiał o swoje miejsce na skrzydle powalczyć.

Niesamowity zwrot kariery przeżył Tymoteusz Puchacz, jeden z najzdolniejszych wychowanków akademii poznańskiego Lecha. Kupiony przed pięciu laty w reprezentacyjnej formie przez Union Berlin tułał się po kolejnych wypożyczeniach do coraz słabszych ekip, w których jego wartość sportowa systematycznie malała, aż w końcu przez zaplecza Bundesligi i Championship wylądował na zasadzie definitywnego transferu w Azerbejdżanie, co powszechnie rozpoznano jako ostateczny krach dobrze zapowiadającej się niegdyś kariery.

Tymczasem w Baku Puchacz stał się kluczowym zawodnikiem tamtejszego klubu Sabah, poprowadził swoją drużynę do mistrzostwa kraju, a latem przebrnął z nią aż cztery rundy kwalifikacyjne i zameldował się w Lidze Mistrzów. Niemiłosiernie wykpiwany jako „piłkarz tiktoker", którego sława w ostatnich latach wynikała raczej z niewyparzonej gęby, której używał szczodrze w internetowych pojawach, będzie teraz rywalizował z Barceloną, Arsenalem, Borussią Dortmund czy Manchesterem United.

W Slavii, jak wspomniałem, mamy dwóch młodych Polaków – Wiktor Nowak zaczął sezon z przytupem, Oskar Kubiak na razie jest rezerwowym. W Aston Villi zagra Matty Cash, w Racing Lens kapitalnie zaczęli rundę Maik Nawrocki, podstawowy obrońca, i Michał Skóraś w roli superjokera. Niestety, dwóm naszym piłkarzom klubowe eldorado sprzątnięto sprzed nosa: nękany kontuzjami Jakub Moder miejsca w Feyenoordzie już nie zagrzeje, a Jan Ziółkowski ławkę rezerwowych w Rzymie zamieni na dniach na Monzę – oby tam miał więcej okazji do gry. ■

Lamine Diaby-Fadiga w Splicie dał Polakom remis, w Częstochowie pod presją wykonał rzut karny bezczelną „panenką".

eprasa.pl 11278a6272

Tomasz Skowronek

Sewilla uczy się żyć z upałem

Dostęp do wody i cienia już wkrótce może być kwestią bezpieczeństwa publicznego

O trzeciej po południu Sewilla nie wygląda jak miasto, w którym ktokolwiek powinien mieszkać. Termometr pokazuje ok. 40 st. Kamienne ulice oddają ciepło, powietrze jest suche, a człowiek po kilku minutach zaczyna szukać nie zabytków, lecz cienia. „W cieniu da się wytrzymać", ktoś mówi. „Przynajmniej nie ma 50 st.", dopowiada ktoś inny.

Te zdania dobrze pokazują stosunek mieszkańców Sewilli do lata. Upał nie jest tutaj zjawiskiem nadzwyczajnym, to element życia. Stolica Andaluzji od dawna uchodzi za jedno z najgorętszych miast Europy – nazywa się ją „patelnią Hiszpanii" i „piekarnikiem iberyjskim". W letnie popołudnia miasto potrafi opustoszeć. Ludzie wiedzą, że lepiej nie wystawiać się na słońce bez potrzeby.

Przez stulecia Sewilla z gorącem walczyła metodami, które dziś brzmią banalnie. Upał niewątpliwie pomagają okiełzać: wąskie ulice, grube mury, dziedzińce, fontanny, drzewa czy markizy. Budynki stoją blisko siebie, dając upragniony cień. W ogródkach restauracyjnych coraz częściej pojawiają się zraszacze, z których w upale wydobywa się delikatna mgiełka wody.

Ale klimat zaczyna stawiać przed miastem nowe wymagania. Fale upałów są częstsze i dłuższe, a noce nie przynoszą już wystarczającej ochłody. Według prognoz przytaczanych przez hiszpański serwis meteorologiczny Eltiempo.es w połowie wieku letnie temperatury w Sewilli mogą sięgać wartości ekstremalnych, przy zmniejszającej się ilości opadów. Miasto musi zatem się przystosować.

W ramach projektu Cartuja Qanat zainstalowano systemy chłodzenia na sewilskiej wyspie Cartuja, m.in. w odnowionym amfiteatrze.

Pomysł starożytny, zastosowanie nowoczesne

Kilka metrów pod ziemią, niedaleko miejsca, gdzie w 1992 r. odbywała się światowa wystawa Expo, Sewilla prowadzi jeden z ciekawszych eksperymentów klimatycznych, pod nazwą Cartuja Qanat. W podziemnych przestrzeniach powystawowych pod sufitem rozmieszczono rzędy czarnych rur, które łączą się z rurami jasnoniebieskimi i zielonymi oraz wielkimi, srebrnymi pompami. W usytuowanej z boku sterowni monitory pokazują temperaturę, wilgotność i prędkość wiatru.

María de la Paz Montero Gutiérrez, badaczka z Uniwersytetu w Sewilli, pomaga nadzorować całą instalację. – Wdrożyliśmy tutaj kilka rodzajów systemów chłodzenia. Działanie każdego z nich uzależnione jest od warunków klimatycznych – tłumaczy.

Najciekawsze jednak jest to, że technologia, która w XXI w. ma pomóc w radzeniu sobie z upałami w Sewilli, narodziła się tysiące lat temu. Nazywa się qanat i jest systemem podziemnych kanałów (akweduktów), które stosowano już w starożytnej Persji. Na Bliskim Wschodzie qanaty służyły do transportowania wody z terenów wyżej położonych. Pod ziemią woda była chroniona przed słońcem, a chłód kanałów pomagał regulować temperaturę.

W Sewilli ten dawny pomysł otrzymał nowe życie. W ramach europejskiego projektu Cartuja Qanat w 2020 r. zainstalowano systemy chłodzenia w dwóch przestrzeniach publicznych na Isla de La Cartuja – w dzielnicy, która powstała przy okazji Expo '92 i dziś jest jednym z centrów

FOT. MATERIAŁY PRASOWE CARTUJAQANAT.COM

eprasa.pl 11278a6272

nauki, edukacji i biznesu. Codziennie do pracy i na uczelnie przyjeżdża tu ok. 30 tys. osób.

Jedną z chłodzonych przestrzeni jest agora – obiekt o powierzchni ok. 750 m kw., mogący pomieścić 400 osób. Drugą jest odnowiony amfiteatr. System wykorzystuje nocny spadek temperatury oraz energię słoneczną. Dzięki temu woda jest schładzana i wykorzystywana w ciągu dnia do obniżania temperatury otoczenia. Podziemna instalacja działa jak rodzaj klimatyzatora.

– Zmodernizowaliśmy technikę perską, integrując ją z technologią wykorzystującą wodę deszczową i energię produkowaną przez panele słoneczne – mówi Gutiérrez. Dzięki zastosowaniu tej technologii w upalne popołudnie różnica temperatur jest odczuwalna niemal natychmiast. Na zewnątrz żar, w środku agory – powietrze, którym łatwiej oddychać. To nie jest futurystyczny pomysł, raczej powrót do starej zasady: jeśli słońce jest problemem, trzeba zejść pod ziemię, znaleźć cień i pozwolić wodzie wykonać swoją pracę.

Drzewo, cień i woda

By walczyć z upałem, Sewilla ogranicza także powierzchnie asfaltowe, eksperymentuje z jaśniejszymi i przepuszczalnymi nawierzchniami, sadzi drzewa i tworzy zacienione ciągi piesze. Chodzi o to, by zredukować tzw. miejskie wyspy ciepła. Beton, asfalt i kamień pochłaniają energię słoneczną, a później oddają ją otoczeniu, przez co temperatura w mieście pozostaje wyższa niż na terenach pozamiejskich.

Przykładem nowoczesnej adaptacji miasta do zmian klimatycznych jest projekt LIFE Watercool na Alei Cruz Roja. Przekształcił on przestrzeń w tzw. strefę komfortu klimatycznego, skutecznie obniżając temperaturę otoczenia w czasie upałów.

W Sewilli woda coraz częściej staje się elementem miejskiej infrastruktury klimatycznej. Fontanna nie to już wyłącznie ozdobą, a drzewo jest nie tylko element krajobrazu. Zacieniona ławka może mieć większe znaczenie dla zdrowia niż kolejny dekoracyjny plac.

Andaluzyjskie władze wprowadzają systemy chłodzenia bioklimatycznego wykorzystujące wodę i energię słoneczną. Gorące powietrze trafia do urządzenia na dachu, gdzie woda odparowuje, przepływające powietrze jest schładzane, a następnie rozprowadzane po budynku. Takie rozwiązania są stosowane m.in. w szkołach. W sprzyjających warunkach temperatura w budynku może spaść nawet o ok. 12 st.

Sewilla próbuje także przygotowywać mieszkańców na fale upałów. W 2022 r. jako pierwsze miasto na świecie zaczęła nadawać nazwy i kategorie okresom ekstremalnego gorąca. Pomysł był wzorowany na systemie identyfikacji huraganów. Chodziło jednak o coś więcej niż nazewnictwo. Jeśli upał ma imię i określoną kategorię zagrożenia, łatwiej potraktować go jak realne wydarzenie, na które trzeba się przygotować, a nie jak kolejną prognozowaną wysoką temperaturę.

Infrastruktura bezpieczeństwa

Jest jednak problem, którego nie rozwiążą ani qanaty, ani panele słoneczne. Miasto wciąż nie ma dobrze rozwiniętej oficjalnej sieci bezpłatnych schronów klimatycznych. To szczególnie istotne w czasie najgorszych fal upałów. Schronem może być biblioteka, szkoła, muzeum, centrum publiczne czy zacieniony park. Miejsce, do którego można za darmo wejść, napić się wody i przez kilka godzin cieszyć się temperaturą bezpieczną dla organizmu.

Germán Pablo Miñón, specjalista od zrównoważonego rozwoju miast, zmian klimatycznych i adaptacji obszarów miejskich do ekstremalnych zjawisk pogodowych, zwraca uwagę, że Sewilla dysponuje wieloma miejscami, które mogłyby pełnić taką funkcję. Problem polega na tym, że nie tworzą one spójnej sieci, a część jest zamknięta właśnie wtedy, gdy mieszkańcy najbardziej potrzebują schronienia. A to pokazuje problem najważniejszy – upał nie dotyka wszystkich w taki sam sposób.

W turystycznym centrum miasta można się schować w klimatyzowanej kawiarni, wejść do muzeum albo przeczekać najgorętszą porę w cieniu zabytkowych ulic. W biedniejszych dzielnicach sytuacja może wyglądać zupełnie inaczej. Tam liczy się dostęp do zieleni, jakość mieszkań, klimatyzacja, możliwość odpoczynku i odległość do miejsca, w którym można znaleźć chłód. – W skali mikro różnice są bardzo zauważalne, nawet między ulicami – mówi Miñón. Dlatego spór o zieleń na obrzeżach Sewilli nie jest już wyłącznie sporem ekologów z deweloperami.

Stolica Andaluzji uchodzi za jedno z najgorętszych miast Europy, to „patelnia Hiszpanii" i „piekarnik iberyjski".

Na wschodzie miasta, kilka kilometrów od centrum, znajduje się Laguna del Sapo – Laguna Ropuch. Teren zielony, podmokły, z wodą i roślinnością. Dla Jesúsa Díaza Rodríguezа, biologa z CSIC (Wyższej Rady Badań Naukowych) i grupy aktywistów to naturalny element infrastruktury klimatycznej. Obawiają się, że teren wkrótce zostanie osuszony i zabudowany. W planach zagospodarowania tego miejsca przewidziano bowiem budowę mieszkań. – Chcą wszystko osuszyć i wybudować 27 tys. mieszkań. Innymi słowy, wyasfaltować – martwi się Díaz Rodríguez.

W mieście przygotowującym się na coraz większe fale upałów takich obszarów zieleni tracić nie wolno. W Sewilli drzewo nie jest już tylko drzewem. Cień nie jest dekoracją. Woda nie jest wyłącznie zasobem. Wszystko staje się infrastrukturą bezpieczeństwa. To ważne – także dla innych miast europejskich.

Bo Sewilla może być nie tyle wyjątkiem, ile zapowiedzią. Zapowiedzią przyszłości miast, w których latem cień będzie równie ważny jak droga, park stanie się częścią systemu ochrony zdrowia, a dostęp do wody – kwestią bezpieczeństwa publicznego. ■

eprasa.pl 11278a6272

JOLKA

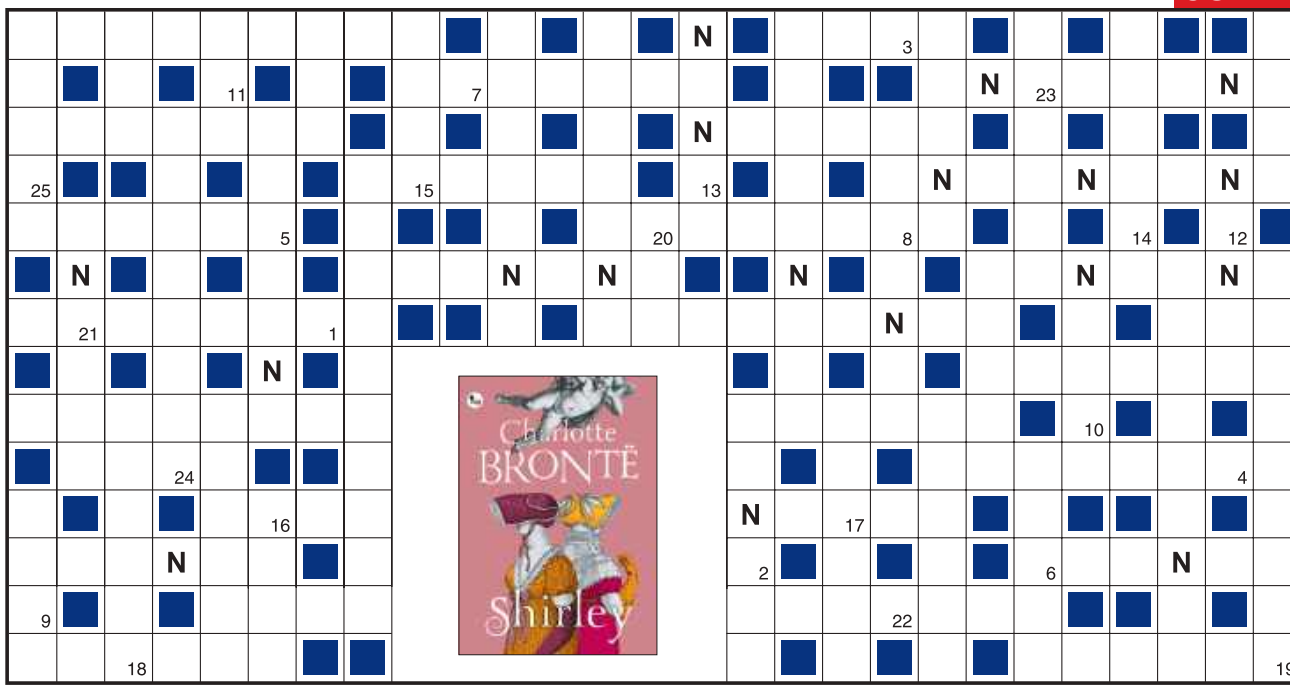

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- konkurent Nike, Pumy i Reeboka
- propagandowa ulotka lub przemowa
- rodzaj kurtki zakładanej przez głowę
- zaleta dająca przewagę
- coś prostego do załatwienia lub nieistotnego
- …dźwięku – przy jej przekraczaniu grom dźwiękowy
- kolor lub część pnia przewodząca wodę
- Emma Roberts dla Julii Roberts
- …metryczny – 100 kg
- zabawa taneczna w kawiarni, restauracji
- wymowy, jasnowidzenia lub uzdrawiania
- imitacja skóry
- mały pojazd szynowy
- wytępione nieloty z Mauritiusa i wyspy Rodrigues
- E w MEN
- Lubos lub Kulm
- niepokój, zamieszanie lub twórcze poruszenie
- …szmatka
- tatrzańska góra z krzyżem na szczycie
- zbiór reguł opisujących system języka
- …Lupino, angielsko-amerykańska aktorka i reżyserka
- substancja do nasycania tkaniny, drewna
- wydarzenie drobne lub nieprzyjemne
- pracownik administracji od spraw gospodarczych
- od butelek wykorzystywane do grania
- drewniana łopatka do prania bielizny
- dokument wydawany w pralni
- środek transportu Tarzana
- kto je ma, chichocze, gdy lekko drapany
- stan całkowitego zastoju, apatii
- Andrij Sadowy we Lwowie
- urzędowe ponaglenia
- …szare – największy ptak Ameryki Południowej
- pospolita pisana małą literą, własna – wielką
- małolat się buntuje, mówi, że jej nie potrzebuje
- ostatnia w tytule piosenki Maleńczuka
- dziewięciu instrumentalistów
- składnik zalewy do grzybów
- tata cudzego małolata
- ona widzi plusy nawet tam, gdzie są minusy
- miasto w Kirgistanie z Górą Salomona
- …Pavel, czeski pisarz i dziennikarz
- stolica w prowincji Ontario
- idzie w kamasze
- na przebój lub na sukces – nie od lekarza
- roztropnemu w działaniu pomaga
- czasem trzeba działać na własne…
- spuścizna, spadek
- alfabetyczny spis na końcu książki
- w nim nasiona grochu, fasoli
- pulower lub golf
- piłujący zakład
- artykulik, notatka, krótki utworek
- sprawdzian lub antydopingowy
- flanela, sztruks albo gobelin
- rola żołądka
- roślina z bobowatych siana na poplon
- …buraczane – produkt uboczny z cukrowni
- ten, kto uratował z opresji
- Łamignat z komiksów o Kajku i Kokoszu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1289”. Do rozlosowania książki „Shirley” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 września 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1286” z nr. 33: *Sława jest cieniem odwagi.*
Nagrody otrzymują: Jan Bucior z Zagródek, Wojciech Kłosowski z Warszawy, Marek Lachendro z Kęt.

eprasa.pl 11278a6272

Co z tą Kubą?

A teraz parę zdań o tym, że praca dyplomaty nie musi być łatwa ani przyjemna. Otóż jedzie na Kubę nowa szefowa placówki, Dorota Ostrowska-Cobas. I trudno znaleźć w MSZ dyplomatę, który by jej tego wyjazdu zazdrościł.

A przecież tak niedaleko jest Kostaryka… Albo Brazylia – Dorota Ostrowska-Cobas pracowała tam kilka lat. Ale nie w ambasadzie RP, lecz w ambasadzie Unii Europejskiej. Pełniła w niej funkcję szefowej sekcji politycznej i prasowej. Teraz więc przychodzi jej dokonać wielkiego przeskoku – z bogatej Brazylii na Kubę, gdzie nie żyje się łatwo nawet dyplomatom. Bo trudno funkcjonować, gdy np. regularnie wyłączany jest prąd. Wiadomo, ambasada dysponuje na taką okazję agregatami prądotwórczymi, ale kłopot polega na tym, że potrzeba do nich paliwa. A z zaopatrzeniem w nie jest krucho – bo od stycznia, czyli od interwencji USA w Wenezueli, tankowce nie zawijają na Kubę. Ropa, benzyna przywożona jest małymi statkami.

Ale przecież – powie ktoś – na Kubie są stacje benzynowe dla dyplomatów. Owszem, tak jest, ale nie do końca. Dyplomaci mają swoje przydziały, np. ambasada RP ma 60 litrów paliwa na samochód miesięcznie. I to jest dobra wiadomość. Zła jest taka, że jak nie ma prądu, to i stacja benzynowa nie działa. Nie ma jak pompować benzyny, nie ma jak płacić… Z płaceniem zresztą jest o tyle słabo, że Stany Zjednoczone zawiesiły transakcje kartami Visa, więc raczej trzeba płacić gotówką.

I do takiego państwa, w którym niewiele rzeczy działa, Polska wysłała nową ambasador. No właśnie, ambasador czy chargé d'affaires? Rzecz jest o tyle ciekawa, że MSZ ma deklarację prezydenta RP, i to pisemną, że nie ma on zastrzeżeń do kandydatury Doroty Ostrowskiej-Cobas i ją popiera. Sęk w tym, że to deklaracja z… lipca 2025 r., złożona przez ówczesnego prezydenta Andrzeja Dudę.

Czy Karol Nawrocki poczuwa się do wypełniania zobowiązań poprzednika? A jaki był sens czekać rok, by wysłać na Kubę już wcześniej uzgodnioną kandydatkę? Przecież takie roczne zawieszenie nie było komfortową sytuacją ani dla Doroty Ostrowskiej-Cobas, ani dla jej poprzedniczki w Hawanie, Joanny Kozińskiej-Frybes.

Dodajmy – Kozińska-Frybes wyjechała na Kubę w 2023 r., wróciła więc po trzech latach. I nie wygląda, by się tą krótszą niż zazwyczaj kadencją martwiła. Swoje w MSZ przeżyła. W roku 1993 wyjechała jako ambasador do Meksyku. Była tam sześć lat. W latach 2001-2006 pełniła funkcję konsula generalnego w Barcelonie, w latach 2009-2013 – konsula generalnego w Los Angeles, a w latach 2016-2020 – konsula generalnego w Lyonie. Sprawy Polonii i promocji kultury były jej najbliższe. I w ten sposób przepracowała w służbie zagranicznej 35 lat. Jak jej się to udało? Odpowiedź łatwo znaleźć – wystarczy sięgnąć do archiwalnych stenogramów i poczytać, jakie piękne rzeczy obiecywała przed wyjazdem do Los Angeles czy na Kubę… A potem sprawdzić, co z tego zostało zrealizowane.

Dorota Ostrowska-Cobas jest innego rodzaju dyplomatą – niczego nie obiecywała, poza stwierdzeniem, że każdy kryzys mija i trzeba być przygotowanym na działanie, gdy minie. To się nazywa robić dobrą minę do niepewnej gry.

Attaché

Zmarła królowa muzyki country, Dolly Parton. Miała 80 lat. Była zdobywczynią 11 Nagród Grammy, w tym za całokształt twórczości, sprzedała ponad 100 mln płyt. Na jej cześć przez tydzień flagi amerykańskie w całym kraju będą opuszczone do połowy masztu.

FOT. INVISION/EAST NEWS

eprasa.pl 11278a6272

ZIEMOWIT SZCZEREK,
PISARZ

A Kraków – cóż: szczęśliwie jest mocno austro-węgierski. No, poza Rynkiem i w ogóle obrębem Plant. Ten jest lokalny, polski do bólu. A to, że ówczesna polskość była mocno zazębiona z niemieckością – cóż. Jeśli uznajemy, że Kopernik jest Polakiem, to musimy uznać, że niemieckość jest częścią polskości. I tyle. Kiedyś Polska była czymś więcej niż etnia. Niemieckość zresztą też. I te rzeczy na siebie nachodziły.

Musimy nieco przetasować nasze wyobrażenie o świecie, żeby go dobrze zrozumieć.

KACPER POBŁOCKI,
ANTROPOLOG

David Graeber twierdzi, że wzrost produktywności nie przyniósł wyzwolenia od pracy, ale jej transformację w coś, co nazywa bullshit jobs – zajęcia czy wręcz całe zawody i sektory gospodarki, które są bez sensu, nie spełniają żadnych społecznych funkcji i mogłyby równie dobrze nie istnieć. W swojej książce wyszczególnia różne odmiany tych prac bez sensu: od prawników korporacyjnych (których firmy zatrudniają tylko dlatego, że inne firmy ich zatrudniają), specjalistów od reklamy i marketingu (bez których ludzie i tak kupowaliby towary, być może nawet bardziej świadomie) po recepcjonistkę w firmie, która nie potrzebuje recepcjonistki (ale to dobrze wygląda, bowiem poważne firmy muszą mieć godną reprezentację).

VADIM BRODSKI,
WIRTUOZ

We Włoszech przez rok mieszkałem w Genui, potem w Rzymie. Zakochałem się w tym kraju, bo jest przepiękny i ma najpiękniejszy język na świecie. (…) George Clooney, który przez lata miał dom nad jeziorem Como, powiedział kiedyś: „Amerykanie żyją, żeby pracować, a Włosi pracują, żeby żyć". Genialna definicja. Włosi potrafią celebrować codzienność: relacje z bliskimi, pyszne jedzenie, radości z małych rzeczy, słońce, nicnierobienie. Uwielbiają sztukę. Przez lata byłem tam kochany i popularny.

KATARZYNA HERMAN,
AKTORKA

Rozwiodłam się przed pandemią. Wtedy uważałam, że to moja klęska, jakby uschło drzewo, które wiele lat pielęgnowałam. To już minęło. Umiem żyć bez faceta. Jednak chciałabym kogoś spotkać. Lubię mieć mężczyznę u boku. Jest do kogo wracać. Można pogadać, przejrzeć się w jego oczach. Potrzymać za rękę, pogłaskać. Dotyk jest ważny. (…) Nasza rozmowa nie jest ogłoszeniem matrymonialnym, więc nie podam ci pożądanych męskich cech. Może wpadnę na tego mężczyznę lada dzień? A może nigdy? Wtedy zostanie mi teatr… Chociaż byłoby szkoda.

FOT. AMEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA, SARKA FARKA

eprasa.pl 11278a6272

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.

	Z				

* śpiewane na ostatku

	H				

* woził dysze w mitach

			N				

* korzenie trawy

ROZWIĄZANIA: SZANTY, CHARON, SIANOKOSY

Aby język giętki…

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI O JEDWABNEM
Przeprosiłbym za Jedwabne ponownie. Jako prezydent zachowałem się wtedy jak trzeba.

PROF. ANDRZEJ FRISZKE O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM
Od kilku dziesięcioleci nie wierzę w żadne jego deklaracje. On jest gotowy pójść na każdy kompromis taktyczny, byle otrzymać pełnię władzy.

PAWEŁ PAWLIKOWSKI O MUZYCE JANA SEBASTIANA BACHA
Jego muzyka jest dla mnie czymś wyjątkowym. Ona godzi mnie ze światem. Pozwala odnaleźć harmonię tam, gdzie jej brakuje.

WALDEMAR ŻUREK O ZBIGNIEWIE KAPIŃSKIM
Nie może być I prezesem Sądu Najwyższego ktoś, kto nie jest legalnym sędzią SN.

ADAM BODNAR O ROZLICZENIACH
Naprawdę sporo zostało wykonane. Trzydzieści osób, którym uchylono immunitety, setki zarzutów w wielu sprawach.

MARTA KULIGOWSKA O ALKOHOLU
W ogóle nie piję alkoholu, uważam, że to trucizna. Wino wypite wieczorem źle wygląda rankiem na twarzy.

MONIKA BRODKA O DUCHOWOŚCI
Ta niepowiązana z Kościołem i religią. Mocno wierzę w energię, która mnie pcha do robienia rzeczy. Można ją nazwać intuicją.

AGA ZARYAN O GRANIU DO KOTLETA
Ja też grałam przez kilka lat. To była ważna lekcja pokory i zdobywania szlifów.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 11278a6272

Little Magical Pond

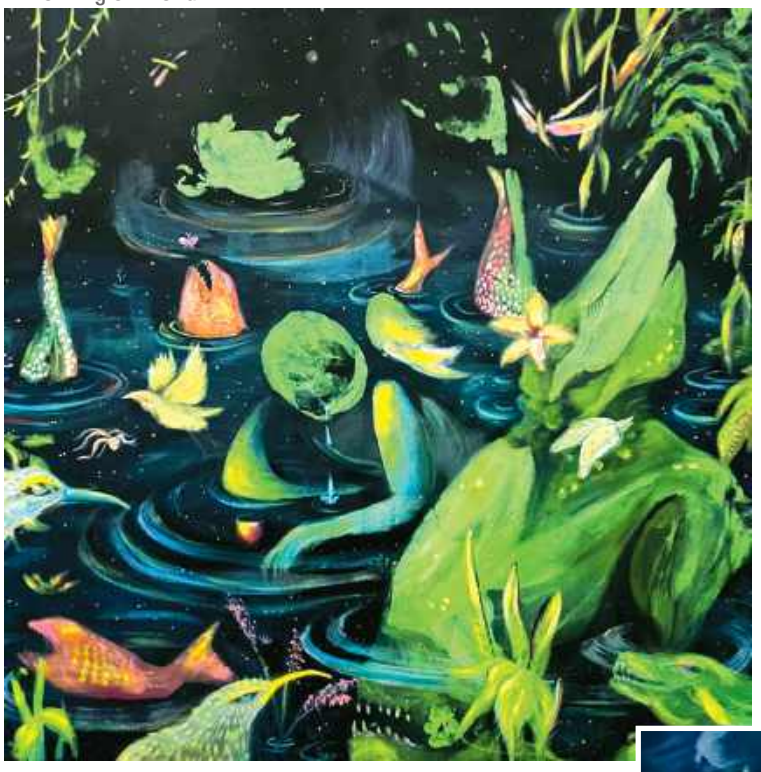

W ramach cyklu #Odkrycia prezentowana jest wystawa prac Emilii Jechny – artystki, która wykorzystuje ciało jako narzędzie malarskie. Odciskając jego ślady na płótnie, fizycznie wchodzi w relację z obrazem, a proces twórczy zbliża się do rytuału i terapii. Punktem wyjścia jest reinterpretacja mitu o Narcyzie, której dokonała psychoanalityczka Lou Andreas-Salomé. W tej perspektywie patrzenie na swoje odbicie nie oznacza próżności. Narcyz, pochylając się nad taflą wody, widzi prócz siebie cały świat – niebo, ptaki, drzewa, kwiaty. I dostrzega, że jest tego świata częścią.

Lot's Wife

#Odkrycia
Emilia Jechna

Stańczyk II

Galeria Artinfo
Warszawa, ul. Dzielna 5

do 15 września

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 11278a6272

TEATR CAPITOL

LEWE INTERESY

REŻYSERIA
JERZY BONCZAK

PREMIERA
WRZESIEŃ 2026

PROJEKT
ELŻBIETA WOŹNIAK

MAGDALENA DWURZYŃSKA · PIOTR JANUSZ · JUSTYNA JELEŃ · SEBASTIAN KONRAD · MIKOŁAJ KRAWCZYK · PAULINA LASOTA · JACEK LENARTOWICZ · MIŁOSZ ŁASAK · DARIUSZ OBUCHOWICZ · BARTOSZ STENCEL

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 11278a6272

SBB

SKRZEK/ANTHIMOS/PIOTROWSKI

14 PAŹDZIERNIKA
FILHARMONIA
IM. M. KARŁOWICZA
SZCZECIN

SLEAFORD MODS
THE DEMISE OF PLANET X

EUROPE 2026 (PART 2)

1 LISTOPADA
WARSZAWA, KLUB STODOŁA

Elżbieta Jodłowska
KLIMAKTERIUM
...i już
20 LAT

3 listopada
Klub Stodoła, Warszawa

Elżbieta Jodłowska
KLIMAKTERIUM 2
czyli menopauzy szał

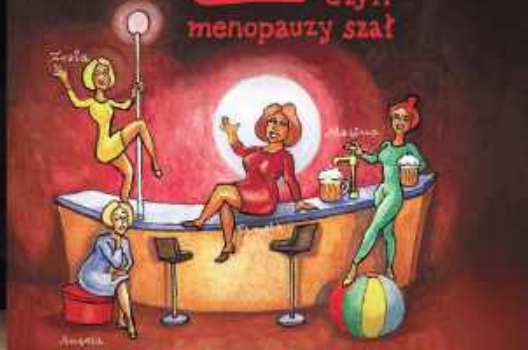

25 listopada
Klub Stodoła, Warszawa

SŁAWA PRZYBYLSKA

KONCERT URODZINOWY
Z ZESPOŁEM
TANGO ATTACK

4 LISTOPADA
KLUB STODOŁA

HOUK + WALUŚKRAKSAKRYZYS

KLUB STODOŁA
5 LISTOPADA

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL | STODOLA.PL**

eprasa.pl 11278a6272